

Brian Wilson Aldiss

Cieplarnia

Przekład:
Marek Marszał

*Wszystko rosło posłuszne
nieuchronnemu prawu, rozpychając się i
wyrodnając w swym pędzie do wzrostu.
Temperatura, światło, wilgotność – te
nie zmieniały się, pozostawały takie
same od... lecz nikt nie wiedział, od jak
dawna. Nikogo już nie obchodziły
doniosłe pytania, zaczynające się od
"Jak długo...?" lub "Dlaczego...?" Tutaj
nie było już miejsca dla rozumu. Tu było
miejsce dla wzrastania, dla roślin. Jak w
cieplarni.*

Kilkoro dzieci wyszło w zielone światło, aby się pobawić. Pobiegły konarem, bacznie wypatrując wrogów, nawołując się ściszymi głosami. Szybko rosnący jagodobij przemykał ukosem do góry, kiście jego lepkich owoców połyskiwały szkarłatem. Widać było, że jest zaaferowany wysiewem i dzieciom nic nie grozi z jego strony. Minęły go pędem. Z pory ich snu skorzystał parzyperz, wyrastając za skrajem terytorium grupy. Drgnął, gdy się przybliżyły.

– Zabić go – powiedziała krótko Toy. Była naczelnym dzieckiem grupy. Skończyła dziesięć lat, przeżyła dziesięć owocowań figowego drzewa. Słuchali jej wszyscy, nawet Gren.

Dobyli pałek, które każde dziecko nosiło wzorem dorosłych, i rzucili się na parzyperz. Darli go i siekli. Ogarnęło ich podniecenie, gdy tłukli roślinę, miażdżąc jej jadowite wypustki. W tym podnieceni upadła Klat. Pięcioletnia zaledwie, najmłodsza. Jej dłonie dostały się w jadowitą masę. Wrzasnąwszy przeraźliwie, przewróciła się na bok. Pozostałe dzieci również podniosły krzyk, ale nie zapuściły się w parzyperz na ratunek. Mała Klat krzyknęła ponownie, usiłując wydostać się z matni. Jeszcze zacisnęła kurczowo palce na szorstkiej korze – i po chwili leciała w dół. Dzieci widziały, jak spada na wielki liść rozpostarty parę długości pod nimi; uczepliła się go i tak pozostała, drżąc na rozhuśtanej zieleni. Podniosła na nich żalosne spojrzenie, lękając się zawołać.

– Sprowadź Lily–yo – poleciła Grenowi Toy.

Gren pognał z powrotem. Z powietrza spadła na niego osica, obwieszczając wściekłością tubalnym brzęczeniem. Odrzucił ją ciosem dłoni, nie zwalniając biegu. Rzadki okaz dziecka mężczyzny, lat dziewięć, już bardzo śmiały, rączy i dumny. Szybko dotarł do chaty Prowodyrki.

Osiemnaście domów–orzeczków wisiało uczeplonych spodu gałęzi. Orzechy wydrążono i przytwierdzono do konara spoiwem pędzonym z krzewu acetonowego. Zamieszkiwało je osiemnastu członków grupy, po jednym na orzech: Prowodyrka, jej pięć kobiet, ich mężczyzna i jedenaścioro pozostałych przy życiu dzieci. Na krzyk Grenu Lily–yo wspięła się po lianie i stanęła przy nim.

– Klat spadła! – zawołał Gren i pognał z powrotem. Zanim Lily–yo go wyprzedziła, raptownie zastukała pałką w konar. Jej sygnał wywołał pozostałą szóstkę dorosłych, kobiety: Flor, Daphe, Hy, Ivin i Jury oraz

Harisa, mężczyznę. Wskoczyli z bronią w rękę, gotowi do ataku lub ucieczki. Lily–yo wydała w biegu wysoki, przenikliwy gwizd. Z gęstego listowia natychmiast wypadł głuźek, podlatując do jej ramienia. Mechata, wirująca parasolka, której otwarte pręty utrzymywały kierunek lotu, dostosowała swoją prędkość do jej biegu.

Dzieci i dorośli obstąpili Lily–yo, gdy spoglądała w dół na Klat, wciąż rozpląszczoną na liściu gdzieś pod nimi.

– Leż spokojnie, Klat! Nie ruszaj się! – zawołała Lily–yo. – Przyjdę do ciebie.

Pomimo trwogi i bólu Klat usłuchała polecenia, z nadzieją wznosząc wzrok do góry, w kierunku, z którego nadchodziła pomoc. Lily–yo dosiadła okrakiem sierpowatej podstawy głuźka i zagwizdała cichutko. Z całej grupy ona tylko posiadała w pełni sztukę ujeżdżania głuźków. Były to półwrażliwe na bodźce owoce suchoświstu. Końce puchatych prętów kryły nasiona tak osobliwie ukształtowane, że lekki powiew wiatru szeptał w nie jak do ucha; zamienione w słuch wyczekiwały najmniejszego podmuchu, by go wykorzystać do rozsiania. Po wielu latach prób ludzie nauczyli się wysługiwać tymi prymitywnymi uszami do swoich własnych celów, jak to właśnie zrobiła Lily–yo. Głuźek zniósł ją w dół na ratunek bezradnemu dziecku. Klat leżała na plecach i modląc się w duchu, śledziła ich przybycie. Wciąż spoglądała w górę, gdy przez liść ze wszystkich stron wystrzeliły zielone zęby:

– Skacz, Klat! – krzyknęła Lily–yo.

Dziewczynka zdążyła się jeszcze podnieść na kolana. Roślinni drapieżcy nie są tak szybcy jak ludzie. Zielone zęby zatrzasnęły się na jej talii. Wyczuwszy obecność ofiary przez pojedynczą warstwę zieleni, gębokłap wyszedł na pozycję pod liściem. Przypominał nieco ramę – tylko para zrogowaciałych, kwadratowych szczęk na zawiasach, z licznymi długimi zębami. Z narożnika ramy, na kształt szyi, wyrastał pał, krzepki i grubszy od człowieka. Teraz gębokłap tę szyję zginał, zabierając Klat na dół do swojej właściwej paszczy, przebywającej z resztą rośliny jeszcze niżej, na niewidzialnym dnie lasu, pośród ciemności i rozkładu.

Gwizdem Lily–yo skierowała swego głuźka z powrotem na górę, na rodzinny konar. Nic już nie dało się zrobić dla Klat. Tak już było.

Grupa rozpraszala się. Stojąca gromadka kusila niezliczone leśne licha.

Poza tym śmierć Klat nie była pierwszą, jaką oglądali. Grupa Lily-yo składała się kiedyś z siedmiu podwładnych kobiet i dwóch mężczyzn. Dwie kobiety i jednego mężczyznę zabrała zieleń. Te osiem kobiet zrodziło grupie dwadzieścioro dwoje dzieci, w tym pięcioro dzieci mężczyzn. Śmierć często zabierała dzieci, zawsze tak było. Teraz, po odejściu Hlat, już ponad połowę dzieci zabrała zieleń. Lily-yo zdawała sobie sprawę, że jest to szokująco wysoka śmiertelność, i jako przywódca obwiniała siebie. Choćby nie wiadomo ile niebezpieczeństw czyhało w gałęziach, znali je wszystkie i potrafili się bronić. Winiła siebie tym bardziej, że w pozostałym przy życiu potomstwie uchowała się tylko trójka dzieci mężczyzn, Gren, Poas i Veggy. Z nich, jak niejasno przeczuwała, Gren zrodzony był do kłopotów.

Lily-yo wracała z zielonego blasku. Nasłuchując hasła do wysiewu, głuszek niepostrzeżenie odpłynął, wezwany milczącym nakazem lasu. Nigdy świat nie był tak przepelniony Puste miejsca nie istniały. Zdarzało się, że głuszki szybowały nad dżunglą przez całe stulecia w oczekiwaniu na lądowanie, jak symbole osamotnienia świata roślin.

Zatrzymując się nad jednym z orzechów, Lily-yo zjechała po lianie do jego wnętrza. To była chatka Klat. Prowodyrka z ledwością przecisnęła się do środka, tak małe było wejście. Ludzie budowali jak najmniejsze drzwi, powiększali je, w miarę jak rośli, by zapobiec wizytom nieproszonych gości. W chatce Klat panował wzorowy porządek. W miękkim mięszu wnętrza zostało wycięte łóżko; tutaj sypiała pięcioletnia dziewczynka, gdy ogarnęła ją senność pośród niezmiennej zieloności lasu. Na łóżku leżała dusza Klat. Lily-yo zatknęła ją za pas. Wciągnęła się na lianę i ujawszy nóż, cięła w miejscu, gdzie usunięto korę drzewa i orzech łączył się z żywym drewnem. Po kilku ciosach spoiwo puściło. Chatka Klat zawisła na moment, po czym zleciała na dół. Gdy zniknęła w ogromnych, mięsistych liściach, nastąpiło wśród nich poruszenie. Coś walczyło o przywilej pożarcia wielkiego kęsa.

Lily-yo wdrapała się z powrotem na konar. Na chwilę przystanąła dla złapania oddechu. Szybciej niż kiedyś dostawała zadyszki. W zbyt wielu polowaniach brała udział, za dużo urodziła dzieci, stoczyła zbyt wiele walk. Z rzadką i przelotną zadumą nad sobą spojrzała na swe gołe, zielone piersi. Były mniej pełne, niż kiedy po raz pierwszy dopuściła do siebie mężczyznę Harisa, zwisały niżej. Kształt miały nie tak piękny. Instynktownie wiedziała, że minęła jej młodość. Instynktownie wiedziała,

że nadszedł czas, by Odejść Wyżej.

Grupa oczekiwała jej przy Zagłębieniu. Pobiegła do nich, pozornie sprawna jak zawsze, ale serce ciążyło jej kamieniem. Zagłębienie w złączeniu konara z pniem przypominało odwróconą do góry dłoń. Tam gromadziły się ich zapasy wody. Grupa obserwowała wchodzącą na pień kolumnę mocarmitów. Jeden z mocarmitów kilkakrotnie pozdrowił bezgłośnie ludzi. Pomachali mu w odpowiedzi. Jeżeli w ogóle mieli sojuszników, były nimi mocarmity. Tylko pięć wielkich rodzin przetrwało wśród rozpasanego zielonego żywiołu: osice, pszczerce, mrówce i mocarmity, które stworzyły społeczeństwa owadzie, potężne i niezniszczalne, a piątą stanowił człowiek, łatwo i nędznie ginący, nie zorganizowany tak jak owady, lecz nie wymarły, ostatni przedstawiciel zwierząt w całym wszechzwykłym świecie roślin.

Lily-yo podeszła do grupy. Ona również wodziła spojrzeniem za ruchomą kolumną mocarmitów, dopóki nie znikły w pokładach zieleni. Mogły żyć na dowolnym poziomie wielkiego lasu, w Wierzchołkach czy na Dnie, w dole. Pierwsze i ostatnie z owadów; dopóki cokolwiek będzie żyło, mocarmity i osice nie zginą. Lily-yo spuściła wzrok i przywołała grupę. Wydobywszy duszę Klat, na oczach wszystkich wzniosła ją nad głowę, by dobrze widzieli.

– Zieleń zabrała Klat – powiedziała. – Jej dusza musi powędrować do Wierzchołków, jak nakazuje obyczaj. Flor i ja zabierzemy ją tam natychmiast, abyśmy mogły podążyć za mocarmitami. Daphe, Hy, Ivin, Jury, wy strzeżcie dobrze mężczyzny Harisa i dzieci do naszego powrotu.

Kobiety skinęły z powagą głowami. Następnie, podchodząc kolejno, dotykały duszy Klat, topornie wyciosanej z drewna figurki kobiecej. Gdy rodziło się dziecko, do obowiązków ojca należało wyrzeźbienie mu duszy, bo kiedy kogoś zabrała w lesie zieleń, prawie nigdy nie pozostawiała choćby kosteczka do pogrzebienia. Dusza miała przetrwać do pogrzebu w Wierzchołkach.

Podczas ceremonii dotykania duszy Gren czmychnął i zuchwale odłączył się od grupy. Prawie równy wiekiem Toy, dorównywał jej też siłą i rzutkością. Nie tylko był wytrzymały w biegu. Potrafił się wspinać. Pływać. Co więcej, miał własną wolę. Nie bacząc na krzyk swego przyjaciela Veggy'ego, popędził do Zagłębienia i skoczył w wodę. Otwierając oczy pod jej powierzchnią, ujrzał zamglony świat. Jakies

zielsko podobne do liści koniczyny wyrosło przed nim, tylko czekając, by zahaczyć o jego nogi. Gren odgarnął je błyskawicznym ruchem dłoni, nurkując głębiej. Wtedy spostrzegł pompiaka, zanim tamten go zauważył.

Pompiak był wodną, na poły pasożytniczą rośliną. Przebywał w zagłębieniach, skąd zapuszczał swoje uzębione jak piła ssawki pod korę drzewa, szukając soków. Ale i jego górna część, prymitywna, kształtem przypominająca język, potrafiła polować. Rozwinęła się i okręciła wokół lewego ramienia Grena, zwierając natychmiast włókna dla wzmocnienia chwytu. Gren był na to przygotowany. Jednym cięciem noża rozszczepił pompiaka na dwoje; dolna część pozostała, miotając się za nim bezsilnie, gdy odpływał. Zanim wypłynął na powierzchnię, znalazła się przy nim Daphe, wytrawna łowczyni, z nożem gotowym do jego obrony i zagniewaną twarzą; spomiędzy jej rozwartych zębów wysypywały się srebrzyste jak rybia łuska bąbelki. Przecinając powierzchnię wody, posłał jej uśmiech, po czym wylazł na suchy brzeg. Otrząsnął się nonszalancko, nie zwracając uwagi na wychodzącą opodal Daphe.

– Nie biegamy, nie pływamy, nie wspinamy się w pojedynkę! – zawołała Daphe, przypominając jedno z praw. Gren, czy ty nie wiesz, co to strach?! Masz zamiast głowy pustą łupinę łuskacza!

Wszystkie kobiety były zagniewane, lecz żadna nie ośmieliła się tknąć Grena. Był dzieckiem mężczyzna. Był tabu. Miał magiczną moc rzeźbienia duszy i płodzenia dzieci, a raczej ją posiadzie, gdy dorośnie, co miało nastąpić już niedługo.

– Jestem Gren, dziecko mężczyzna! – Chętnie walił się w pierś. Szukał aprobaty w oczach Harisa. Ale Haris odwrócił wzrok. Teraz, gdy Gren był taki duży, Haris nie chwalił go tak jak dawniej, chociaż chłopiec sprawiał się dzielniej niż wtedy Lekko zawiedziony Gren skakał wokoło, wywijając skrawkiem pompiaka wciąż owiniętym wokół jego lewego ramienia. Pokrzykiwał, popisując się przed kobietami, by okazać, jak mało go obchodzi.

– Jesteś jeszcze dzieckiem – zasyczała o rok starsza Toy. Gren zamilkł. Przyjdzie czas, a pokaże im wszystkim, że jest kimś.

Lily–yo nachmurzyła się.

– Dzieci wyrosły, wymykają się spod kontroli. Gdy wrócimy z Flor z Wierzchołków po pogrzebie duszy Hlat, rozbijemy grupę. Nadszedł czas,

by się rozdzielić. Uważajcie na siebie. – Z pożegnalnym gestem obróciła się na pięcie.

Flor ruszyła za nią. Grupa przycichła, śledząc odejście przywódczyni. Wszyscy wiedzieli, że muszą się rozstać, nikomu nie chcieli się nad tym zastanawiać. Czasy beztroski i bezpieczeństwa przeminą – tak im się przynajmniej wydawało – na zawsze. Dzieci wkroczą w okres samodzielnych doświadczeń, zdane na siebie, nim dołączą do innych grup. Dorosli rozpoczynali starość, Odchodzili Wyżej w nieznaną, na niedolę i śmierć.

Lily–yo i Flor wchodziły na rosochaty pień bez wysiłku, jak po mniej lub bardziej regularnych stopniach skalnych. Co pewien czas napotykały któregoś z nieprzyjaznych przedstawicieli flory, zrzynka bądź wycierucha, ale taką drobnicę ekspediowały z łatwością w dół, w zielony mrok. Ich wrogowie byli również nieprzyjaciółmi mocarmitów i sunąca kolumna załatwiała przeciwników na swej drodze. Lily–yo i Flor szły tuż za mocarmitami, rade z ich kompanii. Wspinały się dość długo. Raz odpoczęły na gołym konarze, gdzie schwytały dwa zbłąkane łuskacze, rozłupały je i zjadły tłusty, białawy miąższ. W drodze na górę dostrzegły przelotnie kilka grup ludzkich w pobliskich konarach; czasami pozdrawiano je nieśmiałym gestem, czasami nie. W końcu zabrnęły za wysoko jak na ludzi. W pobliżu Wierzchołków czaiła się nowa groza. Ludzie żyli na spokojniejszym, środkowym poziomie lasu, chroniąc się przed niebezpieczeństwami Wierzchołków i Dna.

– W drogę – powiedziała do Flor Lily–yo, wstając, gdy już nabrały sił. – Wkrótce będziemy u Wierzchołków. Tumult uciszył obie kobiety. Przycupnęły za pniem, zerkając w górę. Nad ich głowami zaszeleściły liście, uderzyła śmierć. Skaczopnącz młócił kostropaty pień, w żarłocznym szale atakując kolumnę mocarmitów. Korzenie i łodygi skaczopnącza stanowiły jednocześnie jego macki i jęzory. Chlascząc nimi wokół pnia, zapuszczał lepkie jęzory w mocarmity. Wobec tej rośliny, odrażająco giętkiej, owady były właściwie bezbronne. Rozproszyły się, lecz nie przerwały uporczywej wspinaczki, każdy być może z wiarą w ślepą statystyczną szansę przeżycia. Dla ludzi roślina stanowiła większe zagrożenie, przynajmniej w utarczce na gałęzi. Napotkana na pniu, z łatwością mogła ich zepchnąć i rzucić bezradnych w dół do zieleni.

– Wejdziemy innym pniem – powiedziała Lily–yo. Pobiegły zwinnie

wzdłuż gałęzi, przesadzając w pędzie samotny, jaskrawo ukwiecony, pasożytniczy krzew, wokół którego brzęczały pszczelce, forpocza kolorowego świata nad głowami. Znacznie gorsza przeszkoda czekała na nie w niewinnie wyglądającej rozpadlinie konara. Gdy Flor z Lily–yo zbliżyły się, wyprysnęła stamtąd osica. Prawie tak wielka jak one, piekielne stworzenie obdarzone zarówno bronią, jak i inteligencją – i przepełnione wrogością. Widziały jej ogromne oczy, zuchwy w akcji, przezroczyste skrzydła bijące powietrze. Głowę tworzyły pospołu zmierzwione kudły i twarde pokrywy; za cienką talią osica włókła wielki, opancerzony ze wszystkich stron żółto–czarny odwłok, kryjący w samym końcu śmiertcionośne żądło. Pikowała pomiędzy kobiety, by zwalić je skrzydłami. Padły plackiem, więc tylko śmignęła nad nimi. Obiła się o gałąź i wściekła zawróciła ku nim ponownie, a jej złocistobrazowe żądło migotało, to ukazując się, to znikając.

– Zostaw ją mnie! – zawołała Flor. Osica zabiła jedno z jej dzieci. Teraz nadeściagała szybko i nisko. Robiąc unik, Flor wyciągnęła rękę i chwyciwszy za kudłate włosy, szarpnięciem wytrąciła osicę z równowagi. Jednocześnie wzniosła miecz. Opuszczając go, potężnym cięciem przerabiała chitynową cienką talię. Osica rozpadła się na dwoje. Kobiety pobiegły dalej. Gałąź, główny konar, wcale nie stawała się cieńsza, prowadziła do pobliskiego pnia i tam wrastała. Niezmiernie stare drzewo, najdłużej żyjący organizm z kiedykolwiek powstałych na tym maleńkim świecie, miało miliony pni. Bardzo dawno, jakieś dwa miliardy lat temu, rosło wiele rozmaitych drzew w zależności od gleby, klimatu i innych czynników. Temperatura podnosiła się, drzewa się rozrastały, aż zaczęły między sobą rywalizować. Na tym kontynencie ciepłolubne i wykorzystujące zdolności gałęzi do zakorzeniania się drzewo figowe stopniowo odniosło zwycięstwo nad pozostałymi gatunkami, ulegając przemianom i adaptacjom w tej próbie sił. Przez cały czas figowiec piął się coraz wyżej i rozpełzał coraz szerzej, chroniąc pień macierzysty. Wpuszczał w ziemię korzeń powietrzny za korzeniem, w miarę jak mnożyli się rywale, wyrzucał konar za konarem, aż wreszcie opanował sztukę wrastania w swych pobratymców, tworząc gąszcz, przez który żadne drzewo nie mogło się przedrzeć. Gmatwaniu figowej nic nie dorównywało, jej nieśmiertelność stała się faktem. Na kontynencie zamieszkanym przez ludzi rosło obecnie tylko jedno drzewo figowe. Najpierw stało się królem lasu, następnie samym lasem. Podbiło pustynie, góry, bagna. Wypełniło kontynent swoim splecionym rusztowaniem. Tylko przed szerszymi rzekami czy brzegiem morskim,

gdzie stały mu czoło straszliwe wodorosty, tam drzewo się zatrzymało. Również pod terminatorem, przed którym kończyło się wszystko, a zaczynała noc – tam też stanęło.

Po zdarzeniu z osicą kobiety wspinały się powoli, czujnie. Wokoło rozkwitały kolorowe plamy, czepiające się drzewa, wiszące na lianach; unoszące się swobodnie w powietrzu. Kwitły liany i grzyby. Głuszki żalobnie sunęły przez płataninę. W miarę jak osiągały coraz większą wysokość, powietrze robiło się coraz bardziej rześkie, kolory bardziej rozbuchane – lazury i amaranty, żółcie, fioletowe róże, cała gama pięknie ubarwionych zasadzek natury. Wargokap sączył po pniu swoją szkarłatną gumową ślinę. Parę zrzyneków z roślinną zręcznością podkradło się do kropel i rzuciwszy się na nie, padło martwych. Lily–yo i Flor przeszły drugą stroną. Zagroził im drogę szabliścień. Wycofały się błyskawicznie, po czym podjęły wspinaczkę. Wiele tutejszych roślin miało fantastyczne kształty – przypominały ptaki, motyle. Naokoło śmigwały bez przerwy łapy i macki, chwytając je w locie.

– Spójrz! – wyszeptła Flor. Wskazała miejsce nad ich głowami. Kora drzewa rozszepiała się tu prawie niedostrzegalnie. Prawie niedostrzegalnie część jej drgnęła. Flor wspięła się, sięgając pałką na długość ramienia, aż koniec jej kija musnął ryse. Wtedy dźgnęła. Płat kory odchylił się, odsłaniając bladą, potworną gardziel. Wkręcony w drzewo małżożuj był wspaniale zamaskowany. Flor nagle pchnęła kij, wbijając go w paszczę. Gdy tylko szczęki się zamknęły, szarpnęła z całej siły Lily–yo podtrzymała ją. Zaskoczony małżożuj został wyrwany ze swego leża. Z otwartą w szoku gardzielą wyleciał łukiem w powietrze. Łapigrab rozprawił się z nim w mgnieniu oka. Lily–yo i Flor weszły wyżej.

Wierzchołki tworzyły obcy, odrębny świat, imperium roślin w ich największej krasie i egzotyce. Jeśli figowiec królował w lesie, a nawet sam był lasem, to trawersery władowały Wierzchołkami. Trawersery ukształtowały typowy pejzaż Wierzchołków. Ich ogromne sieci rozciągnięte były dokoła, do nich należały gniazda budowane na szczytach drzew. Kiedy trawersery opuszczały gniazda, zajmowały je inne stworzenia, inne rośliny strzelały w górę, otwierając do nieba swoje olśniewające barwy. Szczątki i odchody związały gniazda w lite pomosty. Tu rósł krzew pudłopłonu, potrzebny Lily–yo do pogrzebienia duszy Klat. Przedzierając się w górę kobiety wyszły wreszcie na jeden z takich pomostów. Znużone wyprawą znalazły odpoczynek pod ogromnym liściem osłaniającym je przed napaścią z

powietrza. Nawet w cieniu i nawet dla nich żar Wierzchołków był trudny do wytrzymania. W górze, paraliżując połowę niebios, płonęło ogromne słońce. Płonęło bez przerwy, zawsze. Stojąc nieruchomo, ciągle w tym samym punkcie nieba, miało jarzyć się aż do owego dnia, teraz już nie w tak znowu nieskończonej przyszłości, kiedy wypali się do końca. ~, wśród nieruchomej flory Wierzchołków, królował pudłopłon, zawdzięczający słońcu swój niezwykle sposób obrony. Czujki jego korzeni dały mu już znać o obecności intruzów. Lily–yo i Flor ujrzały sunący nad nimi po liściu krąg światła – błdził po powierzchni, znieruchomiał, skupił się. Z liścia uniosł się dymek, buchnęły płomienie. Krzew zogniskował na nich jedną z urn, zwalczając nieproszonych gości swoją straszliwą bronią – ogniem.

– Biegiem! – zakomenderowała Lily–yo.

Wpadłszy za koronę suchoświstu, wyrzały spod jego kolców na krzew pudłopłonu. Wznosił się wysoko, prezentując z pół tuzina wiśniowych kwiatów, wszystkie większe od człowieka. Niektóre kwiaty, już zapylone, zamknęły się, tworząc wieloboczne pudła. Widać było urny wyblakłej barwy w późniejszych stadiach, z nabrzmiałym nasieniem u nasady. Gdy nasienie wreszcie dojrzało, pusta już i nieprawdopodobnie mocna urna nabierała przejrzystości szkła, zmieniając się w ognistą broń zdatną do użytku długo po rozrzuceniu nasion. Wszystkie rośliny i stworzenia prócz człowieka cofały się przed ogniem. Tylko ludzie potrafili sobie radzić z pudłopłonom i wykorzystywać go do własnych celów. Uważając na każdy swój ruch, Lily–yo podkrađła się i odcięła wielki liść, który przebijał pomost. Przyciskając liść do piersi, rzuciła się biegiem wprost na pudłopłon, skoczyła w gęstwinę jego liści i nie przystając ani na chwilę, wdrapała się do korony, zanim zdążył się obrócić i zogniskować na niej urnowate soczewki.

– Teraz! – krzyknęła na Flor.

Flor była już na nogach i pędziła w jej kierunku. Lily–yo uniosła liść nad pudłopłonom, między krzew a słońce tak, że groźne pudła legły w cieniu. Jakby zdając sobie sprawę, że zrujnowano jego system obronny, krzew oklapł w cieniu, bezwładnie zwiesiwszy kwiaty i urny w obrazie roślinnej rezygnacji. Z pomrukiem satysfakcji Flor skoczyła naprzód i odcięła jedną z wielkich przezroczystych urn. Chwyciły ją z obu stron i dźwigając między sobą, pobiegły pod osłonę suchoświstu. Gdy opadł oceniający liść, rozjuszony pudłopłon wrócił do życia, wywijając urnami,

które na nowo chłonęły blask słoneczny. Kobiety dopadły kryjówki w samą porę. Spadająca na nie z nieba ptakorośl nadziała się na kolce. Nie minęła chwila, a kilkanaście gniłków żarło się między sobą o dostęp do jej ścierwa. Wykorzystując zamieszanie, Lily-yo i Flor zabrały się energicznie do zdobycia urny Wspólnymi siłami, za pomocą obu noży, podważyły jedną ścianę na tyle, by włożyć do środka duszę Hlat. Ścianka natychmiast zaskoczyła, zatrzaszkując się hermetycznie. Dusza wpatrywała się w nie drewnianym spojrzeniem zza przezroczystych ścian.

– Obyś Odeszła Wyżej i dotarła do nieba – wyrecytowała Lily-yo. Ona miała dopilnować, aby duszy dano przynajmniej uczciwą na to szansę. Razem z Flor przeniosły urnę do jednej z lin wysnutych przez trawersera. Górna pokrywa, tam gdzie uprzednio znajdowało się nasienie, wydzielala klej o wyjątkowej przylepności. Z łatwością przyłgnęła do liny i urna pozostała tam, połyskując w słońcu. Przy najbliższej wizycie trawersera na tym sznurze urna jak nic przyczepi mu się niby łuskacz do którejś nogi. I tak zawędruje do nieba. Gdy skończyły zadanie, niebo nad ich głowami pociemniało. Opuszczał się ku nim długi na milę kadłub. Trawerser, spasiony odpowiednik pajaka wśród flory, opadał na Wierchołki. Kobiety śpiesznie precyzyjnie się przez liściaste podłoże. Spełniły ostatnią powinność wobec Klat; pora wracać do grupy Zanim z powrotem weszły w zielony świat środka lasu, Lily-yo obejrzała się przez ramię. Cielsko trawersera spływało powoli jak ogromny, obdarzony szczękami i nogami balon, prawie cały porośnięty włóknistą szczeciną. Zsuwał się leciutko po sięgającej nieba linie. Bliżej i dalej widać było następne sznury wychodzące z dżungli, wszystkie skośnie wędrujące do góry, wskazujące na niebo jak wiotkie, omdlewające palce. Świeciły tam, gdzie przecinały promienie słońca. Wyraźnie wyciągały się w pewnym określonym kierunku – w stronę srebrzystej półkuli, która żeglowała, biała i odległa, ale widoczna nawet w blasku słońca. Nieruchoma, powstrzymana półkula Księżyca pozostawała zawsze w tej części nieba. Przez tysiąclecia przyciąganie Księżyca stopniowo zwolniło obrót jego macierzystej planety wokół osi, aż się zatrzymała, aż dzień i noc zwolniły tempo, ustaliły się na zawsze: jedno po jednej stronie planety, drugie po drugiej. Równocześnie ten sam hamulec zatrzymał Księżyc w jego codziennym marszu. Otrząsnął się z roli satelity i odsuwając od Ziemi, ruszył przed siebie odważnie, wolny, na własną rękę, jak planeta, domykając jeden z kątów rozległego trójkąta równobocznego, którego pozostałe kąty zamykały Ziemia i Słońce. Teraz Ziemia i Księżyc stanęły wobec siebie w tej samej pozycji. Zostały

uwięzione twarzą w twarz i tak pozostaną, aż przesypie się piasek w klepsydrze czasu albo przestanie świecić Słońce.

A nieprzeliczone pasma sznurów unosiły się w przestrzeni pomiędzy nimi, łącząc oba światy Trawersery kursowały według życzenia tam i z powrotem, olbrzymi i nieczuli astronauta zieloności, między Ziemią a Księżycem omotanymi ich bezduszną siecią. Ziemię na starość, jakże stosownie, spowiła pajęczyna.

Powrotna droga do grupy odbyła się prawie bez przeszkód. Lily–yo i Flor bez pośpiechu schodziły znów do środkowych piętér drzewa. Lily–yo nie goniła ostro tym razem; ociągała się przed nieuniknionym rozpadem grupy Nie potrafiła wyrazić swoich myśli. W tym zielonym tysiącleciu myśli było niewiele, słów jeszcze mniej.

– Musimy wkrótce Odejść Wyżej, jak dusza Klat – odezwała się do Flor podczas schodzenia.

– Tak już jest – odpowiedziała Flor, a Lily–yo rozumiała, że nie usłyszy na ten temat ani słowa więcej ponad ów wnikliwy komentarz. Sama również nie potrafiła sformułować nic mądrzejszego. W ich czasach głębia ludzkiego pojmowania nie przypominała toni, lecz pływacznię. Tak już jest.

Grupa przyjęła ich powrót z kamienną powagą. Zmęczona Lily–yo oddała krótkie pozdrowienie i zaszła się w swym domku. Jury i Ivin przyniosły jej niebawem pożywienie, nie przestępując nawet na krok progu jej domu, gdyż było to tabu. Najadła się i przespalała, po czym wyszła ponownie na ich skrawek konaru, by wezwać wszystkich do siebie.

– Szybciej! – krzyknęła ze spojrzeniem utkwionym w Harisie, który wcale się nie śpieszył. Dlaczego coś kłopotliwego potrafi być tak drogie albo coś drogiego tak kłopotliwe. Kiedy ten problem zaprzął jej uwagę, spoza pnia drzewa wypelzł długi, zielony jęzor. Rozwijając się, zawisł delikatnie na sekundę. Jęzor oblał Lily–yo w tali i przyciskając jej ramiona do boków, uniósł w powietrze wierzgającą i wrzeszczącą z wściekłości na samą siebie za nieuważę. Haris wyciągnął nóż zza pasa, ze zwięzonymi żrenicami skoczył naprzód i cisnął. Ostrze ze świstem przebiło jęzor, przyszpilając go do grubej kory. Haris nie zatrzymał się po rzucie. Gdy pędził do przygwożdżonego jęzora, Daphe i Jury puściły się za nim, podczas gdy Flor pognęła dzieci w ukrycie. Jęzor rozluźnił z bólu chwyt. Po drugiej stronie pnia rozległo się przeraźliwe łomotanie, wydawało się,

że cały las drży. Lily–yo gwizdnęła na dwa głuszki, wyśliznęła się z oplatających ją zielonych zwojów i cała powróciła na konar. Jęzor skręcał się w męczarniach, wijąc się wokoło bez celu. Czworo ludzi postąpiło do przodu z wyciągniętą bronią, by się z nim rozprawić. Nawet drzewo dygotało od gniewu uwiecznionego za język stworzenia. Ostrożnie zaglądając za pień, zobaczyli je. Glistoglut wybałuszył na nich odrażającą, palczastą źrenicę swego jedyne go oka, wykrzywił ogromną roślinną gębę. Tłukł z furią o pień drzewa, pieniać się i wykrzywiając. Choć nie po raz pierwszy ludzie napotkali glistogluta, to jednak zadrżeli na jego widok.

Był kilka razy grubszy od pnia drzewa, nawet tak rozciągnięty jak teraz. W razie potrzeby potrafił wyciągnąć się w górę prawie do Wierzchołków, ciemniejąc i wydłużając się coraz bardziej. Jak sprośna zabawka wyskakująca na sprężynie z pudełka, strzelał zniecka z Dna w poszukiwaniu żeru. Bezręki, bezmózgi, brnął powoli na swych szerokich, korzeniastych łapach po leśnym poszyciu.

– Przygwoździć go! – krzyknęła Lily–yo. – Nie pozwólcie potworowi uciec!

Ukryte wzdłuż gałęzi leżały w pogotowiu ostre piki, którymi przyszpilili jęzor, wciąż trzaskający jak bicz nad ich głowami. Wreszcie, przybijając go do pnia kołkami, unieruchomili spory kawał. Choćby glistoglut nie wiem jak się wił, już się nie uwolni.

– Teraz musimy opuścić to miejsce i Odejść Wyżej – powiedziała Lily–yo.

Jeszcze żaden człowiek nie zabił glistogluta, gdyż nie było jak dobrać się do jego żywotnych organów. Lecz oto już jego szamotanina ściągała uwagę drapieźników: zrzyneków, ślepych rekinów środka lasu, łapigrabów, gębokłapów, mordzieli i pomniejszego roślinnego robactwa. Zaczną szarpać glistogluta żywcem na kawałki, aż nic z niego nie zostanie, a gdyby przy okazji wpadły na człowieka... cóż, tak już było. Szybko więc grupa oddaliła się, wsiąkając w ścianę zieleni.

Lily–yo była zła. To ona ściągnęła na nich te kłopoty. Dała się złapać przez zaskoczenie. Gdyby miała się na bacności, powolny glistoglut nigdy by jej nie dostał. Dręczyła ją myśl, że źle kieruje grupą. To przez nią muszą zrobić dwie ryzykowne wyprawy do Wierzchołków, choć wystarczyłaby jedna. Gdyby zabrała ze sobą całą grupę na oddanie ostatniej posługi duszy

Klat, oszczędziłaby sobie i Flor drugiej wspinaczki, która je teraz czekała. Co też ją zaślepiło, że nie przewidziała tego wcześniej!

Klasnęła w dłonie. Stanąwszy pod osłoną gigantycznego liścia, zgromadziła ich wokół siebie. Szesnaście par oczu wpatrywało się w nią z ufnością, wyczekując jej słów. Rozdrażniło ją to zaufanie.

– My, dorośli, starzejemy się – powiedziała. – Głupiejemy Ja głupieję, dałam się złapać ślamazarnemu glistoglutowi. Nie nadaję się już do prowadzenia grupy. Nadszedł czas, by dorośli Odeszli Wyżej i wrócili do bogów, którzy nas stworzyli. Dzieci będą zdane na siebie. Będą nową grupą. Toy ją poprowadzi. Do czasu, gdy grupa okrzepnie, Gren, a potem Veggy, dojrzeją na tyle, by dać wam dzieci. Pilnujcie swych dzieci mężczyzn. Nie pozwólcie, by zabrała ich zieleń, bo grupa zginie. Lepiej samemu umrzeć, niż dopuścić do śmierci grupy.

Lily–yo nigdy nie wygłosiła, a oni nigdy nie słyszeli tak długiej mowy. Niektórzy z nich w ogóle nie zrozumieli tego wszystkiego. Po co ta gadka o zabieraniu przez zieleń? Zabierze kogoś albo nie, o czym tu mówić? Cokolwiek by się zdarzyło, tak już jest, i słowa nic tu nie zmieniają. May, dziecko kobieta, odezwała się:

– Na własną rękę możemy robić wiele fajnych rzeczy Flor strzeliła ją w ucho.

– Najpierw czeka was ciężka wspinaczka do Wierzchołków. No, ruszajcie.

Wydała rozkaz wspinaczki, wyznaczyła, kto idzie na czele, kto na końcu. Nie było dalszej dyskusji; ciekawość zgasła, tylko Gren rzekł w zamyśleniu:

– Lily–yo ukarzę nas za wszystkie swoje błędy.

Las pulsował wokół, zielone stworzenia pędziły i migały przez zieleń, zżerając glistogluta.

– Wspinaczka jest ciężka. Zaczynamy natychmiast–powiedziała Lily–yo, rozglądając się niespokojnie dokoła i wyjątkowo surowym spojrzeniem obrzucając Greną.

– Dlaczego się wspinać? – zapytał Gren buntowniczo. Głuszkami możemy zalecieć do Wierzchołków bez trudu i bólu. Przekraczało jej siły

wytłumaczenie mu, że szybujący w powietrzu człowiek bardziej nadstawia karku od człowieka schowanego za pnem, we wspaniałej, chropowatej korze, w której szczeliny można się wcisnąć w razie napaści.

– Dopóki ja przewodzę, marsz na górę – powiedziała Lily–yo. – Gadasz tak dużo, że chyba masz ropuchę w głowie. Nie mogła uderzyć Grena: dziecko mężczyzna było nietykalne. Zabrali z chatki swoje dusze. Starą siedzibę pożegnano bez pompy Dusze wsunęli za pas, miecze – najostrzejsze, najtwardsze z istniejących kolce – wzięli w dłonie. Pobiegli konarem za Lily–yo, uciekając od rozpadającego się glistogłuta, uciekając od swej przeszłości.

Długa była podróż do Wierchołków, opóźniana przez młodsze dzieci. Chociaż pokonały wszystko na swej drodze, nie mogły przemóc narastającego zmęczenia. W połowie drogi do Wierchołków znaleźli na odpoczynek boczny konar z rosnącym nad nim głupikłakiem, w którym poszukali schronienia. Głupikłak był pięknym, wynaturzonym grzybem. Wprawdzie wyglądał jak przerośnięty parzyperz, nie krzywdził jednak ludzi, jakby z obrzydzeniem kuląc przed nimi swoje jadowite słupki. Wałęsające się w odwiecznych konarach drzewa głupikłaki pożywały wyłącznie stawy roślinnej. Grupa wlała więc w sam środek jego gęstwiny i zapadła w sen. Pod osłoną falujących, zielonożółtych łodyg byli bezpieczni przed prawie każdym napastnikiem. Flor i Lily–yo miały najtwardszy sen z dorosłych. Były zmęczone swoją poprzednią wyprawą.

Mężczyzna Haris obudził się pierwszy, z uczuciem, że coś jest nie w porządku. Wstał, budząc Jury szturchnięciem pałki. Lenistwo, a poza tym obowiązek nakazywały mu trzymać się z dala od niebezpieczeństwa. Jury usiadła. Wydała przeraźliwy okrzyk na alarm i skoczyła natychmiast bronić dzieci.

Głupikłaka nawiedziły cztery skrzydlate stwory. Złapały Veggy'ego, dziecko mężczyznę, i Bain, jedną z młodszych dziewczynek, kneblując dzieci i krępując, zanim rozbudziły się na dobre.

Na okrzyk Jury skrzydłacy obejrzeni się. Byli to szybownicy. Do pewnego stopnia przypominali ludzi. To znaczy mieli jedną głowę, dwa długie, potężne ramiona, krępe nogi i mocne palce dłoni i stóp. Lecz zamiast gładkiej, zielonej skóry pokrywała ich połyskliwa, rogowa substancja, tu czarna, ówdzie różowa. I jak u ptakorośli wielkie, łuskowate skrzydła wyrastały im od napiętków po kostki. 'Itwarze mieli bystre i

inteligentne. Oczy im świeciły. Spostrzegłszy, że ludzie się budzą, porwali dwójkę związanych dzieci. Tratując nieszkodliwego głupikłaka, pobiegli nad krawędź konaru, by odlecieć. Szybownicy byli przebiegłymi przeciwnikami, rzadkimi, ale groźnymi. Działali podstępnie. Chociaż nie zabijali, o ile nie byli do tego zmuszeni, to kradli dzieci, co uchodziło za jeszcze cięższe przestępstwo. Trudno było ich schwytać. Nie latali w całym tego słowa znaczeniu, ale potrafili rzucić się w opadający ślizg, który unosił ich szybko przez las, bezpiecznych przed zemstą ludzi.

Jury rzuciła się za nimi co sił w nogach, przed depczącą jej po piętach Ivin. Złapała jednego z szybowników za kostkę, nim zdążył wystartować, i uczepiła się kurczowo kawałka skórzastego wiązadła łączącego skrzydło ze stopą. Szybownik zachwiał się pod jej ciężarem, puścił Veggy'ego i obróciwszy się do niej twarzą, próbował wyrwać nogę. Jego towarzysz, obarczany teraz całym ciężarem chłopca, przystanął, wyciągając nóż. Ivin skoczyła na niego z furią. To ona zrodziła Veggy'ego; nie pozwoli go zabić. Mignęła klinga szybownika. Ivin nadziała się na nóż. Rozpruł jej brzuch, aż wypłynęły brązowe jelita. Nie wydawszy krzyku, runęła z gałęzi. Po jej upadku w listowiu rozpętała się burza, gębokłapy walczyły o jej ciało.

Atak Ivin odrzucił do tyłu szybownika, który upuściwszy spletanego Veggy'ego, pozostawił swego towarzysza wciąż mocującego się z Jury. Rozpostarł skrzydła i wystartował ociężale za dwójką unoszącą między sobą w zieloną gęstwinę Bain. Nie spała już cała grupa. Lily-yo bez słowa rozwiązała Veggy'ego, który nawet nie zapłakał, jak przystało dziecku mężczyźnie. Tymczasem Haris ukląkł przy Jury i jej skrzydlatym przeciwniku, w milczeniu walczącym o wolność. Wzniósł nóż, by zakończyć walkę.

– Nie zabijaj mnie! Ja odejdę! – zawołał szybownik. Głos miał chrapliwy, słowa ledwo dały się zrozumieć. Sama jego obcość przepelniała Harisa okrucieństwem, od którego ściągnęły mu się wargi, ukazując koniuszek języka między zębami. Wbił nóż głęboko pod zebra szybownika, czterokrotnie, aż krew pociekła po jego zaciśniętej pięści. Jury podniosła się i wsparła na Flor, dysząc ciężko.

– Stara jestem – powiedziała. – Kiedyś zabicie szybownika było fraszką.

Spojrzała na mężczyznę Harisa z wdzięcznością. Nadawał się nie tylko do tej jednej rzeczy Lewą stopą popchnęła bezwładne ciało szybownika na brzeg konara. Potoczyło się i spadło. Ze swoimi steranymi,

pomarszczonymi skrzydłami beżużytecznie otulającymi mu głowę szybownik poleciał w zieleń.

Leżeli w ostrych liściach dwóch krzewów suchoświstu, pławiąc się w jaskrawym słońcu, lecz wciąż czujni na wypadek napaści. Ich wspinaczka dobiegła końca. Dziewięcioro dzieci po raz pierwszy zobaczyło teraz Wierchołki i oniemiało z wrażenia. Lily–yo i Flor wspierane przez Daphe ponownie obległy pudłopłon, ocieniając krzew trzymanymi w dłoniach liśćmi. Gdy oklapł bezsilnie, Daphe odcięła sześć wielkich przezroczystych pudeł, które miały się stać ich trumnami. Hy pomogła jej odnieść je w ukrycie, po czym Lily–yo i Flor cisnęły swe liście i skoczyły pod osłonę suchoświstów.

Przepełnęła chmara latawic, szokując barwami ich zwykle zatopione w zieleni oczy: błękitami nieba, żółciami, brązami i zielenią połyskliwą jak woda. Jedna z latawic przysiadła w trzepocie skrzydeł na kępie szmaragdowego listowia tuż koło nich. To był wargokap. Latawica niemal w jednej chwili zszarzała, tak szybko wyssał jej niewielki zapas soków żywotnych. Rozsypała się na popiół.

Lily–yo wstała ostrożnie i podprowadziła grupę do najbliższej pajęczej nici trawersera. Każdy dorosły niósł własną urnę. Trawersery, te największe z wszelkiego stworzenia – czy to roślin, czy czegokolwiek innego, nigdy nie były w stanie zapuścić się w las. Snuły swoje sznury w górnych gałęziach, umacniając sieć bocznymi odciągami. Znalazszy odpowiednią nic bez trawersera w zasięgu wzroku, Lily–yo odwróciła się i dała znak do postawienia urn. Przemówiła do Toy, Grena i siedmiorga pozostałych dzieci:

– A teraz pomóżcie nam i naszym duszom wejść do pudłopłonów. Dopilnujcie zamknięcia. Potem zaniesiecie nas i przykleicie do pajęczyny. A potem żegnajcie. My Odchodzimy Wyżej, zostawiając grupę w waszych rękach. Teraz wy jesteście żywymi.

Toy zawahała się na moment. Wiotka dziewczyna, z piersiami jak brzoskwinie.

– Nie odchodź, Lily–yo – odezwała się. – My wciąż cię potrzebujemy i ty wiesz, że jesteś nam potrzebna.

– Tak już jest – powiedziała stanowczo Lily–yo. Podważyła jedną ze ścian urny i wśliznęła się do swojej trumny. Z pomocą dzieci pozostali

dorośli uczynili to samo. Lily–yo z nawyku zerknęła na mężczyznę Harisa, by się upewnić, czy jest bezpieczny. Wreszcie wszyscy znaleźli się w swoich przezroczystych celach. Przepenił ich zaskakujący spokój i pogoda. Dzieci niosły trumny z obu stron, ani na chwilę nie przestając nerwowo spoglądać w niebo. Bały się. Czuły swoją bezradność. Tylko śmiały Gren, dziecko mężczyzna, sprawiał wrażenie, jakby radowało go nowe poczucie ich niezależności. Bardziej niż Toy dyrygował innymi podczas lokowania urn na linie trawersera.

Lily–yo czuła dziwny zapach w urnie. Nasączył jej płuca, otumaniał zmysły. Wyraźny obraz na zewnątrz zaszedł mgłą i oddalił się. Widziała, jak zwisa uciepiona nici trawersera ponad wierzchołkami drzewa, w otoczeniu Flor, Harisa, Daphe, Hy i Jury dyndających bezwładnie w pozostałych urnach. Dostrzegła dzieci, nową grupę, uciekające w ukrycie. Nie obejrzawszy się za siebie, zanurkowały w gmatwaninę listowia na tarasie i znikły.

Trawerser unosił się na znacznej wysokości ponad Wierzchołkami, z dala od nieprzyjaciół. Błękitna przestrzeń rozciągała się wszędzie wokół, a niewidzialne promienie kosmiczne obmywały go i syciły. Wciąż jednak trawerser był zależny od Ziemi, na której znajdował pożywienie. Po wielu godzinach leniwej drzemki przekreślił się i zsunął po linie. Inne trawersery w sąsiedztwie wisiały bez ruchu. Z rzadka ten czy ów wypuszczał pęcherz powietrza bądź wierzgał nogą, próbując strącić dokuczliwego pasożyta. Do nich należała bezczynność na nie osiągniętym nigdy przedtem poziomie. Czas się dla nich nie liczył, ich było Słońce i na zawsze pozostanie, dopóki nie straci stabilności, zamieniając się w nową, i nie wypali zarówno trawerserów, jak i siebie. Trawerser osiadał, stopy migały, prawie nie dotykając liny. Opadał prosto na las, nurkując ku jego liściastym katedrom. Tutaj w powietrzu żyli wrogowie, przeciwnicy wielokrotnie mniejsi, ale o wiele bardziej zjadliwi, znacznie bardziej przebiegli.

Tylko osice, podstępne i niepokonane, potrafiły uśmiercać trawersery. Przez długie, powolne tysiąclecia, w miarę nasilania się promieniowania słonecznego, roślinność przeżywała okres rozwoju, osiągając bezdyskusyjną supremację. Osice również się rozwijały, dotrzymując kroku nowym przemianom. Zwiększyła się ich liczebność i rozmiary, gdy w tym samym czasie królestwo zwierzęce odeszło pochłonięte przez wzbierającą falę zieloności. Wkrótce stały się głównymi wrogami trawerserów. Napadały rojami i porażały ich prymitywne ośrodki nerwowe,

pozostawiając ofiary jak pijane, toczące się ku zgubie. Osice składały również jaja w tunelach drążonych w tkance przeciwników, którą z apetytem żywiły się wyklute larwy. To właśnie zagrożenie bardziej niż jakiegokolwiek inne od wielu tysięcy wypierało trawersery coraz dalej i dalej w przestrzeń. W tych na pozór niegościnnych rejonach osiągnęły pełnię swego monstualnego rozkwitu. Silne promieniowanie stało się im niezbędne.

Pierwsi astronauta przyrody – zmienili krajobraz firmamentu. Długo po tym, jak człowiek wycofał się na drzewo, skąd kiedyś przybył, trawersery ponownie opanowały te ścieżki, które on utracił. Długo po tym, jak inteligencja spadła z wyżyn swego panowania, trawersery nierozzerwalnie połączyły zielony glob z białym za pomocą tego antycznego symbolu – sieci pajęczej.

Trawerser wgramolił się pomiędzy listowie Wierzchołków, zjeżywszy na grzbiecie włosy, których zielono–czarne łaty zapewniały mu naturalny kamuflaż. W drodze na dół zebrał kilka stworzeń szamoczących się w jego sznurach. Wessał je bez pośpiechu. Gdy umilkły odgłosy siorbania, trawerser oddał się wegetacji. Z letargu wyrwało go bzykanie.

Przed prymitywnymi oczami śmignęły mu żółto–czarne pasy. Znalazła go para osic. Trawerser zareagował z wielką chyżością. Jego ścieśniony atmosferycznym ciśnieniem masywny kadłub mierzył ponad milę długości, a jednak trawerser ruszył lekko jak pyłek, zmykając w górę liny z powrotem w bezpieczną próżnię. Zamiatając nogami pajęczynę w czasie odwrotu, zbierał rozmaite zarodniki, łuskacze i wszelki przylepiony do sieci drobiazg. Zebrał też sześć pudłopłonów zawierających nieprzytomnych ludzi, nie zauważając nawet, że zawisły mu u goleni.

Kilka kilometrów wyżej trawerser przystanął. Otrząsając się z przerażenia, wypuścił pęcherz tlenu i delikatnie doczepił go do liny. Znieruchomiał. Zadrżały mu czułki, po czym wziął kurs na głęboką otchłań, powiększając się przez cały czas w miarę spadku ciśnienia. Jego szybkość rosła. Podkurczając odnóża, zaczął wyrzucać świeżą nić z gruczołu przedniego pod odwłokiem. Tak się napędzając, wirował wolno dla stabilizacji ciepłoty – ogromny roślinny stwór, prawie bez czucia. Silne radiacje skąpały trawersera. Pławił się w promieniowaniu. Był w swoim żywiole.

Daphe obudziła się. Otworzyła oczy i spojrzała bezmyślnie. To, co

ogłądała, nic jej nie mówiło. Wiedziała tylko, że Odeszła Wyżej. Z nową egzystencją nie wiązała żadnego znaczenia. Część widoku z jej urny przesłaniały sztywne, żółtawe włókna, które mogły być włosami lub badyłami. Wszystko inne było niepewne – albo skąpane w oślepiającym blasku, albo spowite głębokim cieniem. Światło i cień zamieniały się miejscami. Stopniowo Daphe rozpoznawała inne obiekty. Najbardziej rzucała się w oczy wspaniała zielona półkula, mieniąca się bielą i błękitem. Czyżby owoc? Do niej podążały połyskujące tu i tam liny, wiele lin, srebrzystych lub rozłożonych w szalejącym blasku. W pewnej odległości rozpoznała dwa podróżujące szybko trawersery, które wyglądały jak mumie. Jaskrawe plamy światła migotały boleśnie. Jeden wielki zamęt. Tu była kraina bogów.

Daphe nic nie czuła. Obezwładniło ją dziwne odrętwienie. W urnie unosił się obcy zapach. Powietrze wydawało się gęste. Wszystko przypominało senny koszmar. Otworzyła usta, szczęki kleiły się i opierały woli. Krzyknęła. Głos uwiązał jej w gardle. Ogarnął ją ból. Szczególnie boki. Nawet gdy zamykała oczy, jej usta pozostały rozdziawione.

Trawerser sphywał na Księżyc jak wielki, kosmaty balon. Trudno powiedzieć, że myślał – był czymś tylko trochę więcej niż mechanizmem. Jednakże zrodziło się gdzieś w nim odczucie, że ta miła podróż trwała zbyt krótko; że istnieją inne kierunki żeglugi. Ostatecznie znienawidzonych osic było teraz tyle samo na Księżycu, ile na Ziemi, i tak samo uprzykrzonych. Może gdzieś tam jest spokojny zakątek, jeszcze jedno z tych półkolistych miejsc z zieloną paszą, wśród ciepłych, wspaniałych promieni... Może kiedyś, z pełnym żołądkiem, warto by wypłynąć, biorąc nowy kurs na...

Nad Księżycem wisiało wiele trawerserów. Wszędzie rozciągały się ich niechlujne sieci. I~Z była ich oaza szczęśliwości, upodobana bardziej od Ziemi, na której powietrze było gęściejsze, a członki mniej sprawne. Tu było miejsce, które one pierwsze odkryły, nie licząc jakichś drobnych istot, o których słuch zaginął długo przed ich nadejściem. Były ostatnimi panami stworzenia. Największe, najbardziej wielkopańskie, rozkoszowały się swą długą, gnuśną hegemonią.

Trawerser zwolnił, nie wysnuwając więcej liny. Wybrał kierunek w pajęczynie i sphywał w dół ku bladej wegetacji Księżyca. Tutaj warunki były zupełnie inne niż na ciężkiej planecie. Wielopniowe figowce nigdy nie uzyskały tu przewagi, w rozrzedzonym powietrzu i słabym ciężeniu

przerosły swoją wytrzymałość i załamały się. W ich miejsce wyrosły monstrualne selery i pietruszki i właśnie na ich zagonie siadł trawerser. Świszcząc z wysiłku, wypuścił pęcherz powietrza i spoczął. Wielki wór jego kadłuba szorował o łądygi podczas lądowania w listowiu; jego nogi tarły o gęstwinę. Z ciała i nóg opadał deszcz drobnych odłamków – łuskacze, nasiona, pyły, orzechy i liście, złapane w lepkie włókna sieci na odległej Ziemi. Wśród tego luźnego materiału znajdowało się sześć pojemników nasiennych krzewu pudłopłonu. Potoczyły się po gruncie, aż znieruchomiały.

Mężczyzna Haris obudził się pierwszy Jęknąwszy z niespodziewanego bólu w bokach, spróbował usiąść. Ucisk na czoło przypomniał mu, gdzie się znajduje. Podkurczając kolana i ramiona, napał na pokrywę swej trumny. Opierała się przez moment, po czym rozleciała się na kawałki, a Haris rozciągnął się jak długi. Nieubłagana próżnia zniszczyła spajające trumnę siły Haris leżał tam, gdzie upadł, niezdolny stanąć o własnych siłach. Chciwie zaciągał się świeżym powietrzem. Wydało mu się z początku rzadkie i zimne, jednak oddychał nim z wdzięcznością. Po pewnym czasie poczuł się na tyle dobrze, że powiódł spojrzeniem dokoła. Długie, żółte macki wyciągały się z pobliskiej gęstwiny, delikatnie przeciskając się w jego kierunku. Z niepokojem rozejrzał się za kobietami, zdziwiony, że nie stają w jego obronie. Nie było ich. Opornie, z zeszywniałymi ramionami, wyciągnął nóż zza pasa, obrócił się na bok i obciął dosięgające go już macki. To był słaby przeciwnik.

Na widok własnego ciała wydarł mu się okrzyk. Skoczył na chwiejne nogi pełen obrzydzenia wobec siebie. Pokrywały go łuski. Co gorsza, ubranie opadło z niego w strzępach, ujawniając płaty skórzastego ciała wyrastające mu z ramion, żeber i nóg. Kiedy podniósł ramiona, narośl rozciągnęła się prawie na kształt skrzydeł. Oszepeciono go, zniszczono jego piękne ciało. Usłyszał jakiś dźwięk i obracając się po raz pierwszy, przypomniał sobie współtowarzyszy. Lily-yo wygrzebywała się ze szczątków swego pudłopłonu. Uniosła dłoń w geście powitania. Ku swemu przerażeniu Haris dostrzegł u niej to samo zeszcpecenie co u siebie. Bogiem a prawdą, ledwo ją poznał z początku. Wyglądała kubek w kubek jak jeden ze znienawdzonych szybowników. Rzucił się na ziemię i zaszłochał, czując wzbierające w sercu strach i wstręt.

Lily-yo nie była stworzona do płaczu. Nie zważając na własne bolesne deformacje, oddychając z wysiłkiem, szperała wokół obojętnych na

wszystko odnoży trawersera w poszukiwaniu czterech pozostałych trumien. Najpierw znalazła urnę Flor, choć była do połowy zagrzebana. Rozsypała się od uderzenia kamieniem. Lily–yo podniosła swoją przyjaciółkę, równie szkaradnie odmienioną jak ona. Flor wkrótce oprzytomniała. Ona też usiadła, chrapliwie wciągając nieznanne powietrze. Lily–yo pozostawiła ją, by odszukać innych. Nawet w tym stanie oszołomienia dziękowała swoim zbolałym członkom, że w tak małym stopniu odczuwają ciężar ciała.

Daphe była martwa. Leżała w swej urnie sztywna i purpurowa. Nie drgnęła, pomimo że Lily–yo roztrzaskała jej pudło i zawołała głośno. Spuchnięty język sterczał upiornie spomiędzy jej warg. Daphe była martwa, Daphe, która kiedyś żyła, Daphe, która tak słodko śpiewała.

Hy również nie żyła. Biedne, zasuszone stworzenie, leżała w trumnie pękniętej podczas żmudnej podróży między dwoma światami. Gdy jej trumna rozsypała się pod ciosem Lily–yo, Hy również zamieniła się w proch. Hy nie żyła, Hy, która zrodziła dziecko męczyznej, Hy rączonoga.

Jury znajdowała się w ostatniej urnie. Poruszyła się, gdy Prowodyrka, dotarłszy do niej, zaczęła zmiatać łuskacze z przezroczystego pudła. Chwilę później siedziała, wdychając świeże powietrze, i ze stoickim, pełnym niesmaku spokojem oglądała swoje zniekształcenie. Jury żyła.

Haris przykuśtykał do kobiet. W garści ścisnął swoją duszę.

– Tylko czworo! – wykrzyknął. – Przyjęli nas bogowie, czy nie?

– Czujemy ból, więc żyjemy – powiedziała Lily–yo. – Daphe i Hy zabrała zieleń.

Haris cisnął swoją duszę i zdeptał ją.

– Popatrzmy na siebie! Lepiej było umrzeć! – zawołał z goryczą.

– Nim to rozstrzygniemy, zjedzmy coś – odparła Lily–yo. Niezdarnie wycofali się w gąszcz, na nowo przyswajając sobie pojęcie niebezpieczeństwa. Flor, Lily–yo, Jury, Haris wszyscy podtrzymywali się nawzajem. Idea męskiego tabu została jakby zapomniana.

– Nie ma tu prawdziwych drzew – z dezaprobatą powiedziała Flor w trakcie przedzierania się przez gigantyczne selery, których grzywy falowały wysoko nad ich głowami.

– Uwważaj! – przestrzegła Lily–yo. Pociągnęła Flor do tyłu. Coś

zagrzechotało i szczękęło jak pies na łańcuchu, o centymetry od nogi Flor. Chybiwszy ofiary, gębokłap powoli rozwierał szczęki, obnażając swe zielone kły. Ten okaz stanowił zaledwie cień straszliwych gębokłapów pleniących się na piętrach ziemskiej dżungli. Szczęki miał słabsze, ruchy daleko bardziej ograniczone. Bez osłony wielkich figowców gębokłapy wyleciały z siodła. Coś z tego samego odczucia ogarniało ludzi. I oni, i ich przodkowie żyli w wysokich drzewach od niezliczonych pokoleń. Bezpieczeństwo było właściwe drzewom. Tutaj też istniały drzewa, ale tylko selerów i pietruszki, nie odznaczające się twardością skały ani mnogością konarów. Posuwali się więc zdenerwowani, zagubieni, obolali, nie wiedząc ani gdzie się znajdują, ani po co istnieją. Zwycięsko stawiali czoło skaczopnączom i cierniotrakom. Obeszli gąszcz parzyperzu, wyższy i szerszy od wszystkich, jakie można spotkać na Ziemi. Warunki niekorzystne dla jednego rodzaju rośliny sprzyjały innemu.

Po przejściu zbocza natknęli się na jeziorko zasilane przez strumień. Nad wodą zwisały się jagody i owoce o słodkim smaku, nadające się do jedzenia.

– Nie jest tak źle – powiedział Haris. – Może da się jeszcze pożyć.

Lily–yo uśmiechnęła się do niego. Źródło największych kłopotów, największy leń, a jednak cieszyła się, że go tu widzi. Po kąpieli w jeziorku przyjrzała mu się na nowo. Pomimo dziwacznej pokrywy z łusek i dwóch szerokich fałdów ciała zwisających mu po bokach, ciągle wart był grzechu, ponieważ to był Haris. Miała nadzieję, że i ona jakoś ujdzie. Łuskaczem zacesała włosy do tyłu, wypadło ich tylko kilka.

Zjedli posiłek. Potem Haris zabrał się do roboty, zbierając nowe noże z krzaków jeżyny. Nie były takie twarde jak tamte na Ziemi, lecz musiały im wystarczyć. Następnie wylegiwali się na słońcu. Rytm ich życia został kompletnie zakłócony. Żyli, opierając się bardziej na instynkcie niż inteligencji. Bez grupy, bez drzewa, bez Ziemi – stracili kierunek. Jak jest, a jak nie jest – przestało być dla nich jasne. Więc pozostali tam, gdzie się znaleźli, i odpoczywali.

Leżąc, Lily–yo rozglądała się dokoła. Wszystko było obce; serce biło jej szybciej. Chociaż słońce świeciło jasno jak zwykle, niebo miało ciemnobłękitny kolor jagody zbójnicy. A pasma zieleni, błękitu i bieli zasnuwały błyszczącą na niebie półkulę, tak że Lily–yo nie poznawała rodzinnej Ziemi. Prowadziły tam widmowe, srebrzyste nici, podczas gdy

bliżej, jakby w zasięgu ręki, lśniła siatka pajęczyny trawerserów, unerwiająca całe niebo. Trawersery przemieszczały się nad nią jak obłoki, wielkie i leniwe. Wszystko dokoła stanowiło ich imperium, ich dzieło. Podczas pierwszych wypraw w to miejsce, wiele tysięcy temu, trawersery dosłownie położyły podwaliny pod ten świat. Początkowo marniały i ginęły tysiącami na niegościnnych popiołach. Lecz nawet po śmierci składały małą daninę tlenu i innych gazów, gleby, zarodników i nasion, które kiełkowały później na urodzajnych zwłokach. Z upływem leniwych stuleci rośliny zyskały coś w rodzaju przyczółka. Rosły. Rosły z początku cherlawe i karłowate. Rosły z uporczywością porostów. Wydychały. Rozprzestrzeniały się. Rozwijały. Z wolna pozieleniały splekane pustynie oświetlonej strony Księżyca. W kraterach zaczęły kwitnąć pnącza. Na gołe stoki wpęzła pietruszka. W miarę jak atmosfera gęstniała, magia życia rosła w siłę, tego rytm krzepł, wzmagало się tempo. Trawersery zdominowały Księżyc dokładniej, niż udało się to kiedyś innemu rodzajowi panującemu.

Lily-jo niewiele o tym wiedziała i niewiele ją to obchodziło. Odwróciła twarz od nieba. Flor podczołgała się do mężczyzny Harisa. Leżała przy nim i gładziła go po czuprynie, gdy obejmował ją ramionami, przykrywając na poły swą nową skórą. Lily-jo skoczyła do nich z wściekłością. Wymierzywszy Flor kopniaka w goleń, rzuciła się na nią z pazurami i zębami. Jury pobiegła jej na pomoc.

– To nie jest pora parzenia się! – krzyknęła Lily-jo. Jak śmiesz dotykać Harisa?!

– Puśćcie mnie! Przestańcie! – wrzeszczała Flor. – Haris pierwszy mnie dotknął!

Zaskoczony Haris dał susa. Rozłożył ramiona i machnąwszy nimi, bez wysiłku wzbił się w powietrze.

– Patrzcie! – zawołał z mieszaniną trwogi i zachwytu. Zobaczcie, co umiem!

Rzykownie zatoczył nad ich głowami koło. Po czym stracił równowagę i jak kamień runął głową w dół, rozdziawiając usta ze strachu. Wpadł do jeziora. Trzy zdenerwowane, rażone trwogą i miłością ludzkie istoty płci żeńskiej zanurkowały zgodnie na ratunek.

Susząc się, usłyszeli jakieś odgłosy dochodzące z lasu. W jednej chwili

powróciła czujność, znów stali się sobą, jak dawniej. Dobyli mieczy i obrócili się ku gęstwinie. Nadciągający glistoglut nie przypominał swych ziemskich braci. Nie sunął w postawie pionowej, jak nieprzyzwoita zabawka, tylko pełzał jak gąsienica. Ludzie ujrzeli jego wynaturzone oko wyzierające z selerów. Zawróciwszy, rzucili się do ucieczki.

Nawet gdy już niebezpieczeństwo zostało daleko w tyle, nie zwalniali tempa, sami nie wiedząc, dokąd gnają. Raz się przesпали, podjedli i znów pędzili przez gąszcz bez końca, w dzień bez zmierzchu, aż wreszcie chaszcze rozstały się przed nimi. Dalej wszystko kończyło się jakby, po czym zaczynało się od nowa. Ostrożnie podeszli zobaczyć, do czego dotarli. Pod stopami grunt mieli nierówny. W pewnym momencie całkiem się rozstał w szeroką rozpadlinę. Po drugiej stronie wąwozu, jak i tu, krzewiła się roślinność, lecz jak ludzie mieli przekroczyć taką przepaść? Cała czwórka zatrzymała się w napięciu tam, gdzie kończyły się paprocie, spoglądając na drugi, odległy brzeg. W głowie Harisa rodził się w bólach jakiś kłopotliwy pomysł, na co wskazywał grymas męki na jego twarzy.

– To, co zrobiłem przedtem... mówię o fruwaniu w powietrzu... – zaczął niezdarne. – Jeżeli zrobimy to jeszcze raz, wszyscy razem, to przelecimy na drugą stronę.

– Nie! – powiedziała Lily–yo. – Gdy się wzniesiesz, spadniesz jak kamień w dół. Zabierze cię zieleń!

– Poradzę sobie lepiej niż wtedy. Myślę, że już posiadam tę sztukę.

– Nie! – powtórzyła Lily–yo. – Nigdzie nie polecisz! To niebezpieczne.

– Pozwól mu – odezwała się Flor. – Mówi, że już opanował tę sztukę.

Dwie kobiety stały naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Korzystając z okazji, Haris podniósł ramiona, zamachał nimi i oderwawszy się nieco od ziemi, zaczął pracować również nogami. Posuwał się nad przepaścią, dopóki nerwy nie odmówiły mu posłuszeństwa. Z trzepotem tracił wysokość, a wiedzione instynktem Flor i Lily–yo skoczyły za nim z urwiska. Rozłożywszy ramiona, z krzykiem szybowały wokół niego. Jury została; z góry dolatywało jej przesycone złością i niepokojem wołanie. Odzyskawszy nieco równowagi, Haris ciężko wylądował na wystającej półce skalnej. Obie kobiety siadły przy nim wśród połajanek i paplaniny. Na wszelki wypadek przyłgnęli do ściany urwiska i spojrzeli w górę. Lej pomiędzy obramowanymi paprocią krawędziami wsysał wąski, purpurowy

kawałek nieba. Nie mogli dostrzec Jury, choć wciąż słyszeli jej krzyki. Odkrzyknęli jej.

W ścianie, za występem, na którym stali, otwierał się tunel. Cała powierzchnia skały usiana była podobnymi otworami, jak gąbka. Z tunelu wybiegła trójka szybowników, dwaj mężczyźni i jedna kobieta, z dzidami i sznurami w dłoniach. Flor z Lily-yo stały pochylone nad Harisem. Obalono je i wszystkich troje związano sznurami, nim mieli czas się pozbierać. Z dalszych otworów wyskakiwało coraz więcej szybowników i ciągnęło lotem ślizgowym na pomoc pobratymcom. Lot ich był pewniejszy, wdzięczniejszy niż na Ziemi. Być może miał z tym coś wspólnego fakt, że ludzie mniej tutaj ważyli.

– Dawajcie ich! – pokrzykiwali szybownicy. Ich ostre, przebiegłe twarze migwały wokoło podczas windowania i wnoszenia pojmanych do ciemnego tunelu. Lily-yo, Flor i Haris z przerażenia zapomnieli o Jury, wciąż przyczajonej nad krawędzią przepaści. Nie ujrzeli jej już nigdy.

Tunel opadał łagodnie. Po pewnym czasie zakręcił i połączył się z drugim, biegnącym prosto i idealnie poziomo. Ten z kolei prowadził do olbrzymiej jaskini o regularnych ścianach i prostym sklepieniu. Szare światło dzienne wpadało do wewnątrz w jednym jej końcu, jako że znajdowała się na dnie wąwozu. Trójkę więźniów zaniesiono na środek jaskini. Zabrano im noże i zdjęto więzy Zbili się w wylekzioną gromadkę, co widząc jeden z szybowników wystąpił naprzód i przemówił:

– Nie zrobimy wam krzywdy, jeżeli nas do tego nie zmusicie. Przybyliście na trawerserze z Ciężkiego Świata. Jesteście tu obcy. Kiedy nauczycie się naszych zwyczajów, przyjmiemy was do siebie.

– Jestem Lily-yo – odparła arogancko Lily-yo. – Musicie mnie puścić. My troje jesteście ludźmi, a wy jesteście szybownikami.

– Zgoda, wy jesteście ludźmi, my jesteśmy szybownikami. Równie dobrze my możemy być ludźmi, a wy szybownikami, bo wszyscy wyglądamy tak samo. W tej chwili niczego nie wiecie. Wkrótce dowiecie się więcej, po rozmowie z Jeńcami. Oni powiedzą wam wiele rzeczy.

– Jestem Lily-yo. Wiem wiele rzeczy

– Jeńcy powiedzą ci wiele rzeczy więcej – obstawał przy swoim szybownik.

– Jeżeli jest wiele więcej rzeczy, wiem o nich na pewno, ponieważ jestem Lily–yo.

– Ja jestem Band Appa Bondi i mówię: chodź zobaczyć się z Jeńcami. Twoja mowa jest głupią mową Ciężkiego Świata, Lily–yo.

Kilku szybowników przybrało agresywną postawę, aż Haris trącił łokciem Lily–yo i zamruczał:

– Zróbmy, o co prosi. Nie przysparzaj kłopotów. Naburmuszona Lily–yo dała się zaprowadzić wraz z dwójkiem towarzyszy do drugiej komnaty. Była ona częściowo zrujnowana i panował w niej smród. W przeciwnym kącie zwał żuźlowej skały znaczył miejsce zapadnięcia się dachu, a na podłodze strzała promieni słonecznych płonęła nie słabnącym blaskiem, wznosząc wokół siebie kurtynę złocistego światła. W zasięgu tego światła znajdowali się Jeńcy.

– Nie bójcie się spotkania z nimi. Nie zrobią wam krzywdy – powiedział Band Appa Bondi, wysunąwszy się na czoło. Ludzie potrzebowali słów pocieszenia, gdyż Jeńcy nie grzeszyli urodą. Ośmiu ich było, ośmiu Jeńców zamkniętych w ośmiu wielkich pudłopłonach, dostatecznie obszernych, by służyły im za ciasne cele. Pudła rozstawiono półkolem. Band Appa Bondi powiódł Lily–yo, Flor i Harisa na środek półkola, skąd mogli widzieć i być widziani. Przykro było patrzeć na Jeńców. Każdy był w jakiś sposób okaleczony. Jeden nie miał nóg. Inny nie miał ciała na dolnej szczęce. Następny miał cztery powykręcane karłowate ramiona. Kolejny krótkie skrzydełka z tkanki mięśniowej, łączące muszle uszne z kciukami, żył więc z dłońmi nieustannie wzniesionymi w pół drogi do twarzy. Następny miał pozbawione kości ręce, wiszące bezwładnie po bokach, i jedną bezkostną nogę. Innemu wyrosły monstrialne skrzydła, które wlokły się za nim jak dywan. Jeden z nich skrywał swoje łożne kształty za zasłoną własnych ekskrementów, rozmazanych po przezroczystych ścianach celi. Jeszcze inny miał drugą głowę – małą, zasuszoną narośl wyrastającą na pierwszej, która z kolei mierzyła Lily–yo niechętnym spojrzeniem. Ten ostatni Jeniec, przewodzący, jak się wydawało, pozostałym, przemówił teraz ustami swojej właściwej głowy:

– Jestem Głównym Jeńcem. Witam was, dzieci, i zapraszam do poznania samych siebie. Wy jesteście z Ciężkiego Świata, my jesteśmy ze Świata Prawdziwego. Teraz dołączacie do nas, ponieważ należycie do nas. Choć wasze skrzydła i łuski są świeże, proszę, czujcie się jak u siebie w

domu.

– Jestem Lily–yo. My troje jesteśmy ludźmi, a wy niczym innym, jak tylko szybownikami. Nie przystaniemy do was. Jeńcy zamamrotali ze znudzeniem.

– Zawsze to gadanie, mieszkańcy Ciężkiego Świata! Zrozumcie, że już do nas przystaliście, stając się jednymi z nas. Wy jesteście szybownikami, my jesteśmy ludźmi. Wy niewiele wiecie, my wiemy wiele.

– Lecz my...

– Skończ swą głupią mowę, kobieto! – My jesteśmy...

– Zamilcz, kobieto, i posłuchaj – odezwał się Band Appa Bondi.

– My wiele wiemy – powtórzył Główny Jeniec. – Niektóre rzeczy powiemy wam teraz, byście zrozumieli. Każdy, kto przebywa drogę z Ciężkiego Świata, zostaje odmieniony Niektórzy umierają. Większość żyje i dostaje skrzydeł. Pomiędzy światami jest dużo silnych promieni, niewidzialnych i niewyczuwalnych, które zmieniają nasze ciała. Skoro dotarliście tutaj, skoro przybyliście na Świat Prawdziwy, staliście się prawdziwymi ludźmi. Larwa osicy nie jest osicą, dopóki się nie przeobrazi. Tak właśnie przeobrażają się ludzie, zostając tymi, których nazywacie szybownikami.

– Nie potrafię zrozumieć, o czym on mówi – rzekł Haris i rzucił się na ziemię. Ale Lily–ya i Flor słuchały.

– Do tego, jak go nazywasz, Świata Prawdziwego przybyliśmy umrzeć – powiedziała z powątpiewaniem Lily–yo. – Larwa osicy myśli, że umiera, przeobrażając się w osicę – odparł Jeniec z pozbawioną ciała szczęką.

– Jesteście młodzi – ciągnął Główny Jeniec – wkroczyliście w nowe życie. Gdzież są wasze dusze?

Lily–yo i Flor popatrzyły po sobie. Uciekając przed glistoglutem, wyrzuciły je beztrzesko. Haris swoją podeptał. To było nie do pomyślenia!

– Widzicie. Nie potrzebujecie już swoich dusz. Jesteście ciągle młodzi i może będziecie w stanie mieć dzieci. Niektóre z tych dzieci mogą się urodzić ze skrzydłami.

– Niektóre mogą urodzić się nienormalne, jak my. Inne mogą się urodzić normalne – dodał Jeniec z bezkrotnymi ramionami.

– Jesteście zbyt obrzydliwi, by żyć! – warknął Haris. Czemu was nie zabito za te potworne kształty?

– Bo wiemy wszystkie rzeczy – odpowiedział Główny Jeniec. Jego druga głowa ocknęła się i odezwała bezbarwnym głosem: – Typowy kształt nie jest wszystkim w życiu. Wiedzieć – to równie ważne. Ponieważ nie potrafimy się dobrze poruszać, możemy myśleć. Tutejsze plemię Świata Prawdziwego jest dobre i rozumie wartość myślenia. Więc pozwala nam sobą rządzić.

Flor i Lily–yo poszeptały między sobą.

– Czy chcesz powiedzieć, że wy, nieszczęśni Jeńcy, rządzicie Światem Prawdziwym? – zapytała wreszcie Lily–yo. – Rządzimy.

– To dlaczego jesteście Jeńcami?

Szybownik o muszlach usznych zrośniętych z kciukami, wykonując nieustannie gest słabego protestu, odezwał się po raz pierwszy głębokim, przytłumionym głosem:

– Rządzić znaczy służyć, kobieto. Ci, którzy sprawują władzę, są jej niewolnikami. Tylko wygnaniec jest wolny. Ponieważ jesteśmy Jeńcami, mamy czas, by mówić, myśleć, zamierzać i wiedzieć. Ci, którzy wiedzą, kierują nożami innych. Jesteśmy silni, chociaż rządzimy bez użycia siły

– Nie spotka cię nic złego, Lily–yo – powiedział Band Appa Bondi. – Będziesz żyć z nami i cieszyć się swym beztroskim życiem.

– Nie! – powiedział Główny Jeniec dwojgiem ust naraz. Zanim będą się mogły cieszyć, Lily–yo i jej towarzyszka... bo tamto męskie stworzenie jest jawnie bezużyteczne... muszą wesprzeć nasz wielki cel.

– Sądzisz, że powinniśmy im powiedzieć o inwazji? – zapytał Bondi.

– Dlaczego by nie? Flor i Lily–yo, przybywacie tu w samą porę. Wspomnienia Ciężkiego Świata i jego okrutnego życia żyją w was. Potrzebujemy takich wspomnień. Oto zwracamy się do was, abyście udały się tam ponownie w naszym wielkim celu.

– Wracać? – wyrwało się Flor.

– Tak. Zamierzamy zaatakować Ciężki Świat. Musicie pójść z awangardą naszych sił.

Długie popołudnie wieczności ciągnęło się, ciągnęła się jego długa, złocista droga, która kiedyś miała zawieść do bezkresnej nocy. Był ruch, lecz nie było wydarzeń, z wyjątkiem tych bez znaczenia, które wydawały się ważne jedynie uczestniczącym w nich istotom.

Dla Lily–yo, Flor i Harisa wiele się wydarzyło. Najważniejsze – opanowali latanie. Związane ze skrzydłami bóle ustąpiły wkrótce po tym, jak młode, wspaniałe ciało i ściętna okrzepły. Latanie przy słabej sile ciężenia stawało się coraz przyjemniejsze, brzydkie, łopoczące ruchy szybowników pozostały na Ciężkim Świecie. Nauczyli się latać w grupie i w grupie polować. Z czasem zaczęto ich wdrażać w realizację celu Jeńców.

Szczęśliwe to były przypadki, które sprowadziły pierwszych ludzi w pudłopłonach na ten świat – coraz bardziej unaoczniły mijające tysiąclecia. Istoty ludzkie stopniowo adaptowały się w Świecie Prawdziwym. Przeciętą ich życia wzrastała, panowanie okrzepło, gdy jednocześnie na Ciężkim Świecie pogarszały się warunki dla wszystkiego, co nie było roślinną vegetacją. Przynajmniej Lily–yo dostrzegła szybko, o ile łatwiejsze stało się życie w nowym otoczeniu. Siedząc z Flor wśród kilkunastu towarzyszy, jadła papkę z wycierucha przed przystąpieniem do wykonania rozkazu Jeńców i podróżą na Ciężki Świat. Z trudem przyszło Jej wyrazić to wszystko, co czuje.

– Tutaj nic nam nie grozi – powiedziała, wskazując cały ten zielony, omdlewający w spiekocie obszar pod srebrzystą siecią pajęczyn.

– Jedynie osice – przytaknęła Flor.

Wypoczywali na gołym szczycie, do którego nie docierały nawet olbrzymie pnącza i gdzie powietrze było rzadsze. Niesforna zieleń rozciągała się pod nimi prawie jak na Ziemi, chociaż kolisty formacje skalne trzymały ją tutaj w ustawicznym szachu.

– Ten świat jest mniejszy – powiedziała Lily–yo w kolejnej próbie przekazania Flor tego, co jej chodziło po głowie. Tu jesteśmy więksi. I nie trzeba tak często walczyć.

– Niebawem będziemy musieli walczyć.

– Potem możemy tutaj znowu wrócić. To dobre miejsce, nie ma tu nic drapieżnego ani tak wielu wrogów. Tutaj grupy mogłyby żyć, nie bojąc się ustawicznie. Veggy, Toy, May, Gren i pozostałe maleństwa – im by się tutaj

podobało.

– Tęskniliby za drzewami.

– Niedługo zapomnimy na zawsze o drzewach. Mamy w zamian skrzydła. Wszystko jest sprawą przyzwyczajenia. Ta błaha pogawędka odbywała się w nieruchomym cieniu skały. Trawersery żeglowały w górze jak srebrne kleksy na tle karmazynowego nieba i przemierzając swoje sieci, z rzadka tylko zapuszczały się daleko w dół do selerów. Lily–yo zagapiła się na te stworzenia, rozmyślając o wielkim celu, który zrodził się w umysłach Jeńców; ich plan przelatywał przed jej oczyma w szeregu ruchomych obrazów. Tak, Jeńcy widzieli. Potrafili przewidywać, czego ona nie umiała. Ona i wszyscy wokół niej żyli jak rośliny, robiąc co popadnie. Jeńcy nie byli roślinami. Ze swoich cel widzieli więcej od tych, co byli na zewnątrz. I właśnie Jeńcy to zobaczyli: że te kilka istot ludzkich, które dotarły do Świata Prawdziwego, zrodziło niewiele dzieci – albo byli za starzy, albo promienie, które spowodowały wyrośnięcie skrzydeł, zabiły ich nasienie. Że tutaj było dobrze, a mogło być jeszcze lepiej, gdyby ludzi było więcej. Że jedynym sposobem ściągnięcia tu ludzi było sprowadzenie niemowląt i dzieci z Ciężkiego Świata.

I tak czyniono od niepamiętnych czasów. Dzielni szybownicy wędrowali z powrotem na tamten, drugi świat i kradli dzieci. Szybownicy, którzy ongiś napadli grupę Lily–yo podczas wspinaczki do Wierzchołków, brali udział właśnie w takiej wyprawie. Porwali Bain, by dostarczyć ją w pudłopłonie do Świata Prawdziwego – i od tamtej pory wszelki słuch po nich zaginął. Wiele zasadzek i niebezpieczeństw czyhało w tej długiej podróży tam i z powrotem. Niewielu powracało. Teraz Jeńcy pomyśleli o lepszym i śmielszym projekcie.

– Trawerser nadchodzi – powiedział Band Appa Bondi, budząc Lily–yo z zadumy – Przygotujmy się do drogi. Rozkazywał grupie dwunastu szybowników wyznaczonych do tego nowego zadania. Był ich przywódcą. Wiódł Lily–yo, Flor, Harisa oraz ośmioro innych, trzech mężczyzn i pięć kobiet. Zaledwie jedno z nich, sam Band Appa Bondi, został przeniesiony na Świat Prawdziwy jako chłopiec, reszta przybyła tu tak samo jak Lily–yo. Podnosząc się, z wolna rozpostarli skrzydła. Nadeszła chwila ich wielkiej przygody. Strach jednak nie miał do nich łatwego przystępu – nie potrafili spojrzeć w przyszłość tak jak Jeńcy, poza być może Bandem Appa Bondim i Lily–yo, która dla dodania sobie otuchy powtarzała w koło: "Tak

już jest". Wreszcie wszyscy rozłożyli szeroko ramiona i wzbili się na spotkanie trawersera.

Trawerser pożywił się. Schwytał w pajęczynę osicę, najsmakowitszego nieprzyjaciela, i wyssał ją, aż pozostał pusty pancerz. Teraz zagłębił się w posłanie z selerów, przygniatając je swoim wielkim cielskiem. Zaczął delikatnie pączkować. Później będzie mógł skierować się ku ogromnym, czarnym zatokom, dokąd wzywały upał i promienie. Zrodził się na tym świecie. Jako osobnik młody, jeszcze nigdy nie odbywał przerażającej, a zarazem upragnionej wyprawy do innego świata.

Pączki kielkowały z jego grzbietu, strzelały, spadały na ziemię i rozbiegały się, aby zagrzebać się w szlamie i błocie, gdzie mogły w spokoju rozpocząć swoje dziesięć tysięcy lat wzrastania. Trawerser chorował, chociaż był młody. Nie wiedział jednak o swojej chorobie. Nie wiedział też, że jej przyczyną była wraza osica. Jego rozległe cielsko było mało wrażliwe na odczucia.

Dwanaście istot ludzkich wylądowało mu na grzbiecie blisko tyłu odwłoka, w miejscu osłoniętym przed gronami Jego oczu. Ludzie zapadli w sztywnych, sięgających ramion włóknach, które spełniały funkcję włosów trawersera, i rozejrzeli się dokoła. Lotniak przemknął górą i zniknął. Trzy chwastaszce rozgarnęły łykowane włosy i przepadły w nich na zawsze. Wszędzie panował spokój, jakby leżeli na niewielkim, opustoszałym pagórku. Po pewnym czasie rozsypali się w tyralierę i ruszyli przed siebie ze spuszczonej głowami, badając wzrokiem podłoże. Band Appa Bondi na jednym skrzydle, Lily-yo na drugim. Ogromny kadłub usiany był wybojami, zryty i pokierszowany, co utrudniało posuwanie się po pochyłości. Zielone, żółte i czarne włókna tworzyły wielobarwny deseń, w naturalny sposób maskując cielsko trawersera przed spojrzeniem z powietrza. W wielu miejscach zakorzeniły się wytrwałe rośliny pasożytnicze, czerpiąc soki ze swego gospodarza; gdy trawerser wyruszy między światy, czeka je śmierć. Ludzie nie szczydzili sił. Raz trawerser zwałił ich z nóg, układając się wygodniej. Zbocze, którym szli, podniosło się gwałtownie, co zwolniło tempo marszu.

– Tutaj! – usłyszeli krzyk Y Coyin, jednej z kobiet. Znaleźli wreszcie to, czego szukali, a na poszukiwanie czego wystali ich Jeńcy. Zbili się wokół Y Coyin z wyciągniętymi nożami, spoglądając w dół na starannie wygryzione włókna, odsłaniające łysinę o średnicy równej wzrostowi

człowieka. Łysinę przykrywał okrągły strup. Lily–yo pochyliła się nad nim i dotknęła. Był niezwykle twardy. Lo Jint przyłożyła ucho. Cisza. Spojrzeli po sobie. Nie potrzebowali sygnału i nie otrzymali żadnego. Przyklekli razem wokół strupa i podważyli go nożami. Nagle trawerser poruszył się. Padli na brzuchy. W pobliżu wychylił się pączek, wystrzelił, stoczył po pochyłości i kiedy spadał na grunt w dole, zrzynek pożarł go w locie. Ludzie podjęli pracę. Strup drgnął. Podnieśli go. Przed nimi odstąpił się mroczny, grząski tunel.

– Ja pójdę pierwszy–powiedział Band Appa Bondi. Opuścił się w dół. Za nim następní. Ciemny krążek nieba u góry towarzyszył im, aż cała dwunastka znalazła się w tunelu. Wtedy zaciągnięto strup na dawne miejsce. Z cichym młaśnięciem zaskoczył i zaczął się ponownie zbliżniać. W pulsującym z lekka zagłębieniu przywarowali na długo. Przykucnęli z nożami w pogotowiu, skrzydła położyli po sobie, ich człowiecze serca waliły mocno. Znajdowali się na wrogim terytorium w podwójnym sensie. Trawersery były sojusznikami w najlepszym razie z przypadku, pożerały ludzi z równą gotowością jak wszystko inne. Lecz ta nora była dziełem żółto–czarnej niszcycielki, osicy. Niezmożone i zaradne osice, jedne z ostatnich prawdziwych owadów, jakie przetrwały, instynktownie wybrały na swoją ofiarę najmocniejszy ze wszystkich żywych organizmów. Samica osicy siadała na trawerserze i drażyła w nim tunel. Ryjąc coraz głębiej, zatrzymywała się w końcu i sposobila komorę lęgową: żłobiła ją w żywym trawerserze, paraliżując żądłem jego tkankę, by nie dopuścić do ponownego zasklepienia. Tam, przed powrotem na światło dzienne, składała jaja. Kiedy z jaj wykluwały się larwy, miały świeże, żywe ciało za pokarm.

Po jakimś czasie Band Appa Bondi dał znak i grupa ruszyła naprzód, niezdarnie zstępując w głąb tunelu. Wiodła ich błada, fosforująca poświata. Ciężkie jak zielsko powietrze zalegało im piersi. Posuwali się bardzo wolno, bardzo cicho, ponieważ słyszeli przed sobą poruszenie. Nagle stwierdzili, że owo poruszenie jest tuż przy nich.

– Uwaga! – krzyknął Band Appa Bondi.

Coś rzuciło się na nich z przeraźliwej ciemności. Zanim sobie zdali z tego sprawę, tunel zakręcił i rozszerzył się w komorę lęgową. Larwy osicy już się wylęgły. Nieprzeliczony tłum larw napadł intruzów, w rozdrażnieniu i strachu kłapiąc szerokimi na wyciągnięcie męskich ramion szczękami.

Band Appa Bondi pokrajał wprawdzie pierwszego napastnika, ale inny odgryzł mu głowę. Padł, a jego towarzysze rzucili się przez trupa w ciemność. Prąc do przodu, umykali trzaskającym szczękom. Poza głowami larwy były miękkie i pulchne. Jedno chłaśnięcie nożem rozpruwało je, wypuszczając wnętrzności. Walczyły, ale nieumiejętnie. Ludzie dźgali z furją, odskakiwali i cięli. Nie zginął żaden człowiek więcej. Zwróceni plecami do ściany rznąli i kłuli, otwierając delikatne brzuchy, krusząc szczęki. Zabijali bez chwili wytchnienia, nie czując ani litości, ani nienawiści, aż tłusta breja sięgnęła im kolan. Larwy pękały, wiły się, umierały. Z pomrukiem satysfakcji Haris ściał ostatnią. Po czym jedenaście znużonych istot ludzkich wczołgało się do tunelu, by odczekać, aż spłynie całe świństwo, a potem czekać jeszcze dłużej.

Trawerser drgnął na posłaniu z selerów. Niejasne impulsy krążyły po jego jestestwie. Rzeczy, które zrobił. Rzeczy, które ma zrobić. Rzeczy zrobione zostały zrobione poprzednio, rzeczy, które ma zrobić, wciąż były do zrobienia. Wydmuchując bąbel tlenu, dźwignął się do góry. Najpierw powoli wspiał się po linie, do sieci, gdzie powietrze było rozrzedzone. Zawsze, zawsze w wiekuistym popołudniu tu się poprzednio zatrzymywał. Powietrze się nie liczyło, upał był wszystkim, żar, co parzył, kłuł, masował i pieścił tym mocniej, iż wyżej. Wypuścił strzęp nitki z gruczołu przedniego. Nabierając prędkości i determinacji, wystrzelił swoje potężne, roślinne ja, byle dalej od fruujących osic. W nieokreślonej odległości przed nim żeglowała półkula blasku, biało-błękitno-zielona; ku niej warto było podążyć. Tutaj znajdowało się to odosobnione miejsce młodego trawersera, przerażające i wspaniałe, jaskrawe i mroczne, przepelnione pustką. Obracaj się w pędzie... wszystkie boki przysmażą się dobrze... żadnego kłopotu...

Poza tym, że tkwiąca głęboko w twym środku niewielka gromadka istot ludzkich wykorzystuje cię jako arkę do swych własnych celów. Nieświadomie niesiesz ich z powrotem do świata, który kiedyś, jakże zdumiewająco dawno temu, należał do ich rodzaju.

Cisza panowała niemal wszędzie w lesie. Wydawało się, że zalega takim samym ciężarem jak gruby pokład zieleni pokrywający cały ład po dziennej stronie planety. Była to cisza zbudowana z milionów lat nałożonych na siebie, cichnąca coraz bardziej, w miarę jak słońce słało z góry coraz więcej energii w początkowych stadiach obumierania. Życie było wszędzie, życie na ogromną skalę. Ale nasilenie słonecznego promieniowania sprowadziło kompletną prawie zagładę na królestwo zwierząt, przynosząc

triumf życia roślinnemu. Wszędzie panoszyły się rośliny w tysiącach form i kształtów. A one nie mają głosu.

Nowa grupa pod przewodnictwem Toy posuwała się bezkresnymi konarami, żadnym dźwiękiem nie mącąc tej głębokiej ciszy. Wędrowali wysoko pod Wierzchołkami, a wzory światła i cienia krzyżowały się na ich zielonej skórce. Postępowali z największą ostrożnością, w stałej gotowości na wypadek zasadzki. Strach gnał ich ku pozornemu celowi, choć w rzeczywistości nie istniała dla nich żadna meta. Wędrowka stwarzała potrzebną im iluzję bezpieczeństwa, a więc wędrowali.

Zatrzymał ich biały język. Opuścił się powolutku tuż przy nich, pod osłoną pnia. Zjeżdżał bezgłośnie z Wierzchołków, na których się objawił, opadając w dół do odległego Dna, twór obły jak wąż, włóknisty, mocny i nagi. Grupa obserwowała, jak się wydłuża, jak jego koniec osuwa się przez listowie w mroczne piętra lasu i znika z pola widzenia, przepływając przed oczyma niby luzowana lina.

– Wysysol! – oznajmiła wszystkim Toy

Chociaż jej przywództwo ciągle było niepewne, większość dzieci – wszystkie z wyjątkiem Grena – skupiła się wokół niej, spoglądając z lękiem to na nią, to na ruchomy język.

– Nie skrzywdzi nas? – zapytała najmłodsza, Fay. Miała pięć lat.

– Zabijemy go – powiedział Veggy. Był przecież dzieckiem mężczyzną. Podskoczył na konarze, aż zagrzechotała jego dusza. – Wiem, jak go zabić, zabiję go!

– Ja go zabiję. – Toy była zdecydowana pokazać, kto tu przewodzi. Wysunęła się przed nich i odwinęła z talii linę z łyka. Reszta przyglądała się z niepokojem, jeszcze nie dowierzając jej umiejętnościom. Prawie wszyscy byli już młodymi dorosłymi – mieli szerokie bary, mocne ramiona i długie palce właściwe swej rasie. Troje z nich – wysoki procent było dziećmi mężczyznami: sprytny Gren, samochwalczy Veggy i cichy Poas. Z tej trójki najstarszy był Gren. On też wystąpił naprzód.

– I ja wiem, jak pojmać wysysola – powiedział do Toy, mierząc spojrzeniem długą, białą rurę, która bez przerwy spływała w dół. – Podtrzymam cię, żebyś nie spadła, Toy Potrzebujesz pomocy.

Toy obróciła się do niego. Obdarzyła go uśmiechem, ponieważ był

piękny i ponieważ pewnego dnia miał ją pokryć. Po czym zmarszczyła brwi, była bowiem przywódczynią.

– Jesteś już mężczyzną, Gren. Nie wolno cię dotykać poza okresem zalotów. Wysysola ja pojmam. Potem udamy się wszyscy do Wierchołków, zabijemy go i zjemy. To będzie nasze wielkie święto dla uczczenia objęcia przeze mnie przewodnictwa nad grupą.

Spojrzenia Grena i Toy skrzyżowały się prowokująco. Ale tak jak ona nie poczuła się jeszcze na dobre przywódczynią, tak i on zaledwie przyjmował, z ociąganiem zresztą, rolę buntownika. Nie zgadzał się z koncepcjami Toy, lecz do tej pory próbował tego nie okazywać. Cofnął się, obracając w palcach duszę, która dyndała mu u pasa – maleńka drewniana podobizna jego samego dodawała mu pewności.

– Rób jak chcesz – powiedział, ale Toy zdążyła się już odwrócić plecami.

Na najwyższych gałęziach lasu siedział wysysol. Roślinni przodkowie przekazali mu znikomą inteligencję i ledwie elementarny system nerwowy. Wszelkie niedostatki nadrabiał swoją masą i długowiecznością. Ukształtowany jak potężne, dwuskrzydłe nasienie, nie składał nigdy skrzydeł. Zamach miały niewielki, jednak ich pokrywa z delikatnych, elastycznych włókien i rozpiętość jakichś dwustu metrów czyniły wysysola władcą powiewów poruszających ten cieplarniany świat.

Tkwiąc w górze, wypuszczał ze swej torby nasiennej nieprawdopodobnych rozmiarów język, sięgający w mroczne głębiny lasu, do niezbędnych mu składników pokarmowych. Wreszcie koniec języka dotknął czułkowatymi wyrostkami Dna. Ostrożnie, bez pośpiechu, badał czułymi mackami otoczenie, gotów wycofać się w każdej chwili z tego najeżonego niebezpieczeństwami, ponurego regionu. Zwinnie unikał gigantycznych pleśniaków i grzybów. Znalazł skrawek wolnej gleby, rozmięklej, ciężkiej, pełnej pokarmu. Wwiercił się w nią. Zaczął ssać.

– Wszystko gra. – Toy była już gotowa. Wyczuwała podniecenie pozostałych. – Ani pary z ust!

Przywiązała nóż do liny. Następnie wychyliła się naprzód i przeciągnęła jej luźny koniec wokół białego węża, zawiązując pętlę. Zatopiła ostrze w drzewie, mocując w ten sposób całą konstrukcję. Język wydał się po chwili i rozszerzył od dołu ku górze, kiedy wysysol wciągał ziemię do swego

"żołądka". Pętla zacisnęła się. Nieświadom niczego wysysol znalazł się w potrzasku i nie mógł odlecieć z gałęzi.

– Dobra robota! – powiedziała z podziwem Poyly. Była najbliższą przyjaciółką Toy, gorliwie ją wspierającą we wszystkim.

– Szybko na Wierzchołki! – krzyknęła Toy – Teraz, kiedy nie zdoła odlecieć, możemy go zabić.

Wszyscy zaczęli się wdrapywać na najbliższy pień, by dotrzeć do wysysola – wszyscy prócz Gren. Nie żeby był nieposłuszny z natury: on znał łatwiejszy od wspinaczki sposób dotarcia do Wierzchołków. Tak jak nauczył się od niektórych dorosłych z dawnej grupy, od Lily – yo i mężczyzny Harisa, gwizdnął kącikiem ust.

– Chodź, Gren! – przywołał go Poas. Gdy Gren pokręcił głową, Poas, wzruszywszy ramionami, poszedł śladem pozostałych. Na wezwanie Greny spłynął w dół głuszek – obojętny na wszystko wirował wśród listowia. Łopatki miał rozłożone. Na końcu każdego pręta parasolki nośnej widniały cudacznie uformowane nasiona. Gren wspiął się do głuszka i przywarłszy ciasno do jego trzonu, zagwizdał komendę. Głuszek podniósł go w górę, spełniając ospale rozkaz, tak że Gren znalazł się w Wierzchołkach zaraz po grupie, nie zmęczony, podczas gdy oni dyszeli ciężko.

– Nie wolno ci było tego robić – powiedziała Toy ze złością. – Nadstawiałeś głowy.

– Nic mnie nie zjadło – odparł Gren. Poczul jednak przenikające go nagle zimno, bo wiedział, że Toy ma rację. Wspinaczka po drzewie była uciążliwa, lecz bezpieczna. Szybowanie wśród listowia, z którego w każdej chwili mogły wychynąć szkaradne stwory i ściągnąć cię na dół w otchłanie zieleni, było równie łatwe co niebezpieczne. Wszelako teraz był cały i zdrowy. Szybciej, niż myślał, przekonają się jeszcze o jego sprycie.

Biała rura języka pulsowała bez przerwy w pobliżu. Sam stwór, przycupnięty tuż nad nimi, toczył wielkimi, prymitywnymi oczyma, wypatrując przeciwnika. Głowy nie miał. Między sztywno rozpostartymi skrzydłami zwisał ciężki, workowaty korpus pocętkowany guzami rogówek jego oczu i bulwami pączków: spośród tych ostatnich sterczała torba nasienna, z której to wysunął się język.

Toy poprowadziła swoje siły do ataku na potwora z wielu stron

jednocześnie.

– Zabijcie go! – zawołała. – Uwaga, skaczemy! Szybko, moje dzieci!

Spadli na wysysola, niezgrabnie leżącego w szczytowych konarach, z taką wrzawą, że Lily – yo z wściekłości wyskoczyłaby ze skóry. Ciało wysysola zdrząło, skrzydła zatrzepotały w roślinnej parodii przerażenia. Ośmioro ludzi – wszyscy prócz Greny – rzuciło się w pierzaste listowie jego grzbietu, głęboko raniąc zewnętrzną owocnię, aby dostać się do prymitywnego układu nerwowego. W listowiu czaiła się groza zupełnie innego rodzaju. Wyrwana z drzemki osica wypełzła spod niskopiennego porostu prosto na Poasa. Zetknąwszy się nos w nos z żółto – czarnym przeciwnikiem tej samej wielkości, dziecko mężczyzna uskoczyło z piskiem do tyłu. Na Ziemi owego schyłku dnia, przesympiającej późne popołudnie swego istnienia, zaledwie kilka rodzin dawnych rządów błonkoskrzydłych i dwuskrzydłych przeżyło w formie mutantów. Najstraszniejsze z nich były osice. Veggy skoczył na pomoc przyjacielowi. Za późno. Poas upadł jak długi na plecy: w jednej chwili osica znalazła się na nim. Kragłe pierścienie jej odwłoka wygięły się w łuk i ostrze żądła o rzyym zakończeniu, mignawszy, zatopiło się w bezbronnym brzuchu Poasa. Osica porwała chłopca w przednie i tylne odnóża i z pośpiesznym furkotem skrzydeł odleciała, unosząc swój nieprzytomny ciężar. Veggy cisnął za nią nożem w bezsilnej złości. Nie było ani chwili czasu na opłakiwanie nieszczęścia. Odpowiednik bólu przeszył już wysysola, który rwał się do lotu. Przytrzymała go tylko wąta pętla Toy, a ona mogła puścić lada chwila. Gren, skulony pod brzuchem stworzenia, usłyszał krzyk Poasa i zorientował się, że zaszło coś złego. Widział szarpaninę kosmatego cielska, słyszał skrzypienie bijących powietrze skrzydeł. Sypały się na niego patyki, trzeszczały gałęzie, fruwały liście. Dygotał konar, do którego się przyczepił. Panika przepelniła jego umysł. Kołatała w nim jedna tylko myśl: że wysysol może umknąć i że trzeba go zabić jak najprędzej. Ciachnął na osłep ssący język, który tłukł teraz o pień drzewa, usiłując się wyswobodzić. Nie mając doświadczenia, Gren rąbał nożem raz za razem, gdzie popadło. Na żywej białej rurze pojawiła się rana. Ziemia i muł bluznęły z niej, oklejając Grenę nieczystościami zassanymi z Dna. Stwór zafalował konwulsyjnie i rana się poszerzyła. Mimo zaślepienia paniką Gren zrozumiał, co się wkrótce stanie. Rozłożywszy długie ramiona, skoczył do góry, uchwycił za którąś z pączkowatych narośli i przywarł do niej z drzeniem. Wszystko było lepsze od pozostania samemu w

labiryntach lasu; mógłby nimi wędrować przez połowę swego życia, nie napotykając innej grupy ludzi. Wysysol walczył o wolność. Swymi wysiłkami powiększał zadaną przez Greną ranę, aż bezustannym szarpaniem wyrwał język. Oswobodzony nareszcie, wzbился w powietrze. W śmiertelnej trwodze Gren wdrapał się po włóknach i liściach na wielki grzbiet, na którym przycupnęło siedem przerażonych pozostałych istot ludzkich. Dołączył do nich bez słowa.

Wysysol wznosił się do oślepiającego nieba. Tam płonęło Słońce, z wolna sposobiąc się do dnia swej przemiany w nową, kiedy to spali samo siebie wraz ze swoją planetą. A pod wysysolem wirującym jak nasienie jaworu, które przypominał, falował niezmierny świat roślinny, podnosząc się i wzbierając beznamiętnie jak gotujące się mleko, by powitać swe życiodajne źródło. Toy krzyczała, wymachując na klęczkach nożem.

– Zabić go! – darła się na grupę. – Zabić natychmiast! Posiekać na kawałki! Zabić albo na zawsze pożegnać się z dżunglą!

W blasku słońca wyglądała przecudnie, jakby jej ciało było odlane z brązu. Gren walczył, myśląc o niej. Veggy razem z May wyrąbywali wielką dziurę w twardej korze wysysola, odrzucając kopniakami odłamki. Nie zdążyły jeszcze spaść na las, gdy już drapieżniki zaczęły je sobie wyrywać. Przez długi czas wysysol leciał bez zakłóceń. Ludzie słabli prędzej niż on. Jednakże nawet ćwierć świadomości miała granice wytrzymałości. Wiele już ran broczyło sokiem, gdy skrzydła wysysola zawahały się w swym szerokim, omiatającym ruchu. Zaczął się zniżać.

– Toy? Toy! Na żywe cienie, spójrz, dokąd lecimy! – krzyknęła Driff. Wskazała błyszczące przed nimi zaskieki, ku którym opadali. Żadna z młodych istot ludzkich nigdy nie widziała morza, intuicja i z mlekiem matki wyssana wiedza o zasadzkach ich planety podpowiadały im jednak, że zdążają ku śmiertelnemu niebezpieczeństwu. Fragment wybrzeża wychodził im na spotkanie. Tutaj właśnie toczyła się najbardziej krwawa ze wszystkich bitew o przeżycie, w miejscu spotkania stworzeń lądu ze stworzeniami oceanu. Czepiając się pokrycia wysysola, Gren podpełznął do leżących obok siebie Toy i Poyly. Zdawał sobie sprawę, że w dużej mierze był winien ich obecnym kłopotom, dlatego ze wszystkich sił chciał się okazać pomocny.

– Możemy wezwać głuszki i odlecieć bezpiecznie do domu.

– Świetny pomysł, Gren – powiedziała zachęcająco Poyly, lecz Toy zmierzyła go obojętnym spojrzeniem.

– Ty, Gren, spróbuj zawołać głośko – poleciła. Ułożywszy usta do gwizdu, zrobił, jak mu przykazała. Gwałtowny pęd powietrza porwał dźwięk. I tak lecieli za wysoko dla nasion suchości. Gren zatonął w milczeniu i odwróciwszy się od nich, obserwował, dokąd ich niesie.

– Gdyby ten sposób cokolwiek był wart, mnie pierwszej wpadłoby do głowy – odezwała się Toy do Poyly.

Głupia baba, pomyślał Gren i przestał zwracać na nią uwagę. Wysysol wolniej teraz tracił wysokość: dostał się w termiczny komin i szybował w prądzie ciepłego powietrza. Nędzne i spóźnione próby zawrócenia w głąb ładu wiodły go tylko równolegle do brzegu, tak więc ludzie mieli wątpliwy przywilej obejrzenia, co ich czeka.

Wysoco zorganizowana zagłada rozkręcona na całego, bój bez generałów toczył się przez niezliczone tysiąclecia. Może zresztą jedna strona miała generała, jako że ład pokrywało to jedno niezmożone drzewo, które rosło, rozprzestrzeniało się, rozrastało i pochłaniało wszystko od wybrzeża do wybrzeża. Zagłodziło swych sąsiadów, przerosło przeciwników. Zawojowało cały kontynent aż po terminator dzielący dzień Ziemi od jej nocy. Przewyciężyło niemal czas, jako że nieprzeliczone szeregi pni dały mu ciągłość życia, którego kresu nie sposób było przewidzieć, lecz nie zdołało ujarzmić morza. U jego brzegu potężne drzewo zatrzymało się i cofnęło. W tym odludnym miejscu, pośród skał, piachów i przybrzeżnych bagien, pokonane przez figowca gatunki drzew stanęły do ostatecznej rozprawy. Wybrzeże było im niegościnnym domem. Wynędzniałe, zdeformowane, niespożyte rosły, jak się dało. Miejsce, gdzie rosły, nazywano Ziemią Niczyją, ponieważ przeciwnicy oblegali je z obu stron. Od strony ładu stanęła przeciw nim milcząca potęga drzew. Po drugiej stronie musiały stawić czoło trującym wodorostom i innym przeciwnikom nekającym je bez ustanku. Ponad tym wszystkim jaśniało Słońce, nieczuły sprawca całej tej rzezi.

Ranny wysysol znów zaczął spadać gwałtowniej, aż wreszcie z dołu dotarły do ludzi chłaińnięcia wodorostów. Wszyscy przywarli do siebie, bezradnie wypatrując, co się stanie. Wysysol spadał bardziej stromo, ześlizgując się bokiem. Kluczył nad morzem, w którego całej strefie przybrzeżnej krzewiła się wegetacja wypełniająca nieruchome wody. Z

wysiłkiem zawrócił w kierunku wąskiego, kamienistego cypla wrzynającego się w morze.

– Patrzcie! Tam w dole stoi wieża! – krzyknęła Toy. Wieża górowała nad półwyspem: wysoka, cienka i szara, w ich podrygujących wraz z wysysolem głowach zdawała się przechylać, grożąc zawaleniem. Lecieli w dół. Lada chwila uderzą w wieżę. Widocznie dogorywające stworzenie dostrzegło wolną przestrzeń u jej podnóża i uznawszy ją za jedyne bezpieczne miejsce w pobliżu, skierowało się ku niej. Ale skrzydła, trzeszczące jak stare żagle w sztormie, już go nie słuchały. Wielkie cielsko waliło się w dół, Ziemia Niczyja i morze wybiegły mu na spotkanie; wieża wraz z półwyspem sięgała ku niemu.

– Trzymajcie się wszyscy mocno! – wrzasnął Veggy.

W chwilę później rąbnęli w strzelisty dach, zaryli nosami od wstrząsu. Jedno skrzydło pękło i rozdarło się, a wysysol przylgnął do stromych przyściennych filarów wieży Toy w lot pojęła, co musi za chwilę nastąpić: wysysol spadnie, pociągając ich ze sobą. Zręcznie jak kot zeskoczyła na wieżę, w zagłębienie między nieregularnymi szczytami dwóch przypór a jej główną ścianą. Przywołała pozostałych do siebie. Kolejno przeskakiwali na wąską platformę, gdzie chwymano ich i stawiano na równe nogi. May została ostatnia po drugiej stronie. Ścisnęła swą drewnianą duszę i skoczyła na zbawczą przyporę. Wysysol bezradnie wodził za nimi swym prądkowanym okiem. Toy zdążyła zauważyć, że ostatnie, gwałtowne uderzenie rozszczepiło do końca wielką banię jego kadłuba. Zaraz potem zaczął się ześlizgiwać. Okaleczone skrzydło osuwało się po ścianie wieży. Rozluźnił chwyt. Runął. Wychyleni przez naturalny parapet śledzili jego upadek. Spadł na gołe kamienie u stóp wieży. Przekoziółkował. Z właściwą swemu gatunkowi odpornością trzymał się życia – podniósł się i zataczając, gramolił z szarej hałdy jak pijany, wlokąc za sobą skrzydła. Koniec jednego z nich, omiatający skalisty brzeg półwyspu, padł na nieruchomą powierzchnię morza. Woda zmarszczyła się i wypęły z niej ogromne, skórzaste warkocze wodorostów. Pęcherzowate narośle znaczyły je na całej długości. Prawie od niechcienia zaczęły biczować skrzydło wysysola – z początku ospale, potem błyskawicznie przyspieszały tempo. Coraz większa powierzchnia morza pokrywała się kotłowiskiem wodorostów, które młóciły i siekły wodę na okrągło już na ponad czterystumetrowym odcinku w bezsensownej nienawiści do wszelkiego życia poza własnym. Po pierwszych razach wysysol podjął próbę

wyczołgania się z ich zasięgu. Ale wodorosty, kiedy już ożyły, sięgały zadziwiająco daleko i choć pod gradem ciosów wyteżał wszystkie siły, jego zrywy nie zdały się na nic. Niektóre z pęcherzowatych wypukłości chłostały nieszczęsną istotę z taką siłą, że pękały od uderzeń. Ciemna, podobna do jodyny ciecz sikała z nich, pieniać się i rozpryskując w powietrzu. Tam, gdzie padła trucizna, z wysysola wydzielają się cuchnące, brązowe opary.

Żadnym krzykiem wysysol nie mógł sobie ulżyć w bólu. Ni to lecąc, ni to pełnząc, sunął wzdłuż półwyspu w kierunku brzegu, podfruwając, gdy tylko mógł, aby uniknąć wodorostów. Skrzydła mu się tliły. Makabryczna plaża obrzeżona była niejednym rodzajem wodorostów. Szalone palowanie ustało, a pęcherzowate wodorosty zatoneły w falach, wyczerpawszy na jakiś czas swoje autotroficzne jestestwa. W ich miejsce wyskoczyło z toni długozębne zielsko, przeczesując półwysep kolcami. Młóćąc jak cepem, wyrwało umykającemu wysysolowi kilka fragmentów skóry, ale prawie zdążył dotrzeć do brzegu, nim go na dobre zahaczyło. Zęby wbiły się mocno. Coraz więcej wodorostów wyciągało falujące ramiona do skrzydła wysysola, szarpiąc je do siebie. Jego opór już osłabł; przechylił się, aż wreszcie zwałił we wzburzoną wodę. Całe morze zaroilo się od paszcz na jego spotkanie. Ośmioro przerażonych ludzi oglądało to wszystko z wysokości wieży.

– Nigdy nie zdołamy wrócić pod osłonę drzew – zakwiliła Fay, najmłodsza, i rozplakała się.

Wodorosty złapały swoją ofiarę, ale jeszcze jej nie zdobyły – rośliny Ziemi Niczyjej także zwietrzyły łup. Niektóre z nich, ścieśnione między dżunglą a morzem, pokrewne namorzynom, śmiało wkroczyły w wodę już dawno temu. Inne, bardziej pasożytniczej natury, rosły na towarzyszach, wypuszczając wielkie, sztywne, kolczaste lodygi, zwieszane nad wodą jak wędki. Te dwa gatunki, do których błyskawicznie dołączyły inne, zgłosiły roszczenia względem ofiary, podejmując próbę odbicia jej morskim nieprzyjaciołom. Wyrzucały spod wody sękatę korzenie przypominające odnóża jakiejś przedpotopowej kałamarnicy. Uchwyciwszy wysysola, włączyły się do walki. Cała linia brzegu ożyła w jednej chwili. Przerażające zastępy wąsów i cepów poszły w ruch. Wszystko kłębiło się w dzikim transie. Morze zostało ubite na pył wodny, który skrył je częściowo, zwiększając grozę. W górze szybowały latające stwory, pióroskóry i lotniaki, nadciągający z lasu po swój udział. W bezmyślnej rzezi starto

wysysola na miazgę i zapomniano o nim. Jego porzucone resztki zagubiły się w pianie.

– Musimy już iść. – Toy wstała z determinacją. – Czas dostać się na brzeg.

Siedem udręczonych twarzy spojrzało na nią jak na wariatkę.

– Tam w dole umrzemy – powiedziała Poyly

– Nie – odparła ostro Toy. – Teraz nie umrzemy Te stworzenia walczą między sobą, więc będą zbyt zajęte, by nas skrzywdzić. Potem może być za późno.

Toy nie miała absolutnego posłuchu. Grupa się wahała. Kiedy Toy dostrzegła rodzący się sprzeciw, wpadła we wściekłość i dała po uszach Fay i Shree. Ale głównych oponentów znalazła w Veggym i May.

– Zabiją nas tam, zanim się obejrzymy – odezwał się Veggy. – Nie ma jak dotrzeć do bezpiecznego miejsca. Czyż nie widzieliśmy przed chwilą, co się stało z wysysolem, który był taki silny?

– Nie możemy tu zostać i umrzeć – powiedziała Toy ze złością.

– Możemy zostać i czekać, aż coś się stanie – wtrąciła May. – Zostańmy, proszę.

– Nic się nie stanie. – Poyly stanęła po stronie swej przyjaciółki, Toy. – Najwyżej coś złego. Tak musi być. Sami musimy zatroszczyć się o siebie.

– Zginiemy – powtórzył z uporem Veggy. Zdesperowana Toy zwróciła się do Gren, najstarszego dziecka mężczyzny:

– A co ty sądzisz?

Gren obserwował całe to zniszczenie z kamienną twarzą. Nie rozpogodziła się, gdy ją zwrócił do Toy.

– Ty przewodzisz grupie, Toy. Kto jest w stanie cię słuchać, musi tak zrobić. Takie jest prawo.

Toy wstała.

– Poyly, Veggy, May i reszta – za mną! Idziemy teraz, gdy oni wszyscy są zbyt zajęci, żeby nas zauważyć. Musimy wrócić do lasu.

Bez wahania przerzuciła nogę przez kopulasty wierzchołek przypory i

zaczęła zjeżdżać stromym zboczem. Nagła panika, że mogłaby ich opuścić, opanowała pozostałych. Poszli za Toy. Przeleźli przez parapet, ślizgając się i gramoląc za nią. U dołu zatrzymali się na chwilę, przytłoczeni szarym ogromem wieży Trwoga wstrzymywała ich w miejscu. Świat wyglądał płasko, nierealnie. Ponieważ ogromne słońce płonęło dokładnie nad nimi, ich cienie kładły się jak odrobina więcej kurzu pod stopami. Wszędzie brakowało cienia, co nadawało krajobrazowi płaski wygląd – był martwy jak kiepskie malowidło.

Temperatura przybrzeżnej bitwy rosła. W tej erze, jak zresztą zawsze w pewnym sensie, istniała tylko natura. Natura była panią wszystkiego – a wychodziło na to, że rzuciła przekleństwo na dzieło własnych rąk. Toy ruszyła naprzód, pokonując obawę. Gdy biegli za nią, oddalając się od zagadkowej wieży, czuli szczypanie w stopach: kamienie pod ich nogami były poplamione brunatną trucizną, która w żarze wyschła i utraciła swą moc. Zgiełk bitwy wypełniał im uszy. Przemoczyła ich piana, lecz walczący nie zwracali na nich uwagi, zbyt pochłonięci swym bezmyślnym antagonizmem. Eksplozje orały powierzchnię morza jedna za drugą. Pewne drzewa Ziemi Niczyjej, oblegane stulecie po stuleciu na wąziutkim skrawku swojego terytorium, zagłębiły korzenie w jałowe piachy w poszukiwaniu nie tylko pokarmu, lecz także sposobu obrony przed napastnikami. Odkryły węgiel drzewny, wyciągnęły siarkę, dobiły azotan potasu. W swych węzlastych trzewiach oczyściły to i zmieszały. Otrzymany proch strzelniczy wędrował zielonymi żyłami na najwyższe gałęzie do łupin orzechów. Teraz te gałęzie rzucały swoje pociski na wodorosty. Nieruchome uprzednio morze kipiało pod bombardowaniem. Plan Toy nie był dobry, powiódł się bardziej dzięki szczęściu niż przemyślności. U nasady półwyspu wielki kłęb wodorostów wytoczył się daleko od wody, pokrywając drzewo prochowe. Zgiął je w pół samym swym ciężarem i rozgorzała walka na śmierć i życie. Małeńkie istoty ludzkie przebiegły obok, zmykając pod osłonę wysokiego perzu. Dopiero wtedy zdali sobie sprawę, że nie ma wśród nich Grena.

Gren ciągle jeszcze leżał w oślepiającym słońcu, skulony za obwałowaniem wieży. Strach stanowił główny, lecz nie jedyny powód tego, że tu pozostał. Czuł, że tak jak powiedziała Toy, dyscyplina jest bardzo ważna. Z natury jednak ciężko przychodziło mu słuchać. Szczególnie w tym wypadku, kiedy przedstawiony przez Toy plan zdawał się zawierać tak nikłą nadzieję przeżycia. Miał też swoją własną ideę, choć nie potrafił

wyrazić jej słowami.

– Och, jak tu w ogóle mówić! – powiedział do siebie. Jakby brakowało słów. Kiedyś musiało ich być więcej! Pomyśl dotyczył wieży. Reszta grupy nie myślała tyle co Gren. Zaraz po wylądowaniu ich uwagę zaprzętnęło co innego. Zupełnie inaczej było z Grenem: uświadomił sobie, że wieża nie stanowi części skały. Zbudowano ją z pomocą inteligencji. Znał tylko jeden gatunek, który mógłby tego dokonać, a gatunek ten zadbałby o bezpieczne wyjście z wieży na brzeg. Tak więc wkrótce po tym, jak odprowadził spojrzeniem swych towarzyszy zbiegających kamienistą ścieżką, Gren zapukał ręką noża w mur tuż obok siebie. Z początku nie zauważył żadnej odpowiedzi na pukanie. Po chwili jednak część wieży za jego plecami rozwarła się bez ostrzeżenia. Usłyszawszy słaby szmer, obrócił się i stanął oko w oko z ośmioma mocarmitami, które wyłoniły się z ciemności. Kiedyś zdeklarowani przeciwnicy, obecnie mocarmity i ludzie patrzyli na siebie z poczuciem solidarności, jakby upływające tysiąclecia zmian ukuły więź między nimi. Teraz, gdy ludzie stali się bardziej wyrzutkami Ziemi niż jej dziedzicami, spotykali się z owadami na równej stopie. Mocarmity otoczyły Grenę, badając go pracowitymi czułkami. Stał spokojnie, bez ruchu, gdy ich białe odwłoki muskały go lekko. Wielkością prawie mu dorównywały. Czuł ich zapach, cierpki, ale nie przykry. Nabrawszy pewności, że jest nieszkodliwy, mocarmity pomaszerowały do obwałowania. Gren nie miał pojęcia, czy widziały w ostrym świetle dnia, lecz mogły przynajmniej słyszeć odgłosy nadmorskich zmagania. Tytułem próby podszedł do otworu w wieży Wypływał z niego obcy, chłodny zapach. Para mocarmitów szybko nadbiegła, zagradzając mu drogę, sięgając szcękami ku jego szyi.

– Chcę zejść na dół – powiedział. – Nie sprawię wam kłopotu. Wpuśćcie mnie do środka.

Jedno ze stworzeń znikło w otworze. Za chwilę powróciło w towarzystwie innego mocarmita. Gren aż się cofnął. Nowy przybysz miał na głowie gigantyczną narośl. Sinobrazowego koloru, gąbczasta w strukturze i dziurkowana jak plaster miodu wytwarzany przez pszczołce, narośl rozlewała się po czaszce mocarmita i obrastała jego szyję jak kreza. Pomimo tego przerażającego ciężaru mocarmit robił wrażenie całkiem sprawnego. Gdy podchodził bliżej, pozostałe ustępowały mu z drogi. Gren stwierdził, że mocarmit przypatruje mu się bacznie, po czym odwraca głowę. Zaczął coś kreślić w piasku pod nogami. Topornie, lecz przejrzysto

naszkicował wieżę i linię, łącząc obie wąskim pomostem utworzonym przez dwie równoległe krechy Pojedyncza linia wyraźnie przedstawiała wybrzeże, pomost zaś cypel. Gren był tym kompletnie zaskoczony Nigdy nie słyszał o takich zdolnościach artystycznych u owadów. Łaził dokoła, wpatrując się w linie. Mocarmit ustąpił mu miejsca i wyglądało na to, że obserwuje Grena. W oczywisty sposób czegoś od niego oczekiwał. Gren zebrał się w sobie i pochylony nad kreskami uzupełnił rysunek. Pociągnął linię środkiem wieży, ze szczytu w dół i dalej środkiem pomostu do brzegu. Skończywszy, wskazał na siebie. Trudno było osądzić, czy stworzenia to rozumiały, czy nie. Zawróciły i najzwyczajniej pośpieszyły z powrotem do wieży. Widząc, że nic innego mu nie pozostało, Gren udał się za nimi. Tym razem go nie zatrzymały; widocznie rozumiały jego życzenie. Spowił go dziwny, odświeżający zapach. Była to ciężka próba nerwów, gdy wejście zamknęło się za nimi wszystkimi. Po zalanej słonecznym blaskiem jasności na zewnątrz wszystko tu było czarne jak atrament.

Schodzenie w wieży było fraszką dla kogoś tak zwinnego jak Gren; niewiele się różniło od złączenia naturalnym kominem, tyle tu było występów. Opuszczał się ręka za ręką, coraz pewniej z każdą chwilą. Gdy oczy mu się przyzwyczaiły do ciemności, dostrzegł, że ciała mocarmitów wydzielają słabą fosforyzującą poświatę, upodabniając je do zjaw. Mnóstwo tych milczących stworzeń znajdowało się w wieży Jak duchy zdawały się napływać ze wszystkich stron, a ich bezgłośnie szeregi przetaczały się w ciemności do góry i na dół. Nie mógł zrozumieć, co one właściwie robią. W końcu Gren ze swoimi przewodnikami dotarł na sam dół. Stanęli na płaskim gruncie; według rozeznania Grena musieli zejść poniżej poziomu morza. Było wilgotno i duszno. Pozostał już tylko mocarmit z naroślą, reszta odmaszerowała w wojskowym porządku, nie obejrzawszy się za siebie. Gren ujrzał dziwne zielone światło, złożone z tej samej ilości cienia co iluminacji, którego źródła nie mógł początkowo wykryć. Z trudem nadązał za przewodnikiem. Posuwali się nierównym, zatłoczonym korytarzem. Wszędzie widział zmierzające dokądś wytrwale mocarmity. Mijał też jakieś inne małe stworzenia, pędzone przez gospodarzy pojedynczo lub w stadach.

– Nie tak szybko! – zawołał Gren, ale jego przewodnik utrzymywał własne, równe tempo, nie zwracając na niego uwagi. Zielone światło było teraz silniejsze. Ścieliło się mgliście po obu stronach korytarza. Przenikało, jak Gren zauważył, przez nieregularne arkusze miki, które znalazły się tu

najwyraźniej dzięki twórczemu geniuszowi owadów drążących kiedyś tunel. Mikowe okna wychodziły w morze, widać było przez nie ruchy złowrogich wodorostów: Zdumiał go wir pracy w tym podziemnym miejscu. Przynajmniej mieszkańcy byli tak zaabsorbowani, że pilnowali tylko własnego nosa: żaden nawet nie przystanął, by rzucić na niego okiem, na to trzeba było nadejścia jednego ze stworzeń należących do mocarmitów. Kudłaty czworonóg miał ogon, żółte, świecące oczy i wzrostem prawie dorównywał Grenowi. Mierząc człowieka spojrzeniem roziskrzonych źrenic, stworzenie rozdarło się "miauu!" i próbowało się o niego otrzeć. Wąsy musnęły mu ramię. Wyminął je z drzeniem i pognął naprzód. Kudłate stworzenie spoglądało na nim prawie z wyrazem żalu, po czym zawróciwszy, podążyło za grupą mocarmitów, gatunkiem, który je teraz karmił. W chwilę później Gren ujrzał więcej takich miauczących stworzeń niektóre były zarażone i prawie ginęły pod grzybiastą naroślą. Wreszcie Gren ze swym przewodnikiem dotarli do miejsca, w którym szeroki tunel rozgałęział się w kilka pomniejszych korytarzy Bez chwili wahania przewodnik wybrał odnogę wznoszącą się do góry w ciemność. Zniemacka ciemność się załamała: mocarmit wypchnął płaski kamień zamykający wylot tunelu i wyszedł na światło dzienne.

– Stokrotne dzięki – powiedział Gren, wyczołgując się za nim. Trzymał się jak najdalej od narośli. Mocarmit pośpieszył z powrotem do otworu i zaciągnął kamień na miejsce, nie racywszy się nawet obejrzeć.

Nie trzeba było mówić Grenowi, że znajduje się teraz na Ziemi Niczyjej. Dochodził go zapach złowrogiego morza. Dobiegał zgiełk walki wodorostów z roślinami łądu, chociaż już sporadyczny, jako że obie strony były zmęczone. Wokół siebie wyczuwał napięcie, jakiego nigdy nie doświadczył na łagodnych środkowych piętrach lasu, w rodzinnym miejscu ludzkiej grupy A przede wszystkim miał nad głową słońce jaśniejące przez płataninę liści. Grunt był tu zakwaszony, zakalcowaty, mieszanina gliny i piachu ze sterczącymi zewsząd skałami. Jałowa gleba, więc i drzewa wyrastające na niej nosiły piętno choroby Wykoślawione pnie, ubogie listowie. Wiele drzew splatało się ze sobą we wzajemnej próbie podparcia; tam, gdzie próba zawiodła, leżały porozwalane w karkołomnych pozach. W dodatku niektóre z nich zdążyły w ciągu długich stuleci wykształcić niesamowite wprost mechanizmy obronne, tak że drzewa przypominały właściwie tylko z nazwy.

Gren uznał, że postąpi najlepiej, jeśli przekradnie się do nasady

półwyspu i stamtąd podejmie trop Toy i pozostałych.

Jak już dotrze do brzegu morza, bez trudu zobaczy cypel, stanowiący świetny punkt orientacyjny. W której stronie leżało morze, nie miał wątpliwości, ponieważ spoglądając między pokręconymi drzewami, mógł dostrzec kraniec Ziemi Niczyjej od strony lądu. Granica była wyraźna. Wielki figowiec zasadził się zewnętrznym obwodem wzdłuż linii wytyczającej kres dobrej gleby. Wznosił się nieporuszony, chociaż jego gałęzie poznaczone były bliznami po niezliczonych razach cierni i szponów. Żeby mu pomóc w odpieraniu skazanych na banicję gatunków Ziemi Niczyjej, zebrały się pod jego skrzydłem różne stworzenia: gębokłapy, glistogłuty, jagodobije, wycieruchy i wiele innych. Niby karzący bicz czekały tylko najmniejszego drgnięcia na jego obwodzie.

Trzymając się plecami do tej imponującej barykady, Gren ruszył ostrożnie naprzód. Posuwał się pomalutku. Podskakiwał przy najlżejszym dźwięku. Raz padł na ziemię przed chmarą długich śmiercionośnych igieł wylatujących na niego z gęstwiny. Uniósłszy głowę, dostrzegł jeszcze, jak kaktus otrząsa się i ponownie ładuje swoje wyrzutnie. Nigdy w życiu nie widział kaktusa, żołądek kurczył mu się na myśl o wszystkich nie znanych mu niebezpieczeństwach dokoła. W następnej chwili natknął się na coś dziwniejszego. Przesąpił pień drzewa, który zwinął się w pętlę i zacisnął. Gren o włos uniknął zaduszenia, nie wykręcił się jednak od zderzenia skóry. Kiedy leżał, dysząc ciężko, jakieś zwierzę przemknęło tak blisko, że prawie go dotknęło. Długi, opancerzony gad odsłonił liczne zęby w ponurym uśmiechu. Ongiś, w zatraconych czasach, kiedy ludzie mieli nazwę na wszystko, był to aligator. Przypatrzył się Grenowi łakomym okiem, po czym wśliznął się pod kłodę.

Wszystkie prawie zwierzęta wymarły tysiące lat temu. Sam napór roślinnego wzrostu i sprzyjającego wszystkiemu, co zielone, Słońca zdławił je i wytepił. Gdy jednak niedobitki dawnych drzew zostały wyparte na moczary i obrzeża oceanu, garstka zwierząt wycofała się wraz z nimi. Tu, na Ziemi Niczyjej, przedłużyły swoją egzystencję, rozkoszując się upałem i urokami życia – dopóki życie trwało. Tym razem jeszcze ostrożniej Gren ruszył przed siebie. Zgiełk od morza już ucichł, więc posuwał się w śmiertelnej ciszy. Wszystko zamilkło jakby w oczekiwaniu, jak zaczarowane.

Grunt zaczął stopniowo opadać do morza. Kamyki chrzęściły pod

stopami. Rozproszone drzewa ponownie zwierzały szeregi, by razem stawić czoło ewentualnym napastnikom z wody Gren przystanął. Niepokój wciąż kołatał mu w sercu. Tęsknił za swoimi. Jednak w jego odczuciu nie on zachował się krnąbrnie, pozostając na wieży mocarmitów: to oni zachowali się niepoważnie, nie proponując mu dowództwa. Rozejrzył się bacznie wokoło i pozwolił sobie na gwizd. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wszystko zamarło nagle, jakby nawet bezuche stworzenia nastawiły uszu. Grena ogarnęła panika.

– Toy! – wrzasnął. – Veggy! Poyly! Gdzie jesteście? Gdy tak nawoływał, z liści nad jego głową opadła klatka i przygniotła go do ziemi.

Kiedy Toy wyprowadziła na brzeg szóstkę swoich towarzyszy, ci zasłoniwszy oczy, rzucili się w wysoką trawę, by oprzytomnieć z trwogi. Byli przemoczeni bitewnym pyłem wodnym. Siedli wreszcie i zaczęli omawiać sprawę Grena. Jako dziecko mężczyzna jest cenny; skoro więc nie mogą po niego wrócić, muszą na niego poczekać. Pozostało tylko znalezienie w miarę bezpiecznego miejsca.

– Nie będziemy czekać długo – rzekł Veggy. – Gren nie musiał się odłączać. Zostawmy go i zapomnijmy

– Potrzebujemy go do parzenia się – powiedziała otwarcie Toy

– Ja się z tobą sparzę – oznajmił Veggy – Jestem dzieckiem mężczyzną z wielkim interesem i potrafię ci go wsadzić. Patrz, jest nie do zdarcia. Sparzę się z wami wszystkimi, baby, jeszcze zanim figi dojrzeją. Jestem bardziej dojrzały niż figi.

I w podnieceniu wstał i zatańczył, pyszniąc się swoim ciałem przed nie mającymi nic przeciwko temu kobietami. Był teraz ich jedynym dzieckiem mężczyzną, czyż więc mogły go nie pożądać? May zerwała się, by ruszyć z nim w tany. Veggy skoczył na nią. Wymknęła się zwinnie i wyprysnęła przed siebie. Pogonił za nią. Ona chichotała, on pokrzykiwał.

– Wracajcie! – krzyknęły ze złością Toy i Poyly

Nie zważając na nie, May i Veggy wybiegli z traw na piaszczystą, zwirowatą pochyłość. W jednej chwili olbrzymie ramię wystrzeliło z piachu i złapało May za kostkę. Pojawiło się drugie ramię, za nim jeszcze jedno i oplotły ją pomimo przeraźliwych krzyków. May runęła jak długa, wierząc w panice nogami. Veggy dobył w biegu noża i nie zatrzymując

się, zaatakował z furią. Z piachu wylazły kolejne ramiona, oplatając również jego.

Kiedy roślinny żywioł podbił Ziemię, najmniej zagroził zwierzętom morskim. Ich środowisko mniej było podatne na zmiany od lądu. Jednakże zwiększenie się rozmiarów i liczebności alg morskich zmusiło wiele wodnych zwierząt do zmiany trybu życia albo środowiska. Nowe monstrualne wodorosty wykazały mistrzostwo w polowaniu na kraby, omotując je chciwymi liśćmi, gdy przemykały po dnie oceanu, bądź osaczając pod kamieniami w tym dogodnym dla roślin okresie, kiedy krabom nie stwardniały jeszcze nowe skorupy. W ciągu kilku milionów lat krótkoodwłokowe skorupiaki zostały prawie całkowicie wytepiene. Tymczasem kłopoty z wodorostami miały już ośmiornice. Zagłada krabów pozbawiła je podstawowego pożywienia. Ten i inne czynniki zmusiły je do zupełnej metamorfozy. Zmuszone do ucieczki przed wodorostami i poszukiwania pokarmu, gromadami opuszczały oceany, stając się mieszkańcami wybrzeża. Tak narodziła się ośmiornica piaskowa.

Toy rzuciła się z całą kompanią na ratunek Veggy'emu, zdjeta paniką z powodu niebezpieczeństwa grożącego ich ostatniemu dziecku mężczyźnie. Piach pryskał, gdy włączyli się do walki. Ale ośmiornica piaskowa dosyć miała ramion, by poradzić sobie z całą siódemką. Nie ujawniając przysypanego piachem cielska, pochwyciła wszystkich w macki, mimo że stawiali rozpaczliwy opór. Ich noże niewiele mogły zdziałać przeciw gumowemu objęciu. Ośmiornica wgniotła im w syпки piach twarze, jedną po drugiej, dławiąc krzyki.

Rośliny co prawda zatriumfowały w końcu, ale swoją wygraną zawdzięczały w równej mierze masie co inwencji. Okazywało się raz po raz, że sięgnęły po zwycięstwo, małpując jedynie mechanizmy działające dawno temu – być może na mniejszą skalę – w królestwie zwierząt, jak chociażby trawerser, najpotężniejszy ze wszystkich roślinotworów. Był on zwyczajnym epigonem niewielkiego pajęczka z okresu karbonu i plenił się, naśladując jego tryb życia. Na Ziemi Niczyjej, gdzie walka o byt wzniosła się na wyżyny, proces naśladownictwa rzucał się w oczy. Żywy przykład stanowiły wierzby, które skopiowały ośmiornicę piaskową, przez co stały się niepokonane wśród niepokonanych istot na całym tym upiornym wybrzeżu. Obecne wierzbomordy przebywały zanurzone w piachu i żwirze, z rzadka jedynie wystawiając kępki swoich liści. Ich korzenie nabyły stalowej giętkości i zamieniły się w macki. Takim właśnie bestiom grupa

zawdzięczała teraz życie. Ośmiornica piaskowa w swoim własnym interesie winna skończyć z ofiarą jak najszybciej. Przewlekająca się szamotanina ściągała uwagę jej wrogów wierzbomordów, stworzenia bowiem, które ją naśladowały, stały się jej śmiertelnymi rywalami. Właśnie ruszyły na nią dwa naraz, przedzierając się pod piachem tak, że tylko liście widniały nad powierzchnią jak niewinne krzaki i bruzda na ruszonej ziemi w tyle. Zaatakowały z marszu, bez chwili wahania. Ich długie, sękatę korzenie miały straszliwą siłę. Każdy wierzbomord ze swojej strony uchwycił za macki ośmiornicy piaskowej. Poznała ten śmiertelny uścisk, orientowała się w jego potwornej mocy. Wypuszczając ludzi z objęć, stanęła do walki o własne życie. Z rozwartym dziobem, z okrągłymi z prerażenia oczami wydzwignęła się z piachu jednym podrzutem, od którego grupa poleciała na wszystkie strony Gwałtowne szarpnięcie któregoś z wierzbomordów powaliło ją na grzbiet. Przekreśliła się na brzuch, uwalniając szczęśliwie wszystkie swoje macki, z wyjątkiem jednej. Odrąbała tę występłą mackę jednym okrutnym uderzeniem dzioba, z taką furją, jakby jej własne ciało było jej wrogiem. Pod bokiem miała posępne morze. Zawsze szukała w nim instynktownie schronienia przed niebezpieczeństwem. Rozpoczęła szaleńczą rejteradę, wśród łomotu grzmocących na osłep korzeni wierzbomordów. Znalazły ją! Zatrzymana w odwrocie ośmiornica wzbija w szale tumany piachu i kamieni. Ale wierzbomordy już ją trzymały w swoich trzydziestu pięciu odnóżach, jakimi dysponowały do spółki. Zapomniawszy o sobie, ludzie patrzyli jak urzeczeni na nierówny pojedynek. Niebawem wywijające w zapamiętaniu ramiona zaczęły śmigać koło nich.

– Uciekajmy! – wrzasnęła Toy, zrywając się na nogi, gdy piasek zakotłował się przy niej.

– Mają Fay! – krzyknęła przeraźliwie Drifl: Najmniejsza z grupy była w potrzasku. W poszukiwaniu oparcia któraś z cienkich, białych korzeniomacek owinęła się wokół piersi Fay. Mała nawet nie zdołała dobyć głosu. Jej twarz i ramiona spurpurowiały Moment później uniesioną w powietrze ciśnięto brutalnie o pień pobliskiego drzewa. Ujrzeli, jak jej na pół rozplątane ciało spada we krwi na piasek.

– Tak już jest – dławiąc mdłości, powiedziała Toy. W drogę!

Dopadli najbliższych zarośli i runęli w nie, dysząc ciężko. Do oplakujących utratę swej najmłodszej towarzyszki docierały odgłosy

rozdzierania na strzępy ośmiornicy piaskowej.

Długo po ucichnięciu okropnych odgłosów sześcioro członków grupy nie ruszało się z miejsca. Wreszcie Toy usiadła.

– Widzicie, do czego doprowadziło wasze nieposłuszeństwo – powiedziała. – Straciliśmy Grena. Teraz Fay nie żyje. Wkrótce wszyscy zginiemy, a nasze dusze zgniją.

– Musimy wynieść się z Ziemi Niczyjej – odezwał się posepnie Veggy.
– To wszystko przez wysysola.

Zdawał sobie sprawę, że ponosi winę za zdarzenie z ośmiornicą piaskową.

– Nigdzie się stąd nie ruszymy – warknęła Toy – dopóki nie zaczniecie mnie słuchać. Czy musisz umrzeć, by to zrozumieć? Od tej chwili będziecie robić, co ja każę. Zrozumiałeś, Veggy?

– Tak. – May?

– Tak.

– A wy, Driff i Shree?

– Tak – odpowiedziały, a Shree dodała:

– Jestem głodna. Toy wcisnęła swoją duszę głębiej za pas.

– Ruszajcie cicho za mną – poleciła. Prowadziła ich, uważając na każdy swój krok. Wrzawa morskiej bijatyki już cichła. Kilka drzew zostało wciągniętych w wodę. Jednocześnie na brzegu legła sterta wodorostów. Zwycięskie drzewa, jakże łaknące pokarmu na tej jałowej glebie, rozbierały je teraz chciwie pomiędzy siebie. Coś puchatego przemknęło na czterech łapach obok przekradającej się grupy i zniknęło, zanim się połapali.

– Mogliśmy to zjeść – powiedziała gderliwie Shree. – Toy obiecała nam wysysola do jedzenia, a wcale go nie dostaliśmy.

Ledwo stworzenie zdążyło zniknąć, usłyszeli z tamtej strony szuranie, pisk, odgłosy pośpiesznego pożerania, wreszcie zapadła cisza.

– Coś innego je zjadło – wyszeptła Toy – Rozproszyc się, podchodzimy Noże w dłoni!

Rozsypani w wachlarz przemykali przez wysoką trawę, radzi, że robią

coś pożytecznego. Ten aspekt sensu życia rozumieli dobrze. Bez trudności wytropili źródło krótkotrwałych odgłosów ucztowania. Źródło jednak znajdowało się w pułapce i nie mogło umknąć. Z korony wyjątkowo koślawego drzewa zwiisał drąg, zakończony prymitywną klatką skleconą z kilkunastu zaledwie prętów. Pręty wchodziły w grunt. Klatka zamykała młodego aligatora, któremu pysk wystawał z jednej strony, a ogon z drugiej. Przy jego paszczy wałały się strzępy sierści; resztki kudłatego stworzenia, które grupa widziała przy życiu jeszcze pięć minut temu. Aligator i ludzie wychylający głowy z trawy mierzyli się wzrokiem.

– Spróbujemy go zabić. On nie może się ruszać – powiedziała May.

– Możemy go zjeść – wtrąciła Shree. – Nawet moja dusza chce jeść.

Zabijając aligatora, namordowali się z powodu jego pancerza. Przy pierwszym podejściu gad wałnął Driff ogonem, aż potoczyła się na kupę kamieni i rozcięła sobie głęboko twarz. Skłuli go z wszystkich stron i oślepiłi, osłabiwszy w końcu na tyle, że Toy odważnie wsunęła rękę do klatki i poderżnęła mu gardło. Gdy miotał się w agonii, zaszło coś dziwnego. Pręty klatki uniosły się, wyciągając z ziemi spiczaste końce, a cała konstrukcja złożyła się na kształt dłoni. Prosty drąg nad urządzeniem zwinął się w kilka zwojów i wraz z klatką zniknął w zielonych gałęziach drzewa. Grupa porwała swego aligatora i z okrzykiem przerażenia umknęła. Kluczając wśród ciasno stłoczonych pni drzew, wyszli na goły występ skalny. Wyglądał na bezpieczne schronienie, tym bardziej że obrzeżała go miejscowa odmiana kolczastego suchoświstu. Przycupnąwszy na skale, rozpoczęli swój niezbyt apetyczny posiłek. Nawet Driff wzięła w nim udział, chociaż twarz jej wciąż krwawiła w miejscu rozciętym przez kamień. Ledwo puścili w ruch szczęki, w pobliżu zabrzmiało wołanie Grena o pomoc.

– Cześć tu i pilnować żywności – rozkazała Toy. – Poyly pójdzie ze mną. Znajdziemy Grena i przyprowadzimy go tutaj .

Tak należało postąpić. Tylko głupcy ruszali w drogę z zapasami jedzenia, sam marsz był już ryzykowny. Okrążywszy suchoświst, Toy i Poyly ponownie usłyszały wołanie wskazujące im kierunek. Obeszły stanowisko fiołkoworóżowego kaktusa i natknęły się na Grena. Leżał twarzą do ziemi, rozplaszczony, pod drzewem podobnym do tego, przy którym zabili aligatora, jak ów gad zamknięty w klatce.

– Och, Gren! – krzyknęła Poyly. – Jak bardzo stęskniliśmy się za tobą!

Biegły już ku niemu, gdy z konarów pobliskiego drzewa wychyliło się w kierunku Grena pełzające pnącze o wilgotnej czerwonej paszczy na końcu, jaskrawej niczym kwiat, jadowitej z wyglądu jak wargokap. Paszcza sięgała do jego głowy. Poyly odczuła przypływ tkliwości dla Grena. Bez namysłu skoczyła i uczepliła się nadciągającego pnącza, jak najdalej od jego mięsistych warg. Wyciągnawszy świeży nóż, przecięła pulsującą pod palcami łodygę i zwinnie opadła na ziemię. Z łatwością uniknęła paszczy, która teraz podrygiwała na dole, bezużytecznie zamykając się i otwierając.

– Uwaga, Poyly, nad tobą! – krzyknęła ostrzegawczo Toy i rzuciła się naprzód.

Zaalarmowany już niebezpieczeństwem pasożyt uruchomił pełen tuzin swych pełzających paszczy. Barwne i śmiercionośne, kołysały się nad głową Poyly. Lecz Toy była u jej boku. Cięży z wielką wprawą, aż cały sok wyciekł z ran pnącza, a odrąbane paszcze legły u ich stóp, chwytając bezsilnie powietrze. Refleks roślin nie należał do najszybszych we wszechświecie, być może dlatego, że rzadko pobudzał go ból. Dysząc ciężko, obie dziewczyny poświęciły całą uwagę Grenowi, wciąż przygniecionemu klatką.

– Dacie radę mnie wydostać? – zapytał, spoglądając na nie bezradnie.

– Jestem przywódczynią. Jasne, że dam radę cię wydostać – powiedziała Toy. Korzystając z doświadczenia, jakiego nabyła podczas rozprawy z aligatorem, zauważyła: – Ta klatka jest częścią drzewa. Spowodujemy, że się cofnie i uwolnimy cię.

Przyklęknęła i zaczęła piłować nożem pręty klatki. Na terytorium opanowanym przez figowiec, wszechprzytłaczający pokładami swej zieleni, głównym problemem dla gatunków ostatnich było rozmnażanie własnego rodzaju. Pomysłowo rozwiązały tę sprawę takie rośliny jak suchoświsty, rodzące cudaczne głuszki, czy pudłopłon, który obrócił swoje torby nasienne w oręż. Nie mniej pomysłowo radziły sobie rośliny w swoistych warunkach Ziemi Niczyjej. Rozmnażanie było tu nie tak trudne jak wyżywienie, co wyjaśniało całkowicie odmiennosc tych banitów z wybrzeża od ich kuzynów z głębi łądu. Niektóre drzewa, jak namorzyny, weszły w morze i łowiły zabójcze wodorosty na nawóz. Inne, jak wierzbomordy, przejęły zwyczaje zwierząt, polując na sposób

drapieżców i żywiąc się padliną. Natomiast dąb, w miarę upływu milionów słonecznych lat, przekształcił zakończenia niektórych gałęzi w klatki i chwycił zwierzęta żywcem, karmiąc wygłodzone korzenie ich odchodami, a następnie rozkładającym się ścięciem, kiedy już ofiary padły z głodu.

Toy nie miała o tym zielonego pojęcia. Wiedziała jedynie, że klatka Gren powinna powędrować do góry, tak samo jak tamta z aligatorem. Z uporem odrzynała pręty wspomagana przez Poyly. Pracowały kolejno przy każdym z nich. Być może dąb uznał poczynione uszkodzenia za większe, niż w istocie były, bo nagle wyciągnął pręty z ziemi i całe urządzenie odskoczyło w konary nad ich głowami. Nie bacząc na tabu, dziewczęta złapały Gren i pobiegły z nim do reszty grupy

Znów szczęśliwie połączeni jedli mięso aligatora, wystawiwszy na ten czas strażę. Gren powiedział im nie bez pewnej chępliwości, co widział wewnątrz gniazda mocarmitów. Przyjęli to z niedowierzaniem.

– Mocarmity nie są na tyle inteligentne, aby dokonać tego wszystkiego, o czym mówisz – stwierdził Veggy.

– Widzieliście wszyscy wieżę, którą wybudowały Siedzieliście na niej.

– W lesie mocarmity nie są takie mądre – powiedziała May, popierając jak zwykle Veggy'ego.

– Nie jesteśmy w lesie – odparł Gren. – Tutaj dzieją się inne rzeczy. Okropne rzeczy.

– Dzieją się tylko w twojej głowie – zadrwiła May. – Opowiadasz nam o tych nieprawdopodobnych rzeczach, abyśmy zapomnieli, że źle postąpiłeś, nie usłuchawszy Toy. Skąd by się wzięły pod ziemią okna do wyglądania w morze?

– Mówię wam tylko o tym, co widziałem – powiedział Gren. Złość go już brała. – Na Ziemi Niczyjej wszystko jest inne. Tak już jest. Wiele mocarmitów miało też okropną grzybową narośl, jakiej nigdy przedtem nie widziałem. Od tamtej pory jeszcze raz spotkałem się z tym grzybem. Jego wygląd nie wróży nic dobrego.

– Gdzie go spotkałeś? – zapytała Shree.

Gren podrzucił do góry, a następnie złapał dziwnego kształtu szkiełko, robiąc pewnie przerwę dla stworzenia napięcia – a może nie miał zbyt

wielkiej ochoty wspominać swej ostatniej przeprawy.

– Kiedy złapała mnie drzewołapka – podjął – spojrzałem w górę między konary Tam ujrzałem wśród liści coś przerażającego. Nie mogłem się zorientować, co to jest, dopóki się nie poruszyły liście. Wtedy zobaczyłem jeden z tych grzybów, co to je widziałem na mocarmitach; wyrastał z drzewa i cały połyskiwał jak oko.

– Tutaj za dużo stworzeń niesie śmierć – powiedziała Toy – Musimy już wracać do lasu, gdzie będziemy żyć szczęśliwie. Wstawajcie.

– Daj mi ogryźć kość – zaprotestowała Shree. – Niech Gren skończy opowieść – dodał Veggie.

– Wszyscy wstawać. Dusze za pas i robić, co każę. Gren wsunął za pas swoje dziwne szkielekko i zerwał się pierwszy, aby pokazać, jak bardzo przestrzega dyscypliny. Inni również się podnieśli, gdy nagle przemknął nad nimi czarny cień: dwa lotniaki szcepione w śmiertelnej walce przekoziółkowały w powietrzu.

Wiele rodzajów ptakorośli przelatywało ponad sporym terenem Ziemi Niczyjej – zarówno te żerujące w morzu, jak i na lądzie. Mijały ją bez przysiadania, dobrze wiedząc o czyhających tu zasadzkach. Złączone w śmiertelnym pojedynku lotniaki zapomniały o bożym świecie. Z trzaskiem wyrznęły w korony drzew nieopodal grupy W jednej sekundzie Ziemia Niczyja ożyła. Wygłodniałe jak wilki rozjuszone drzewa wyciągnęły wijące się gałęzie. Rozplotły się użębione dzikie róże. Gigantyczne mchy potrząsały brodatymi głowami. Wędrowny kaktus podkraść się i wystrzelił swoje kolce. Pnącza ciskały kleiste bolas na przeciwnika. Podobne do kotów stworzenia, które Gren widział w kopcu mocarmitów, śmignęły koło nich i wspięły się na drzewa, by zająć pozycje do ataku. Wszystko, co potrafiło się ruszać, było w ruchu, pędzone głodem. W mgnieniu oka Ziemia Niczyja zmieniła się w jedną wielką maszynę bojową. Rośliny pozbawione jakichkolwiek możliwości ruchu dygotały w oczekiwaniu najędźniejszego choćby okrucucha. Kępa suchoświstu, przy której zaległa drżąca ze strachu grupa, z niecierpliwością potrząsała kolcami. Mało szkodliwy w swym normalnym środowisku suchoświst stał się bardziej agresywny z konieczności wykarmienia własnych korzeni. Nadziewał wszystko, co podeszło mu pod kolce. W podobny sposób setki innych nieruchomych roślin, małych, lecz uzbrojonych, szykowało się nie na lotniaki, ale na powracających łowców, którzy mogli zabłądzić na ich

ścieżkę. Pojawił się olbrzymi wierzbomord, wywijając dobytymi na światło dzienne mackami korzeni. Przebijając się na powierzchnię, sypał piachem i żwirem z ogłowionej korony Niebawem on też wziął się za bary z nieszczęsnymi lotniakami, drzewołąpkami, z każdym w gruncie rzeczy stworzeniem, które obrażało go tylko tym, że istnieje. Powstał jeden wielki zamęt. Lotniaki nie miały najmniejszej szansy

– Patrzcie, tam jest jeden z tych grzybów! – wykrzyknął Gren i wskazał palcem.

Wśród krótkich, węzowatych gałęzi w koronie wierzbomordu wyrastał upiorny grzyb. Gren widział go nie po raz pierwszy od upadku lotniaków. Jego ślady widniały na paru przemykających koło nich roślinach. Gren zadrażał na jego widok, który mniej poruszył jego towarzyszy Ostatecznie śmierć ma wiele twarzy, o czym wiedział każdy: tak już jest.

Z pola walki leciały na nich patyki. Po lotniakach nie było już ani śladu, między biesiadnikami trwał bój.

– Jesteśmy za blisko nieszczęścia – powiedziała Poyly. Ruszajmy.

– Sama miałam to właśnie zarządzić – odezwała się, sztywniejac, Toy.

Pozbierali się i ruszyli tak, jak to było możliwe. Teraz wszyscy uzbrowili się w długie kije i posuwali, macając nimi przed sobą na wszelki wypadek. Straszne okrucieństwo wierzbomordów stanowiło mrozące serca memento. Przez dłuższy czas maszerowali, pokonując przeszkodę za przeszkodą, co krok ocierając się o śmierć. W końcu sami zostali pokonani przez senność. Znaleźli zwałoną kłodę z dziuplą w środku. Przepędzili z niej kijami jadowite liściaste stworzenie i przytuleni do siebie zasnęli we wnętrzu z poczuciem bezpieczeństwa. Obudzili się więźniami. Obie krawędzie szczeliny połączyły się ze sobą. Driff, która obudziła się pierwsza i to odkryła, zerwała wyciem pozostałych, by zbadali sprawę. Nie było żadnych wątpliwości co do tego, że zostali uwięzieni i że czeka ich śmierć przez uduszenie. Ściany kloca, suche poprzednio i spróchniałe, lepiły się teraz od słodkawego syropu, który skapywał na ich ciała. Rozpoczął się właśnie proces trawienia! Powalony pień nie był niczym innym jak brzuchem, do którego wleźli bezmyślnie.

Po tysiącletnich prób brzuchowiąż całkowicie poniechał wyciągania pożywienia z niegościnnnej gleby Ziemi Niczyjej. Zrezygnował z korzeni i przeszedł na swój obecny, leżący tryb życia. Udawał zwałoną kłodę. Jego

system gałęzi i liści usamodzielniał się i przeobraził w symbiotyczną liściastą istotę, którą grupa przepędziła; symbiotyczny twór był również skuteczną przynętą wabiącą inne istoty do otwartego brzucha swego partnera. Jakkolwiek brzuchowiąż poprzestawał zazwyczaj na przedstawicielach flory, mięso w równym stopniu zaspokajało wymogi jego trawieńca. Z radością przyjął więc siedem maleńkich istot ludzkich.

Ślizgając się w obrzydliwym mroku, siedem maleńkich istot ludzkich walczyło zajadle, atakując nożami dziwną roślinę. Cokolwiek robili, nie odnosiło żadnego skutku. Apetyt brzuchowiążu wzrastał się i lepki deszcz padał coraz gęściej.

– To nic nie da – wydusiła z siebie Toy. – Odpocznijmy przez chwilę i spróbujmy coś wymyślić.

Przykucnęli na piętach ciasno obok siebie. Zbici z tropu, przerażeni, otepiali od ciemności nie potrafili zrobić nic innego. Gren próbował wywołać w swej pamięci jakiś pożyteczny obraz. Skupił się, ignorując spływające mu po plecach paskudztwo. Starał się przypomnieć sobie, jak kłoda wyglądała z zewnątrz. Znaleźli ją, kiedy szukali miejsca do spania. Wspięli się po pochyłości, obchodząc podejrzaną łąkę gołego piachu, i w niskiej trawie na szczycie stoku natknęli się na brzuchowiąż. Jego powierzchnia była gładka... – Ha! – wykrzyknął w ciemność.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Veggy. – Nad czym tak hahasz?

Złościł się na nich wszystkich: był przecież mężczyzną czyż nie należało go ostrzec przed tym niebezpieczeństwem i poniżeniem?

– Naprzyjmy wszyscy razem na tę ścianę – powiedział Gren. – W ten sposób może damy radę potoczyć kłodę. Veggy prychnął w ciemności.

– Co nam to da? – zapytał.

– Rób, co powiedział, ty nędzny robalu! – głos Toy ociekał wściekłością.

Wszyscy wzdrygnęli się, słysząc ten ostry ton. Tak samo jak Veggy, Toy nie domyślała się, o co chodzi Grenowi, ale musiała zachować autorytet.

– Jazda, wszyscy pchać tę ścianę...

Pozbierali się do kupy w kleistej mazi, dotykiem sprawdzając, czy są obrócenii w tę samą stronę.

– Wszyscy gotowi? – spytała Toy – Hej, raz! Jeszcze raz! I jeszcze! Jeszcze!

Stopy ześlizgiwały im się w lepkiem klajstrze, lecz nie ustępowali. Toy zachęcała okrzykami. Brzuchowiąż przekreślił się. Ogarnęło ich podniecenie. Pchali w euforii, pokrzykując zgodnie. Brzuchowiąż obrócił się znowu. I jeszcze raz. I dalej już bez zatrzymywania. Nagle ich wysiłek okazał się zbyt ciężki. Kłoc staczał się po równi pochyłej siłą ciężkości, tak jak oczekiwał Gren. Siedmioro ludzi koziołkowało coraz prędzej.

– Bądźcie gotowi wiać przy pierwszej okazji! – zawołał Gren. – Jeśli ją będziecie mieli. Jest szansa, że drzewo rozleci się u stóp zbocza.

Brzuchowiąż zwolnił, wtaczając się na piach, a następnie zatrzymał się, gdy stok wyrównał do poziomu. Wtedy dopadł go wreszcie jego partner, owa liściasta istota, która gonila za kłodą krok w krok. Wskoczyła na kłoc i zapuściła w szczeliny swe dolne pędy, ale jej radość trwała krótko. Coś się poruszyło pod piachem. Wylazła biała, podobna do korzenia macka, za nią następna. Wijąc się na wszystkie strony, natrafiły na brzuchowiąż. Oplotły go. Liściasta istota umykała już co sił, kiedy wyrósł nad nimi wierzbomord. Wciąż zamknięci w środku kłody usłyszeli jęk brzuchowiążu. – Uwaga, wiejemy! – wykrzyknął Gren.

Niewiele stworzeń wytrzyma chwyt wierzbomordu. Jego obecna ofara nie miała cienia szansy. W uścisku cumopodobnych macek brzuchowiąż pękł z traskiem łamanych wręg. Zgubiony, rozdzierany na wszystkie strony, rozkruszył się jak suchar. W rozpryskach światła grupa wyskoczyła na wolność. Jednej Driff się nie powiodło. Uwięzła w zapadniętym końcu kłody. Krzyczała i szarpała się jak szalona; na próżno. Reszta zatrzymała się w pół drogi do wysokich traw, oglądając się na nią. Toy z Poyly popatrzyły na siebie i zawróciły na ratunek.

– Wracajcie, wariatki! – wrzasnął Gren. – Was też złapie!

Nie zważając na nic, zapuściły się w piaszczystą łąkę i pobiegły do Driff. Gren pognął za nimi w panice.

– Zawracajcie! – krzyczał.

Trzy metry od nich wznosiło się olbrzymie cielsko wierzbomordu. W jego koronie połyskiwał grzyb, ciemny, sfałdowany, dobrze znajomy. Widok był okropny. Gren nie mógł pojąć, jak one potrafią to wytrzymać.

Uderzył Toy, szarpiąc ją i krzycząc, by pomyślała o swojej duszy. Toy nawet się nie odwróciła. Razem z Poyly mozoliła się nad uwolnieniem Driff tuż przy dusicielskich białych korzeniach. Noga Driffi zaklinowała się między dwiema rozszczepionymi drzazgami. Wreszcie jedna ustąpiła i mogły wywlec Driff. Chwyciły ją pod boki i popędziły, a Gren za nimi, ku wysokiej trawie, w której przywarowała reszta. Leżeli, ciężko dysząc, przez kilka minut. Wysmarowanych ziemią ledwo można było rozpoznać. Pierwsza usiadła Toy. Obróciła się do Grenu i głosem zimnym od nienawiści powiedziała:

– Gren, wyganiem cię z grupy. Odtąd jesteś banitą. Gren aż podskoczył, poczuł, że łzy napływają mu do oczu pod ich spojrzzeniami. Nie było okrutniejszej kary od wygnania. Rzadko stosowano ją wobec kobiet, chyba nikt nie słyszał, aby zastosowano ją wobec mężczyzny

– Nie możesz tego zrobić! – zawołał. – Dlaczego miałybyś mnie wyganiać?! Nie masz powodu!

– Uderzyłeś mnie – powiedziała Toy. – Jestem twoją przywódczynią, a jednak uderzyłeś mnie. Próbowalesz przeszkodzić w ratowaniu Driff, chciałeś ją zostawić, by umarła. I zawsze chcesz robić wszystko na swój sposób. Nie jestem w stanie panować nad tobą, więc musisz odejść.

Wszyscy pozostali, z wyjątkiem Driff, stali już na nogach z ustami pootwieranymi z wrażenia.

– To kłamstwa, same kłamstwa!

– Nie, to prawda.

Toy opuściła pewność, więc zwróciła się do pięciu wpatrzonych w nią z napięciem twarzy.

– Czy to nie jest prawda?

Ścisnąc obolałą nogę, Driff przytaknęła gorliwie, że jest. Podobnie Shree, przyjaciółka Driff. Veggy i May tylko skinęli w milczeniu głowami; czuowali się do winy, że nie pośpieszyli na ratunek Driff, i teraz nadrabiali to, popierając Toy. Jedyny sprzeciw spotkał ją nieoczekiwanie ze strony jej najbliższej przyjaciółki, Poyly

– To nie ma najmniejszego znaczenia, czy to, co mówisz, jest prawdą, czy nie – oświadczyła Poyly. – Gdyby nie Gren, byłibyśmy teraz martwi

we wnętrzu brzuchowiązu. On nas stamtąd wyratował i zasługuje na naszą wdzięczność.

– Nie, to wierzbomord nas uratował – powiedziała Toy. – Gdyby nie Gren...

– Nie wtrącaj się, Poyly. Widziałas, jak mnie uderzył. Musi opuścić grupę. Musi odejść.

Kobiety stanęły naprzeciwko siebie z dłońmi na rękojeściach noży, policzki płonęły im w gniewie.

– On jest naszym mężczyzną. Nie możemy go wygnać powiedziała Poyly. – Pleciesz głupstwa, Toy.

– Zapominasz, że mamy jeszcze Veggy'ego.

– Wiesz dobrze, że Veggy ciągle jest zaledwie dzieckiem mężczyzną.

Veggy skoczył jak oparzony.

– Jestem wystarczająco dorosły, aby ci to zrobić, Poyly, ty tłuściochu – zawołał, podskakując dookoła i wystawiając się na pokaz. – Zobacz, jaki jestem, nie gorszy od Grena!

Ale usadziły go i powróciły do sporu. Za ich przykładem pozostali również podjęli sprzeczkę. Zamilkli, dopiero kiedy Gren rozplakał się ze złości.

– Głupcy jesteście – krzyczał wśród szlochów – ja wiem, jak wyjść z Ziemi Niczyjej, a wy nie wiecie! Jak dokonacie tego beze mnie?!

– Wszystko potrafimy zrobić bez ciebie – powiedziała Toy, dodając jednakże:

– Jaki masz plan?

Gren zaśmiał się gorzko.

– Świetna z ciebie przywódczyni, Toy! Ty nawet nie wiesz, gdzie jesteśmy. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, że znajdujemy się na skraju Ziemi Niczyjej. Patrz, stąd widać nasz las.

Wyciągnął palec dramatycznym gestem.

Uciekając z brzuchowiązu, prawie nie przyjrzeni się nowemu otoczeniu. Nie ulegało wątpliwości, że Gren ma rację. Tak jak powiedział, znajdowali

się na skraju Ziemi Niczyjej. Koślawe i rachityczne drzewa tego regionu rosły ciałniej za ich plecami, jakby zwierając szyki. Jeżyli się kolczaści wojownicy – cieri i bambus, sterczały wysoko trawy ostre jak brzeszczoty, które bez trudu mogły odciąć ludzką rękę. Wszystko splecione ze sobą prawdziwymi zasiekami jeżyn. Postawienie stopy w tym nieprzebytym gąszczu było samobójstwem. Wszystkie rośliny trzymały straż jak oddziały w obliczu wspólnego nieprzyjaciela.

Widok wspólnego nieprzyjaciela też nie był zachęcający. Wielki figowiec górował nad wyrzutkami Ziemi Niczyjej, wysoki i mroczny, prac przed siebie, jeśli tylko pozwalała żyzność gleby. Jego skrajne konary, pokryte nienaturalnie gęstym listowiem, wyciągały się do granicy wytrzymałości ponad przeciwnika jak załamana na wieki fala odcinająca zachłannie blask słońca. Figowiec wspierały stworzenia zamieszkujące jego lesiste ostępy – gębokłapy, obleśne glistoglutę, jagodobije, śmiercionośne wargokapy i wiele innych, które niczym wieczne psy łańcuchowe patrolowały obrzeża potężnego drzewa. Las, tak w teorii przyjazny ludziom, z tego miejsca wystawiał jedynie pazury.

Gren obserwował ich minę, gdy popatrywali na ten podwójny szaniec wrogiej roślinności. Żadnego ruchu; przekradający się od morza słaćutki podmuch nawet nie poruszył pancernych liści, jedynie wnętrzości ludzi poruszały się ze strachu.

– Widzicie sami – powiedział Gren. – Zostawcie mnie tutaj. Pokażcie mi, jak przechodzicie tę barykadę. Chciałbym to zobaczyć.

Rozpierała go pycha, bo on teraz przejął inicjatywę. Spoglądali na niego, na barierę i znowu na niego.

– Ty nie wiesz, jak przejść – powiedział z zakłopotaniem Veggy.

– Znam sposób – odparł Gren kategorycznie.

– Myślisz, że mocarmity ci pomogą? – zapytała Poyly.

– Nie.

– Więc co?

Patrzył na nich wyzywająco, po czym zwrócił się do Toy. – Pokażę wam drogę, jeżeli pójdziecie za mną. Toy nie ma rozumu, ja mam. Nie wygnacie mnie. Poprowadzę was zamiast Toy. Jeśli zrobicie mnie swoim przywódcą,

zabiorę was w bezpieczne miejsce.

– Trele – morele, męski dzieciaku – odezwała się Toy – Za dużo gadasz. Przechwalasz się bez przerwy.

Ale za jej plecami już poszeptywano.

– Kobiety przewodzą, a nie mężczyźni – powiedziała Shree pełnym powątpiewania głosem.

– Toy jest złą przywódczynią! – zawołał Gren.

– Nie, wcale nie jest – zaprzeczyła Driff. – Ona jest dzielniejsza od ciebie.

Reszta zgodziła się z nią, mamrocząc, nawet Poyly. Jakkolwiek ich wiara w Toy miała swoje granice, mało ufali Grenowi. Poyly wzięła go na stronę.

– Znasz prawa i obyczaje ludzi. Wypędzą cię, jeżeli nie wskażesz im bezpiecznego wyjścia.

– A jeśli wskażę?

Złagodniał na widok Poyly, dziewczyna była warta grzechu. – Wtedy możesz zostać z nami, i tak będzie sprawiedliwie. Ale nie spodziewaj się, że będziesz nam przewodzić zamiast Toy. To by nie było sprawiedliwe.

– Ja zadecyduję, co jest sprawiedliwe, a co nie. – Tak też nie będzie sprawiedliwie.

Skrzywił się.

– Zacna z ciebie dziewczyna, Poyly. Nie spieraj się ze mną.

– Nie chcę dopuścić, by cię wygnali. Trzymam twoją stronę. – A więc patrzcie! – I Gren obrócił się do reszty grupy. Wyjął zza pasa kawałek szkła dziwnego kształtu, którym się uprzednio zabawiał. Wystawił je na otwartej dłoni. Podniosłem to, kiedy złapała mnie drzewołapka – zwrócił się do wszystkich. – To się nazywa mika albo szkło. Być może pochodzi z morza. Być może z tego właśnie mocarmity robią swoje podmorskie okna.

Toy zabierała się do zbadania szkiełka, ale Gren cofnął dłoń.

– Jeżeli potrzymać je w słońcu, wytworzy przed sobą małe słońce. Kiedy byłem w klatce, oparzyłem sobie tym rękę. Wypaliłbym sobie

wyjście z pułapki, gdybyście nie nadeszli. A oto jak możemy otworzyć sobie drogę z Ziemi Niczyjej. Podpalimy tutaj trochę patyków i trawy, a ogień się rozszerzy. Lekki powiew podprowadzi go do lasu. Nic nie lubi ognia i tam, gdzie ogień przejdzie, my możemy posuwać się bezpiecznie z powrotem w głąb lasu.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

– Gren jest niezwykle sprytny – powiedziała Poyly. Jego pomysł ocali nam życie.

– Nic z tego nie będzie – zawyrokowała z uporem Toy. W przystępie wściekłości Gren cisnął w nią prymitywną soczewką.

– Ty idiotko! Masz same ropuchy w głowie! To ciebie należałoby wywalić z grupy! Ciebie należy przegnać!

Cofając się, Toy złapała soczewkę.

– Gren, tyś oszalał! Nie wiesz, co mówisz. Wynoś się krzyknęła – zanim będziemy zmuszeni cię zabić! Rozjuszony Gren zwrócił się do Veggy'ego.

– Widzisz, jak ona mnie traktuje, Veggy! Nie może nam przewodzić. Ona musi odejść albo my dwaj odejdziemy.

– Toy nigdy mnie nie skrzywdziła – odezwał się markotnie Veggy, chcąc za wszelką cenę wycofać się z awantury. Nie zamierzam zostać wyrzutkiem.

Toy zorientowała się w ich nastrojach i w mig je wykorzystała.

– W grupie nie ma miejsca na spory, bo grupa umrze.

Tak już jest. Jedno z nas, Gren lub ja, musi odejść, a do was należy decyzja, które. Teraz głosujcie. Śmiało, kto woli, żebyśmy to ja raczej odeszła niż Gren?

– To nieuczciwie! – zawołała Poyly

– Gren musi odejść – wyszeptwała Driff

Gren wyciągnął nóż. Veggy zerwał się i natychmiast wyciągnął swój. May zrobiła to samo za jego plecami. Niebawem wszyscy stanęli z nożami przeciwko Grenowi. Jedna Poyly się nie poruszyła. Grenowi z rozgoryczenia opadła szczeka.

– Oddaj mi moje szkiełko. – Wyciągnął dłoń do Toy.

– Ono jest nasze – powiedziała Toy – Potrafimy zrobić małe słońce bez twojej pomocy Wynoś się, zanim cię zabijemy.

Po raz ostatni przyglądał się kolejno ich twarzom. Po czym obrócił się na pięcie i odszedł bez słowa. Klęska go zaślepiła. Przyszłość rysowała się przed nim niezbyt różowo. Życie na własną rękę, ryzykowne w lesie, tutaj było ryzykowne w dwójnasób. Gdyby mu się udało powrócić do środkowych warstw lasu, może by natrafił na inną grupę ludzi, ale takie grupy spotykało się rzadko i były one płochliwe; nie bardzo też pociągała Grena konieczność podporządkowania się obcym, nawet gdyby go przyjęli.

Ziemia Niczyja nie stanowiła najlepszego terenu spacerowego dla kogoś zaślepionego klęską. Był wygnańcem zaledwie pięć minut, gdy padł ofiarą roślinnego przeciwnika. Grunt opadał nierówno pod jego stopami do koryta niewielkiego potoku, którym nie płynęła już woda. Głazy wyższe od Greny zalegały gęsto wokoło, żwir i porozrzucane w nieładzie kamyki stanowiły skromne urozmaicenie. Prócz ostrych jak brzytwa traw rosło tu zaledwie kilka roślin. Kiedy obojętny na wszystko wędrował tak przed siebie, coś spadło mu na głowę, lekko i bezboleśnie.

Kilkakrotnie niepokoił Grenę widok ciemnego, podobnego do mózgu grzyba, uczepionego innych stworzeń. Ten rozumny grzyb był mutantem smardza. Na przestrzeni wieków zmienił sposoby żywienia się i rozmnażania.

Przez moment Gren stał zupełnie bez ruchu, dygocąc leciutko pod dotykiem tego czegoś. Podniósł rękę, ale natychmiast ją opuścił. W głowie czuł chłód, prawie odrętwienie. W końcu przysiadł pod najbliższym głazem i przyciśnięty plecami do skały, wpatrzył się w stronę, z której przybył. Znajdował się w gęstym cieniu; miejsce było wilgotne, pasmo promieni słonecznych lśniło na szczycie skarpy koryta potoku, a dalej widniała kurtyna liści, jakby malowana w zielenie i biele. Gren zapatrzył się na nią apatycznie, próbując odnaleźć jakiś sens w tym wzorze. Rozumiał mgliście, że to wszystko będzie tutaj, kiedy on już umrze, nawet trochę bogatsze po jego śmierci, gdy inne stworzenia wchłoną fosfaty jego ciała. Nie wydawało mu się prawdopodobne, by dane mu było Odejść Wyżej w uświęcony i praktykowany przez jego przodków sposób: nie miał nikogo, kto by się zatroszczył o jego duszę. Życie jest krótkie, a czym on jest ostatecznie? Niczym!

– Jesteś człowiekiem – odezwał się głos.

To był duch głosu, głos nie wypowiedziany, nie mający nic wspólnego ze strunami głosowymi. Zdawał się pobrzękiwać w jakimś zakamarku jego głowy jak niewyraźny dźwięk harfy. W swoim obecnym stanie Gren nawet nie odczuł zdziwienia. Plecy wrastały mu w kamień, cień wokół niego spowijał wiele rzeczy, ciało miał z pospolitego tworzywa – czemuż by nie miały istnieć głosy wyrażające jego myśli?

– Kim jesteś? – zagadnął leniwie.

– Ty mów na mnie smardz. Ja ciebie nie opuszczę. Ja mogę ci pomóc.

Żywił nieistotne podejrzenie, że smardz nigdy przedtem nie używał słów, tak mozolnie przychodziły.

– Potrzebuję pomocy. Jestem banitą.

– Tak właśnie myślałem. Złączyłem się z tobą, aby ci pomóc. Zawsze już będę z tobą.

Pomimo otepienia Grenowi udało się sformułować pytanie:

– Jak mi pomożesz?

– Tak jak pomagam innym istotom. Gdy już z kimś jestem, nigdy go nie opuszczam. Wiele istot nie ma mózgu. Ja gromadzę myśli. Ja i wszyscy przedstawiciele mego gatunku działamy jak mózgi; w ten sposób stworzenia, z którymi się łączymy, są przebieglejsze i zręczniejsze od innych.

– Czy będę bardziej przebiegły od innych ludzi? – zapytał Gren.

Na szczycie wąwozu, którym ongiś płynął potok, słoneczna jasność nie gasła. W głowie miał jeden wielki mętlik. Czuł się tak, jakby rozmawiał z bogami.

– Jeszcze nigdy nie schwytaliśmy człowieka – odezwał się głos, znacznie już szybciej dobierając słowa. – My, smardze, zamieszkujemy tylko tereny Ziemi Niczyjej. Wy przebywacie jedynie w lasach. Udany z ciebie połów. Uczynię cię potężnym. Niosąc mnie ze sobą, dojdiesz wszędzie.

Gren rozciągnął się na chłodnym gładzie, nie odpowiadając. Jego energia wyczerpała się, rad był, że czas płynie. W końcu ponownie zadźwięczał mu

w głowie głoś:

– Sporo wiem o ludziach. Czas na tym świecie i na światach w przestrzeni kosmicznej zaczął się strasznie dawno. Twój dwunożny gatunek kiedyś władał tym światem, w bardzo odległym okresie, kiedy słońce nie było gorące. Byliście wtedy dużymi istotami, pięć razy wyższymi niż teraz. Skarleliście, by sprostać nowym warunkom, by walczyć o przetrwanie na wszelkie możliwe sposoby. W tamtych czasach moi przodkowie byli mali, lecz przemiany, chociaż zachodzą tak wolno, że niemal niepostrzeżenie, nie ustają. Teraz wy jesteście małymi, zatrzymanymi w rozwoju stworzeniami, podczas gdy ja jestem w mocy cię strawić!

Gren słuchał i po przemyśleniu tych słów zadał pytanie: – Skąd możesz to wszystko wiedzieć, grzybie, skoro do tej pory nie spotkałeś człowieka?

– Badałem strukturę twojego umysłu. Wiele twoich wspomnień i myśli jest dziedzictwem odległej przeszłości, tak głęboko ukrytym, że nie potrafisz do niego dotrzeć. Ale ja potrafię. Z nich czytam historię przeszłości twojego gatunku. Mój rodzaj ma szansę stać się tak wielki, jak był twój...

– Czy przez to ja też będę wielki?

– Prawdopodobnie tak właśnie będzie.

Nagle ogarnęła Greną fala senna. Śnił sen przepastny jak morze i jak ono pełen dziwacznych rybosnów, które później wymknęły mu się jak migające rybie ogony. Obudził się zniecka. Coś poruszało się w pobliżu. Na szczycie skarpy, tam gdzie na zawsze świeciło jasne słońce, stała Poyly

– Gren, kochany! – zawołała, gdy nieznacznym ruchem zdradził swoją obecność. – Opuściłam ich, aby zostać przy tobie i być twoją kobietą.

Miał teraz umysł jasny, jasny i bystry jak wiosenna woda. Wiele spraw ciemnych poprzednio stało się dla niego zrozumiałych. Skoczył na nogi. Poyly zaglądała do cienia. Jego widok ją przeraził. Tajemniczy grzyb wyrastał z Greny tak samo jak z drzewołapek i wierzbomordów. Wystawał mu z włosów, wznosił się garbem na karku, sterczał jak kreza owinięta w połowie obojczyka. Połyskiwał mrocznie płataniną zwojów.

– Gren! Grzyb! – krzyknęła, cofając się w panice. – Cały jesteś w grzybie!

W jednej chwili znalazł się na górze i pochwycił jej dłoń. – Wszystko w porządku, Poyly, nie ma powodu do obaw. Grzyb nazywa się smardzem. Nie zrobi nam krzywdy. Jest w stanie nam pomóc.

Poyly nie od razu odpowiedziała. Znała reguły gry lasu i Ziemi Niczyjej. Zamieszkujące je stworzenia dbały o swoje interesy, a nie o korzyści dla innych. Niejasno przeczuwała, że prawdziwym zamiarem tego grzyba jest żerowanie na innych i rozmnażanie się na jak najszerzą skalę i że mając przed sobą taki cel, będzie jak najdłużej odwlekał uśmiercenie swego gospodarza.

– Grzyb jest zły, Gren – powiedziała Poyly – Jak może być inaczej?

Gren ukląkł, pociągając ją za sobą i mrużąc coś uspokajającego. Poglądził jej kasztanowe włosy

– Grzyb może nas wiele nauczyć – powiedział. – Może my stać się o niebo lepsi, niż jesteśmy, my, biedne istoty To j chyba nic złego zostać lepszym.

– W jaki sposób grzyb nas uczyni lepszymi? W głowie Grena rozległ się głos smardza:

– Na pewno nie zginiecie. Co dwie głowy, to nie jedna. Wasze oczy będą widzieć. Będziecie jak bogowie!

Gren powtarzał prawie słowo w słowo za smardzem.

– Może ty wiesz lepiej, Gren – odezwała się Poyly niepewnym głosem.
– Zawsze byłeś niezwykle rozzgnięty.

– Ty też możesz być taka – wyszeptał.

Z ociąganiem ułożyła się w jego ramionach i przytuliła mocno. Połec grzyba spadł z szyi Grena prosto na jej czoło. Drgnęła i szarpnąwszy się, sprężyła się, jakby do oporu, ale w rezultacie zamknęła tylko oczy. Kiedy je otworzyła, błyszczały jasno. Jak jeszcze jedna Ewa, przyciągnęła do siebie Greną. Ich drewniane dusze wypadły zza zdjętych pasów, kiedy kochali się w ciepłych promieniach słonecznych. Wreszcie podnieśli się i uśmiechnęli do siebie. Gren rzucił okiem pod nogi.

– Upuściłimy nasze dusze – zauważył. Zrobiła gest lekceważenia.

– Zostaw je, Gren. Będą nam tylko zawadzać. Chyba już nie są nam potrzebne.

Pocałowali się, przeciągnęli i zaczęli myśleć o innych sprawach, zupełnie już oswojeni z widokiem grzybiastych koron na głowach.

– Nie musimy się martwić o Toy i pozostałych – powiedziała Poyly. – Przetarli nam drogę do lasu. Patrz! Zaprowadziła go na drugą stronę wysokiego drzewa. Ściana dymu przemieszczała się łagodnie w głąb ładu, znacząc wytrawianą przez ogień drogę powrotu do figowca. Ujawszy się za ręce, ruszyli razem, by wyjść z Ziemi Niczyjej, ich niebezpiecznego raj.

Drobne, ciche, bezrozumne istoty przemykały po gościńcu, wylaniając się i znikając w okalających go mrokach zieloności. Gościńcem sunęły dwie owocowe łupiny. Dwie pary oczu zezowały spod nich na owe nieme stworzenia i tak jak one biegały na wszystkie strony, wypatrując zasadzki. Gościńiec wiódł pionowo, rozbiegane oczy nie mogły dojrzeć ani jego początku, ani końca. Przygodne odgałęzienia skręcały poziomo z głównego szlaku; nie zwracano na nie uwagi w powolnym, lecz niewzruszonym pochodzie. Chropowate podłoże dostarczało wspianego oparcia wystającym spod łupin ruchliwym palcom dłoni i stóp. Powierzchnia gościńca była też walcowata, jako że stanowił go pojedynczy pień potężnego drzewa figowego. Obie łupiny zsuwały się z jego środkowych pięter ku podstawie. Listowie coraz bardziej odcedzało światło, tak że zdawały się postępować w zielonej mgle ku tunelowi czerni. Wreszcie prowadząca łupina po chwili wahania skręciła w bok na jedną z poziomych gałęzi, podążając ledwo dostrzegalnym tropem. Druga powlokła się za nią. Usiadły razem, na poły wsparte o siebie, grzbietami obrócone ku swemu niedawnemu gościńcowi.

– Boję się tego schodzenia do Dna – powiedziała Poyly spod łupiny

– Musimy iść tam, gdzie nam grzyb każe – cierpliwie wyjaśnił Gren, nie po raz pierwszy zresztą. – On ma więcej rozumu od nas. Teraz, jak już jesteśmy na tropie innej grupy, głupio byłoby go nie usłuchać. Przecież nie możemy żyć w lesie na własną rękę.

Wiedział, że smardz ugłaskuje ją podobnymi argumentami. Od kiedy jednak opuścili Ziemię Niczyją, kilka przespań temu, Poyly była przez cały czas niespokojna z powodu swego samowygnań z grupy, które ciążyło jej bardziej, niż się spodziewała.

– Powinniśmy się bardziej przyłożyć do szukania śladów Toy i reszty naszych przyjaciół – powiedziała Poyly – Gdybyśmy poczekali, aż ogień

przygaśnie, na pewno byśmy ich znaleźli.

– Musieliśmy wyruszyć, ponieważ balaś się poparzenia odparł Gren. – Poza tym wiesz, że Toy nie przyjąłaby nas z powrotem. Ona nie miała litości nawet dla ciebie, swojej przyjaciółki.

Poyły coś odmruknęła i zapadła między nimi cisza, którą dziewczyna przerwała po chwili.

– Musimy iść dalej? – łapiąc Grenę za przegub ręki, zapytała cieniutkim głosem.

Z bojaźliwą pokorą czekali, wiedząc doskonale, że odpowie inny głos.

– Tak, pójdziecie dalej, ty, Poyły, i Gren, bo ja wam tak każę, a jestem od was silniejszy

Oboje znali już ten głos. Głos wydawany bez warg i słyszany bez uszu, zanikający w obrębie ich głów jak kukółka zegara na wieki uwięziona w swej skrzynce. Jak stłumione tony harfy

– Ja was doprowadziłem bezpiecznie aż dotąd – podjął smardz – i poprowadzę jeszcze dalej. Nauczyłem was, jak się nosi łupiny owoców, i ukryci w nich przebyliśmy bez uszczerbku długą drogę. Jeszcze małeńki krok naprzód, a czeka was chwała.

– Potrzebujemy odpoczynku, grzybie – powiedział Gren. – Odpocznijcie przed dalszą drogą. Natrafiliśmy na ślady innego plemienia ludzkiego, nie pora na bojaźń w sercu. Musimy znaleźć to plemię.

Posłuszna głosowi para ludzi legła na odpoczynek. Nieporęczne łupiny, odciosane z dwóch obłych owoców leśnych, z wybitymi topornie otworami na ręce i nogi, nie pozwoliły im leć wygodnie. Przycupnęli, jak się dało, ze sterczącymi do góry rękami i nogami, jakby zmiażdżeni na śmierć pod ciężarem listowia nad ich głowami. Myśli smardza sunęły gdzieś poza ich zasięgiem, niczym rozpraszający uwagę podkład muzyczny.

W owej erze zieleni rośliny rozwijały się, osiągając coraz większe rozmiary kosztem mózgu, natomiast grzyb smardz specjalizował się w inteligencji, pozbawionej skrupułów, ograniczonej inteligencji dżungli. Dla podtrzymania swego własnego bujnego rozrostu potrafił pasożytować na innych gatunkach, łącząc swe zdolności dedukcji z ich zdolnością poruszania się. Osobnik, który podzieliwszy się na pół, posiadał właśnie

zarówno Poyly, jak i Grena, nie potrafił wyjść z zadziwienia, odkrywając w ich ośrodkach nerwowych coś, czego nie miało żadne inne stworzenie – pamięć zawierającą mgliste wspomnienie gatunku, ukryte nawet przed ich właścicielami.

Jakkolwiek smardz nie znał powiedzenia "w państwie ślepców jednooki królem", sam znajdował się w takiej właśnie sytuacji. W wielkim świecie cieplarni różne formy życia przeżywały swoje dni w okrucieństwie lub trwodze, w pościgu lub pierzchaniu, nim zabrała je zieleń na kompost dla następnej generacji. Przeszłość ani przyszłość nie istniały dla nich, przypominały płaskie, pozbawione głębi, wyhaftowane na gobelinie figury. Smardz pod słuchający rozum ludzki był inny, miał perspektywę. Był pierwszym od miliarda lat stworzeniem, które potrafiło obejrzeć się za siebie w długich alejach czasu. Wyłoniły się widoki, które przeraziły go i otumaniały, prawie wyciszając harfianą kadencję jego głosu.

– Jak smardz może nas obronić przed potwornościami Dna? – zapytała po pewnym czasie Poyly. – Jak może nas obronić przed glistoglutem lub wargokapem?

– On dużo wie – powiedział Gren po prostu. – To on nakłonił nas do założenia tych łupin owocu, aby ukryć nas przed wrogami. To przebranie zapewnia nam bezpieczeństwo. Kiedy znajdziemy tamto plemię, będziemy jeszcze bardziej bezpieczni.

– Moja łupina obciera mi uda – poskarżyła się Poyly z niezmiennym od tysiącleci kobiecym talentem do odbiegania od tematu.

Leżąc, czuła, jak dłoń partnera sięga do jej uda i głaszcze je delikatnie. Ale jej spojrzenie wciąż wędrowało po konarach nad głową w obawie przed niebezpieczeństwem. Jakiś jaskrawy niby papuga twór roślinny sfrunął z trzepotem i przysiadł na gałęzi tuż nad nią. W tej samej chwili wyleciał z podniebnej kryjówki miotłopłaz i spadł prosto na ptakorośl. Chlusnęła paraliżująca ciecz. Zgruchotana ptakorośl została następnie wciągnięta do góry i zniknęła im z pola widzenia. Tylko plama zielonego soku moczyła miejsce, w którym na chwilę spoczęła.

– Miotłopłaz, Gren! Lepiej chodźmy stąd, nim na nas spadnie – powiedziała Poyly.

Smardz również oglądał starcie; obserwował je z satysfakcją, jako że ptakorośle były wielkimi amatorami smakowitego smardza.

– Idziemy, ludzie, skoro jesteście gotowi – odezwał się. Każdy pretekst do wymarszu był dla niego dobry; jako pasożyt nie potrzebował wypoczynku.

Ociągali się z porzuceniem chwilowej wygody nawet dla ucieczki przed miotłopląsem, więc smardz ich popędził. Jak dotąd obchodził się z nimi dość delikatnie, gdyż potrzebował ich współpracy i nie chciał sprowokować starcia woli. Jego ostateczny cel był niewyraźny, ale chępliwym i świetlanym. Widział siebie reprodukującego się nieustannie, widział, jak pokrywa całą Ziemię, wypełnia wzgórza i doliny swymi zwojami. Takiego celu nie mógł osiągnąć bez ludzi. Posłużą mu jako środek. Obecnie na swój beznamiętny, wyrachowany sposób planował objąć w posiadanie jak najwięcej istot ludzkich. Naciskał więc. A Gren i Poyly usłuchali. Wdrapali się z powrotem głowami w dół na stanowiący ich gościniec pień i czepiając się jego obłej powierzchni, podjęli wędrówkę. Z tej samej drogi korzystały różne stworzenia – jedne nieszkodliwe, jak liściary, przemierzające bez końca trasę z głębin dżungli do jej wyżyn i z powrotem, inne groźne w zieleni swych kłów i pazurów. Lecz tylko jeden gatunek pozostawiał wzdłuż pnia takie czytelne znaki – tu nacięcie, ówdzie łysina – które wytrawnemu oku mówiły o obecności istoty ludzkiej gdzieś w zasięgu wzroku. Tym właśnie tropem podążało dwoje ludzi. Wielkie drzewo i mieszkańcy jego cienia w milczeniu zatopili się we własnych sprawach. Gren i Poyly również. Kiedy trop skręcił i powiódł bocznym konarem, oni też bez słowa skręcili. I tak posuwali się w pionie i poziomie, aż na mgnienie oka Poyly dostrzegła ruch. Mignęła przelotnie postać ludzka. Przemknęła wśród liści i dała nurka pod osłonę kępy głupikłaka na konarze przed nimi po czym wszystko znieruchomiało. Nie zobaczyli nic więcej nad błysk ramienia i mignięcie zaniepokojonej twarzy pod rozwianym włosiem, podziałało to jednak elektryzująco na Poyly.

– Ucieknij, jeżeli jej teraz nie złapiemy – odezwała się do Grena. – Pozwól, że ja pójdę i spróbuję ją dostać! Uważaj, czy w pobliżu nie ma jej towarzyszy.

– Może ja pójdę...

– Nie, ja ją złapię. Ty zrób trochę hałasu dla odwrócenia jej uwagi, kiedy zobaczysz, że jestem gotowa do skoku. Wyłuskała się ze swej łupiny i popęzła na brzuchu, ześlizgując się z wypukłości gałęzi, aż zawisła głową w dół. Zaczęła się przedzierać do przodu, a wtedy smardz,

niespokojny o własną skórę w tym karkołomnym położeniu, wkroczył do jej umysłu. Percepcja Poyly wyostrzyła się nadzwyczajnie, widzenie stało się wyraźniejsze, skóra wrażliwsza.

– Zachodź od tyłu. Pojmaj to, nie zabijając, a zaprowadzi nas do reszty plemienia – zadźwięczał głos w jej głowie. – Cicho, bo usłyszysz – wyszeptła Poyly.

– Tylko ty i Gren możecie mnie usłyszeć, Poyly; jesteście moim królestwem.

Poyly wpełzła za kępę głupikłaka, nim ponownie wciągnęła się na wierzch gałęzi, nie zaszeleściwszy nawet listkiem. Powoli podczołgała się do przodu. Ponad delikatnymi lizakami pączków głupikłaka wypatrzyła głowę swej ofiary. Piękna, młoda samica rozglądała się czujnie wokoło; spod korony włosów i przesłaniającej dłoni spozierały ciemne, sarnie oczy.

– Nie poznała w was ludzi pod łupinami owoców, dlatego się kryje przed wami – powiedział smardz.

Głupstwa plecie, pomyślała Poyly Czy ta kobieta nas rozpoznała, czy nie, i tak by się skryła przed obcymi.

Smardz wchłonął jej myśl i pojął, dlaczego jego rozumowanie było fałszywe: mimo zdobytej już wiedzy wciąż daleko mu było do całkowitego poznania istoty ludzkiej. Taktownie wycofał się z umysłu Poyly, zostawiając jej swobodę w pochwyceniu obcej na jej własny sposób. Poyly, zgięta prawie wpół, zrobiła krok naprzód, potem drugi. Z pochyloną głową czekała na umówiony sygnał Gren. Po drugiej stronie głupikłaka Gren potrząsnął gałązką. Obca kobieta strzeliła okiem w kierunku dźwięku, oblizując językiem otwarte usta. Zanim zdołała wyciągnąć zza pasa nóż, Poyly skoczyła jej na plecy. Zmagały się wśród miękkich łydyg, nieznajoma mocno ścisnęła Poyly za gardło. W rewanżu Poyly ugryzła ją w ramię. Wpadł Gren i oplatając rękami szyję nieznajomej, odciągnął ją. Złote włosy rozsypały się po jej twarzy Dziewczyna stawiała zaciekle opór, ale już ją mieli. Wkrótce leżała spętana na konarze, łypiąc na nich z dołu oczami.

– Spisaliście się na medal! Teraz ona zaprowadzi nas... zaczął smardz.

– Cicho! – wychrypiął Gren, ale takim tonem, że grzyb usłuchał natychmiast.

Coś się przesunęło szybko w górnych warstwach drzewa. Gren znał las. Wiedział, jak odgłosy walki ściągną drapieżców. Zaledwie wypowiedział słowo, gdy po najbliższym pniu zjechała spirala żrzynek i strzelił w nich jak sprężyna. Gren był przygotowany. Sztylety są bezużyteczne przeciw żrzyngom. Uderzeniem kija wybił go w powietrze jak wirującego baka. Żrzynek zakotwiczył się sprężystym ogonem, ustawiając się do ponownego ataku, ale spływający łukiem z listowia lotniak pochwycił go i poześlował z nim dalej. Poyly i Gren przypadli płasko przy swoim jeńcu i czekali. Przerażliwa cisza lasu ponownie napływała ze wszystkich stron jak fale i znów las był bezpieczny.

Ich branka prawie się nie odzywała. Na pytania Poyly potrząsała głową i wydymała wargi. Wydostali z dziewczyny tylko tyle, że zwano ją Yattmur. Wyraźnie trwożyły ją złowieszcze krezy wokół ich szyj i połyskujące na głowach narośle.

– Grzybie, ona nie może mówić ze strachu – odezwał się Gren, poruszony urodą siedzącej u ich stóp spętanej dziewczyny – Nie przepada za twoim widokiem. Zostawmy ją może i ruszajmy dalej. Znajdziemy innych ludzi.

– Uderz ją, a może wtedy przemówi – zabrzączał niemy głos smardza.

– Ale to wystraszy ją jeszcze bardziej.

– To może rozwiąże jej język. Uderz ją w twarz, w tenże policzek, którym zdajesz się tak zachwycać...

– Mimo że nic mi nie grozi z jej strony?

– Ty niemądre stworzenie, dlaczego nie potrafisz zrobić użytku z całego swojego mózgu naraz? Ona nam bardzo zagraża, bo nas opóźnia.

– Chyba masz rację. Nie przyszło mi to do głowy. Głęboko myślisz, grzybie, muszę przyznać.

– Więc rób, co mówię, i przyłóż jej.

Gren z ociąganiem podniósł rękę. Smardz targnął jego mięśniami. Dłoń gwałtownie spadła na policzek Yattmur, aż głowa jej odskoczyła. Poyly zmieniła się na twarzy i spojrzała pytająco na swego partnera.

– Obrzydliwe stwory! Moje plemię was zabije – zagroziła Yattmur, obnażając na nich zęby

Z błyskiem w oku Gren ponownie wzniosł dłoń.

– Chcesz jeszcze raz oberwać? Gadaj, gdzie mieszkasz.

Dziewczyna szarpała się bezskutecznie.

– Jestem tylko jedną z pasterek. Źle robisz, wyrządzając mi krzywdę, jeśli jesteś z tej samej rasy. Co ja ci złego wyrzuciłam? Zbierałam tylko owoce.

– Potrzebujemy odpowiedzi na pytania. – Znowu podniósł rękę i tym razem branka się poddała.

– Jestem pasterką. Pasę zaskacze. Walka ani odpowiadanie na pytania nie należą do mnie. Mogę was zaprowadzić do mojego plemienia, jeśli chcecie.

– Powiedz nam, gdzie przebywa twoje plemię.

– Zamieszkujemy Skraj Czarnej Gardzieli, zaledwie kawałek drogi stąd. Jesteśmy spokojnymi ludźmi. Nie spadamy ni z tego, ni z owego innym na plecy.

– Skraj Czarnej Gardzieli? Zaprowadzisz nas do nich?

– Co złego zamierzacie nam zrobić?

– Nikomu nie chcemy zrobić nic złego. Poza tym widzisz przecież, że jest nas tylko dwoje. Czego miałabyś się obawiać?

Yattmur zrobiła posępną minę, jakby nie dowierzała jego słowom.

– W takim razie musicie mnie postawić na nogi i uwolnić mi ręce. Moi ludzie nie mogą mnie zobaczyć ze spętanymi rękami. Nie ucieknę wam.

– Przeszyję cię na wylot, gdybyś próbowała – powiedział Gren.

– Uczysz się – zabrzmiał pełen aprobaty głos smardza. Poyly uwolniła Yattmur z więzów. Dziewczyna przygładziła włosy, roztarła nadgarstki i rozpoczęła wspinaczkę; dwójka zwycięzców deptała jej po piętach wśród milczących liści. Nie odzywali się już więcej, lecz w sercu Poyly narastało zwątpienie, tym bardziej że na jej oczach załamywała się bezkresna ciągłość figowca. Schodzili za Yattmur z drzewa. Wielkie, zwieńczone parzyperzem i jagodobijem rumowisko skalnych odłamków strzelało w górę przy ich ścieżce, za nim następne. Lecz mimo że szli w dół, w górze jaśniało coraz bardziej – znak, że figowiec odbiegał tu daleko od swej

zwykłej wysokości. Gałęzie stawały się coraz cieńsze i poskręcane. Podróżników przeszły promienie słoneczne.

Wierzchołki prawie dotykały Dna. Co to może znaczyć? Poyly wyszeptła w myśli to pytanie, a smardz odpowiedział:

– Las musi gdzieś ustąpić. Dochodzimy do rumowiska, na którym nie może rosnąć. Nie bój się.

– Chyba zbliżamy się do Skraju Czarnej Gardzieli. Boję się tej nazwy, grzybie. Wracajmy, nim wpadniemy w śmiertelne tarapaty.

– Nie mamy dokąd wracać, Poyly. Jesteśmy tułaczami. Możemy jedynie iść dalej. Nie obawiaj się. Pomogę ci i nigdy cię nie opuszczę.

Gałęzie były za słabe i zbyt cienkie, by ich utrzymać. Yattmur zeskoczyła, spadając łukiem na twardy występ skalny. Poyly i Gren wylądowali przy niej. Przypadli do ziemi i spojrzeli na siebie niepewnie. Wtem Yattmur uniosła dłoń.

– Słuchajcie! Zaskącze nadchodzą! – zawołała, gdy po lesie zadudniło jak od ulewy. – To właśnie te zwierzęta łowi moje plemię.

U podnóża ich skalnej wyspy rozciągała się równina. Nie żadne obrzydliwe grzęzawisko zgnilizny i śmierci, przed którym tak często przestrzegano Grena i Poyly w ich plemiennych czasach. Była czerwonawoczarna, dziwnie spękana i poszarpana jak zamrożone morze. Porastało ją niewiele roślin. Wydawało się, że ma własne skamieniałe życie, tak była usiana powykrzywianymi otworami, które przypominały udreżone pępki, oczodoły, usta.

– Te skały mają złe oblicza – wyszeptła Poyly, spoglądając w dół.

– Cicho! Idą tędy – powiedziała Yattmur.

Kiedy tak wypatrywali i nasłuchiwali, z głębin lasu wyskoczyła dziwnym cwałem wataha cudaczných stworzeń i rozsypała się po dziobatym terenie. Te puszyste istoty były roślinami, które w ciągu bezkresnych tysiącleci wywiciły się w prymitywnym naśladownictwie zajęcej rodziny. Bieg miały powolny i niezgrabny w porównaniu z gatunkiem, który zastąpiły. Włókniste ścięgna skrzypiały im głośno, w pędzie zaskącze przewalały się z boku na bok. Wyróżniała się głowa zaskącza z szufłowatą szczęką i wielkimi uszami, podczas gdy reszta ciała

nie miała wyraźnych konturów ni barwy Przednie łapy przypominały liche paliki, małe i niezręczne, za to tylna para była znacznie dłuższa i ona przynajmniej zachowała coś z gracji nogi zwierzęcej. Gren i Poyly niewiele z tego rozumieli. Dla nich zaskączy były po prostu dziwnym, nieznanym przedtem rodzajem stworzeń o niewytłumaczalnie źle uformowanych nogach. Dla Yattmur znaczyły coś więcej.

Jeszcze się na dobre nie pojawiły w zasięgu wzroku, gdy odwinęła z pasa sznur z ciężarkami i rozhuściła go w dłoniach. Kiedy pod skałą rozległ się tętent i klekot nadciągających zastępów, cisnęła nim zręcznie. Sznur rozwinął się w rodzaj prymitywnej sieci z ciężarkami zawieszonymi w miejscach wiązania. Zwaliła z nóg trzy dziwaczne stworzenia. Błyskawicznie zsunęła się na dół, dopadła zaskączy, nim się pozbierały, i przywiązała je do sznura. Reszta stada, rozproszona, pognąła i znikła. Trzy pojmane sztuki stały kornie z roślinną biernością. Jakby ten popis odwagi zdjął jej ciężar z serca, Yattmur spojrzała na Greną i Poyly, która jednak, ignorując ją i wskazując na polanę przed sobą, wtuliła się w swego towarzysza.

– Gren! Patrz! Po... potwór, Gren! – wydusiła z siebie. Czy nie mówiłam, że to diabelska okolica?

Pod szerokim filarem skalnym tuż przy szlaku umykających zaskączy pęczniała srebrzysta powłoka. Wydęła się w wielki balon, znacznie wyższy od jakiegokolwiek istoty ludzkiej.

– Żarłoziel! Nie patrzcie tam! – zawołała Yattmur. – To sprowadza nieszczęście.

Ale zafascynowani przemianą owej powłoki nie mogli oderwać od niej wzroku; zamieniła się w wilgotną kulę, na której wyrosło pojedyncze oko, ogromne, galaretowate oko z zieloną źrenicą. Oko obracało się – nie było wątpliwości, że obserwuje ludzi. W powłoce przy samej ziemi ukazała się rozległa szczelina. Kilka ostatnich uciekających zaskączy dostrzegło ją; znieruchomiały, po czym zatoczyły półkole w nowym kierunku. Sześć zaskączy wskoczyło w otwór, który natychmiast zamknął się za nimi jak gęba, i balon zaczął osiadać.

– Na żywe duchy! – Grenowi zaparło dech w piersiach. Co to?

– To żarłoziel – powiedziała Yattmur. – Nigdy nie widziałyś? Pełno ich przyczepia się do skalnych ścian w tej okolicy. Chodźcie, muszę zabrać

zaskącze do plemienia.

Smardz był innej myśli. Zabrzęczał w głowach Grena i Poyly. Oboje niechętnie podeszli pod skalny filar. Żarłoziel oklapł całkowicie. Zapadł się i przywarł do skały jak niezliczone fałdy wilgotnej tkaniny. Ruchome wyrzucenie przy ziemi kojarzyli z workiem pełnym zaskączy. Kiedy oglądali go z przerażeniem, przypatrywał im się swoim jedynym, prążkowanym, zielonym okiem. Po czym oko zamknęło się i mieli wrażenie, że widzą tylko skałę. Kamuflaż był idealny.

– Nic nam nie może zrobić – zadźwięczał smardz. – To tylko sam żołądek.

Odeszli. Znowu podążali za Yattmur, z trudem stąpając po nierównym terenie, z trzema pojmanymi stworzeniami człapiącymi u ich boku, jakby od lat nie robiły nic innego. Grunt się podnosił. Smardz przekazał im myśl, że pewnie dlatego figowiec nad nimi rzędzie, i czekał, co powiedzą.

– Może te zaskącze mają długie tylne nogi, żeby łatwiej im było wspinać się pod górę – odezwała się Poyly.

– Pewnie tak – powiedział smardz.

Przecież to absurd, pomyślał Gren. A jeżeli zechcą zbiec z powrotem? Smardz nie może wiedzieć wszystkiego, inaczej by się nie zgodził z głupim pomysłem Poyly.

– Masz rację, że nie wiem wszystkiego – zaskoczył go smardz. – Ale ja się szybko uczę, czego ty nie potrafisz, bowiem w przeciwieństwie do przodków twej rasy, ty kierujesz się głównie instynktem.

– Co to jest instynkt?

– Zielone myślenie – powiedział smardz, szerzej tego nie rozwijając.

Wreszcie Yattmur się zatrzymała. Ustąpiła jej początkowa chmurność, jakby wspólna podróż ich zbliżyła. Była prawie wesoła.

– Znajdujecie się pośrodku terytorium mego plemienia, tak jak sobie życzyliście – powiedziała.

– Więc ich zawołaj. Powiedz im, że przychodzimy z dobrymi chęciami i że do nich przemówię – odparł Gren, dodając niespokojnie na użytek smardza:

– Ale nie wiem, co im powiedzieć.

– Powiem ci – zabręczał smardz.

Yattmur podniosła do ust zaciśniętą pięść i wydobyła z niej piskliwy ton. Poyly i jej partner rozejrzeli się nerwowo wokół siebie. Mieli wrażenie, że otaczający ich wojownicy wyrastają w szeleście liści spod ziemi. Rzuciwszy okiem do góry, Poyly dostrzegła na gałęziach obce, wpatrzone w nią twarze. Trzy zaskące wierciły się niespokojnie. Gren i Poyly stali w zupełnym bezruchu, pozwalając, aby ich oglądano. Plemię Yattmur podeszło z wolna bliżej. Jak zwykle większość stanowiły kobiety, zdobiące kwiatami swoje narządy płciowe. Wszystkie były uzbrojone, wiele dorównywało urodą Yattmur. Kilka miało wokół talii identyczne sieci z ciężarkami jak ona.

– Pasterze – zabrała głos Yattmur – przyprowadziłam wam dwoje obcych, Poyly i Grena, którzy pragną z nami pozostać.

Smardz podyktował Poyly, co ma powiedzieć.

– Jesteśmy wędrowcami, nic złego wam nie zrobimy. Przyjmijcie nas, jeśli pragniecie Odejść Wyżej w pokoju. Teraz potrzebujemy wypoczynku i schronienia, później zaś możemy wam pokazać, co umiemy

Z grupy wysunęła się przed innych krępa kobieta z przepaską na włosach, w które wpięła błyszczącą muszlę. Wyciągnęła rękę dłonią do góry.

– Witajcie, przybysze. Nazywam się Hutweer. Przewodzę tym pasterzom. Jeśli przystaniecie do nas, będziecie mnie słuchać. Zgadza się na to?

Jeżeli się nie zgodzimy, mogą nas zabić, pomyślał Gren. Zaraz na początku musimy pokazać, że to my rządymy, rzekł smardz.

Ich noże w nas mierzą, stwierdził Gren.

Albo przewedzimy od pierwszej chwili, albo w ogóle, odpalił smardz.

Kiedy tak stali w rozterce, Hutweer niecierpliwie klasnęła w dłonie.

– Odpowiadajcie, obcy! Czy będziecie słuchać Hutweer?

Musimy się zgodzić, grzybie.

Nie, Gren, nie możemy sobie na to pozwolić. Ale oni nas zabiją!

Więc musisz ją zabić pierwsza, Poyly. Nie!

Mówię, że tak. Nie... Nie... Nie...

Ich myśli rozpałały się coraz bardziej w miarę narastania trójstronnego sporu.

– Pasterze, baczność! – krzyknęła Hutweer. Podeszła krok bliżej, opuszczając dłoń do sztyletu za pasem, twarz jej się zasrożyła. Ci obcy najwyraźniej nie byli przyjaciółmi.

Działo się z nimi coś dziwnego. Poczeli się zwijać w jakimś niezmiernym tańcu. Ręce Poyly wygięły się, sięgając dłońmi do mrocznie połyskującej krezy wokół szyi, po czym wywinęły się, jakby odciągane siłą. Oboje skręcali się, przytupując nogami. Ich twarze rozciągał i kurczył nieznaną ból. Z ust wydobywała się piana, w szczytowym momencie oddali mocz na twardą skałę. Poruszali się ślamazarnie, zataczali, obracali, wyginali, zagryzali wargi, a ich oczy spoglądały szaleńczo, niczego nie widząc. Pasterze odsunęli się z przerażeniem.

– Spadli na mnie z nieba! To na pewno duchy! – zawołała Yattmur i zakryła twarz dłońmi.

Hutweer wypuściła wyciągnięty sztylet, oblicze jej pobladło. Był to znak dla jej kompanii. W trwożliwym pośpiechu puścili broń i skryli w dłoniach twarze.

Gdy tylko smardz zorientował się, że mimowolnie osiągnął to, czego chciał, zaprzestał prób narzucenia Poyly i Grenowi swej woli. Po zwolnieniu swego nacisku grzyb musiał sparaliżować ich ponownie, inaczej by się wyrócili.

– Poyly, odnieśliśmy zwycięstwo, o które nam chodziło powiedział swym harfianym głosem. – Hutweer klęczy przed nami. Musisz teraz do nich przemówić.

– Nienawidzę cię, grzybie – odparła ponuro. – Niech Gren odwała za ciebie robotę. Ja odmawiam.

Pod silną presją smardza Gren podszedł do Hutweer i ujął jej rękę.

– Teraz, gdy już nas uznaliście – rzekł – nie musicie się więcej obawiać. Tylko nigdy nie zapominajcie, że jesteśmy nawiedzonymi przez duchy duchami. Będziemy działać wspólnie. Razem zbudujemy potężne plemię,

w którym będziemy żyć w pokoju. Istoty ludzkie nie będą dłużej leśnymi uciekinierami. Wyprowadzimy was z lasu ku wielkości.

– Wyjście z lasu znajduje się o krok przed wami – wtrąciła Yattmur. Przekazała schwyte zaskące któreś z kobiet i teraz wysunęła się do przodu, by posłuchać, co mówi Gren.

– Wyprowadzimy was dalej poza nie – odpowiedział jej. – Czy uwolnicie nas od ducha Czarnej Gardzieli? – odważnie zapytała Hutweer.

– Powiedzimy was do tego, na co zasługujecie – oświadczył Gren. – Najpierw moja współtowarzyszka, duch Poyly, i ja powinniśmy pożywić się i przespać, następnie porozmawiamy z wami. Teraz zabierzcie nas do waszej kryjówki.

Hutweer skłoniła się nisko i znikła pod ziemią tam, gdzie stała.

Pokierszowany pokład lawy pod ich stopami podziurawiony był wieloma otworami. Pod niektórymi z nich opadła ziemia, pod innymi wybrali ją Pasterze, tworząc podziemne kryjówki. Żyli tutaj w warunkach bliskich bezpieczeństwu i bliskich nocy, w jaskini o dogodnie rozmieszczonych nad głową wylotach. Z pomocą Yattmur Poyly i Gren zeszli w mrok łagodniejszym sposobem, niż zrobiła to Hutweer. Usadzono ich tam na leżach i prawie od razu podano posiłek. Skosztowali zaskacza, którego Pasterze przyrządzili w nie znany dwojgu wędrowcom sposób, przyprowadzając go warzywami dla smaku i pieprzem dla ostrości. Zaskacz, jak wyjaśniła Yattmur, stanowił jedno z ich podstawowych dań, ale istniał też specjał, który z pewnym szacunkiem postawiono teraz przed Grenem i Poyly.

– To się nazywa ryba – powiedziała Yattmur, kiedy wyrazili uznanie dla potrawy. – Pochodzi z Długiej Wody, która wypływa z Czarnej Gardzieli.

To zwróciło uwagę smardza i Gren został zmuszony do zadania pytania.

– Jak łapiecie te ryby, skoro żyją w wodzie?

– My ich nie łapiemy. My nie chodzimy nad Długą Wodę, tam żyje dziwne plemię ludzi Rybiarzy Spotykamy się z nimi raz na jakiś czas, a jako że żyjemy w zgodzie, wymieniamy nasze zaskące na ich rybę.

Przyjemne wydawało się życie Pasterzy. Chcąc dokładnie poznać jego plusek, Poyly zadała Hutweer pytanie:

– Wielu macie tu wrogów? Hutweer uśmiechnęła się.

– Prawie żadnych. Połyka ich nasz wróg numer jeden, Czarna Gardziel. Żyjemy blisko Czarnej Gardzieli, bo uważamy, że lepiej mieć jednego dużego wroga niż stado pomniejszych.

Usłyszawszy to, smardz wdał się w pilną naradę z Grenem. Gren nauczył się już rozmawiać z grzybem w myśli bez użycia głosu – sztuka, której Poyly nigdy nie opanowała.

– Musimy się przypatrzeć tej Gardzieli, o której tyle opowiadają – zabrzączał smardz. – Im szybciej, tym lepiej. A skoro straciliście twarz, jedząc z nimi jak zwyczajni ludzie, musisz teraz wygłosić wstrząsające przemówienie. Odszukajmy tę Gardziel i pokażmy im, jak mało się jej boimy, wygłaszając tam mowę.

– Nie, grzybie! Pomysł jest chytry, ale bez sensu! Skoro ci dzielni Pasterze boją się Czarnej Gardzieli, wolę dzielić z nimi to uczucie.

– Jeżeli w ten sposób myślisz, to jesteś zgubieni.

– Ja i Poyly jesteśmy u kresu sił. Ty nie wiesz, co to jest zmęczenie. Chodźmy spać, jak nam to obiecałeś.

– Śpicie cały czas. Najpierw musimy pokazać, jacy jesteśmy silni.

– Jak mamy to zrobić, skoro padamy z nóg ze zmęczenia? – wtrąciła się Poyly.

– Chcacie, żeby was zabili we śnie?

Tak więc smardz dopiął swego i Gren z Poyly zażądali, by zaprowadzono ich do Czarnej Gardzieli. Przeraziło to wyraźnie Pasterzy. Hutweer uciszyła lekliwe szept.

– Będzie, jak mówicie, o duchy. Iccall, wystąp! – krzyknęła i natychmiast wyskoczył z gromady młody mężczyzna z białym, kościanym amuletem we włosach. Wyciągnął do Poyly rękę spodem dłoni do góry na powitanie.

– Młody Iccall jest naszym najlepszym śpiewakiem – powiedziała Hutweer. – Przy nim nie spotka was nic złego. On pokaże wam Czarnej Gardziel i was tu przyprowadzi. Będziemy oczekiwać waszego powrotu.

Wydostali się ponownie na jasny, nieustający dzień. Zatrzymali się,

mrużąc oczy, macając stopami gorący pumeks, a Iccall uśmiechnął się promiennie do Poyly

– Wiem, że jesteś zmęczona, lecz tam, dokąd mam was zaprowadzić, jest niewielki kawałek drogi.

– Och, jakiś ty miły, ale ja nie jestem zmęczona – odparła Poyly, odwzajemniając się uśmiechem, ponieważ Iccall miał wielkie, ciemne oczy, delikatną skórę i na swój sposób był równie śliczny jak Yattmur. – Masz piękną kościaną ozdobę we włosach, wygląda jak żyłki liścia.

– Takie kości są bardzo rzadkie, ale być może uda mi się zdobyć jedną dla ciebie.

– Komu w drogę, temu czas – ostro odezwał się Gren do Iccalla i pomyślał, że nigdy nie widział u mężczyzny równie dużego uśmiechu. – Co może zwyczajny śpiewak, jeśli nim właśnie jesteś, przeciwko owemu potężnemu nieprzyjacielowi, Czarnej Gardzieli?

– Bo kiedy Gardziel śpiewa, ja też śpiewam, i to lepiej powiedział zupełnie nie wytracony z równowagi Iccall i ruszył przodem pośród liści i splekanych odłamów skalnych, nadrabiając miną podczas marszu.

Jak zapowiedział, droga nie była daleka. Grunt podnosił się łagodnie, ale stale, coraz więcej też widzieli na powierzchni czerwono czarnej skały wulkanicznej, niczym nie porośniętej. Nawet figowiec, przemierzywszy wielkimi krokami tysiące kilometrów łądu, tutaj okazał się bezsilny. Jego ostatnie okryte bliznami po minionym wylewie lawy pnie jeszcze wypuściły w powietrzu korzenie, które jak chciwe paluchy penetrowały skałę w poszukiwaniu pożywienia. Iccall przecisnął się pomiędzy tymi korzeniami, przykucnął za głazem, przyzywając ich gestem do siebie. Wyciągnął rękę.

– Oto jest Czarna Gardziel – wyszeptał.

Poyly i Gren doznali wstrząsu. Sama idea otwartej przestrzeni nie mieściła się w psychice leśnego ludu. A teraz patrzyli w dal oczami osłupiałymi ze zdumienia, że coś tak niesamowitego może w ogóle istnieć. Przed nimi rozpostarło się sfałdowane i splekane pole lawy Wychylało się i wyrzuszało do nieba, przechodząc na koniec w ogromny poszarpany stożek. Pospęny i wyniosły panował on nad całą okolicą, mimo że był odległy

– To jest Czarna Gardziel – ponownie wyszeptał Iccall, obserwując przerażenie na twarzy Poyly. Wskazał palcem na spiralę dymu, która wzbijała się znad krawędzi stożka i z wolna toczyła ku niebu. – Gardziel oddycha – powiedział.

Gren oderwał oczy od stożka i obejrzał się na roślinność za swoimi plecami, szukając ponownego potwierdzenia, że odwieczny las istnieje. Na nowo stożek przykuł jego spojrzenie i Gren poczuł, jak smardz błądzi w głębi jego umysłu, co przyprawiało go o zawrót głowy; potarł dłonią czoło. Pociemniało mu w oczach – tak grzyb przejawiał odrazę do jego gestu. Smardz wwiercał się coraz głębiej w osady nieświadomej pamięci Grenu, jak pijany człowiek grzebiący w wyblakłych fotografiach swej przeszłości. Gren zatracił orientację, jemu również migały te przelotne obrazki, niektóre wyjątkowo chwytające za serce, a wszystkie o niepojętej treści. Osunął się na lawę w omdleniu. Poyly z Iccallem podnieśli go, lecz atak już minął – smardz znów dopiął swego. Triumfalnie wyświetlił Grenowi obraz. Kiedy Gren oprzytomniał, wytłumaczył mu jego znaczenie.

– Pasterze lękają się cieni, Gren. My nie mamy się czego obawiać. Ich potężna Gardziel to tylko wulkan, i do tego nie największy. Nie skrzywdzi nawet dziecka. Jest, zdaje się, prawie wygasły.

I przedstawił Grenowi oraz Poyly, czym jest wulkan, wykorzystując wiadomości wydobyte z ich pamięci. Uspokojeni powrócili do podziemnego domostwa plemienia, gdzie oczekiwali ich Hutweer, Yattmur i pozostali Pasterze.

– Widzieliśmy waszą Czarną Gardziel i wcale się jej nie boimy – oznajmił Gren. – Będziemy spać spokojnie i śnić przyjemne sny.

– Kiedy Czarna Gardziel zżywa, każdy musi do niej iść powiedziała Hutweer. – Chociaż może i jesteście potężni, szycicie, bo widzieliście Gardziel tylko milczącą. Kiedy zaśpiewa, zobaczymy, jak zatańczycie, o duchy!

Poyly spytała o miejsce pobytu Rybiarzy, plemienia wspomnianego przez Yattmur.

– Stamtąd, gdzie staliśmy, nie można dojrzeć ich rodzinnych drzew – wyjaśnił Iccall. – Długa Woda wypływa z brzucha Czarnej Gardzieli. Jej również nie widzieliśmy z powodu wzniesienia terenu. Nad Długą wodą stoją drzewa i tam mieszkają Rybiarze, dziwny lud, który oddaje cześć

swym drzewom.

W tym miejscu smardz włączył się w myśli Poyly i skłonił ją do zadania pytania.

– Skoro Rybiarze mieszkają o wiele bliżej Czarnej Gardzieli niż wy, o Hutweer, jakim cudem mogą przetrwać jej zew?

Pasterze szeptali między sobą, skwapliwie poszukując odpowiedzi. Żadna im nie pasowała.

– Rybiarze mają długie, zielone ogony, o duchu – powiedziała wreszcie któraś z kobiet.

To stwierdzenie nie zadowoliło ani jej, ani nikogo z obecnych. Gren zaśmiał się, a smardz zmusił go do tyrady

– Oj, wy, dzieci czczej gadaniny, niewiele wiecie, za dużo się domyślacie. Czyżbyście wierzyli, że ludziom mogą wyrosnąć długie, zielone ogony? Jesteście naiwni i bezradni, ale my się wami zajmiemy. Jak się wyśpimy, pójdziemy nad Długą Wodę i wy wszyscy pójdziecie za nami. Tam utworzymy Wielkie Plemię, łącząc się na początek z Rybiarzami, a następnie z innymi plemionami lasu. Nie będziemy już więcej uciekać bojaźliwie. To nas się będą obawiać wszystkie inne stworzenia.

W siatce mózgowej smardza wyrósł obraz plantacji, jaką ludzie dla niego założą, na której pod ich opieką będzie się rozradzał w spokoju. Na razie mocno odczuwał ten niedostatek – nie miał dostatecznej masy, aby podzielić się ponownie i w ten sposób opanować niektórych Pasterzy. Ale jak tylko do tego dojrzeje, nadejdzie dzień spokojnego wzrostu na starannie doglądanej plantacji, co następnie umożliwi mu przejęcie władzy nad całą ludzkością. Przekazał swój zapal Grenowi.

– Nie będziemy dłużej ofiarami chaszcy. Zabijemy chaszce. Zabijemy dżunglę i jej wszystkie złe stwory. Pozostawimy tylko dobre stworzenia. Założymy ogrody i będziemy w nich rosnać w coraz większą siłę, dopóki świat nie będzie nasz, jak był kiedyś dawno temu.

Zapadła cisza. Pasterze niepewnie spoglądali po sobie, w z entuzjazmem i lękiem zarazem. Poyly pomyślała sobie, że Gren mówi o zbyt wielkich i nieistotnych sprawach. Samego Grena nic już nie obchodziło. Chociaż uważał smardza za potężnego sojusznika, nienawidził przymusu mówienia i działania, robienia czegoś, co często przekraczało po

prostu jego rozumienie. Rzucił się ociężale w kąt i prawie natychmiast zapadł w sen. Poyly położyła się i też od razu zasnęła, równie obojętna na to, co pomyślał inni.

Pasterze początkowo spoglądali na nich zaintrygowani, nie ruszając się z miejsc. Po chwili Hutweer klasnęła w dłonie, dając znak do rozejścia się.

– Niech sobie na razie pośpią – powiedziała.

– To tacy dziwni ludzie! Zostanę przy nich – zaproponowała Yattmur.

– Nie ma potrzeby, będzie dosyć czasu, by się o nich martwić, gdy wstaną – odparła Hutweer, popychając Yattmur przed sobą do wyjścia.

– Zobaczymy, co zrobią nasze duchy, kiedy zaśpiewa duch Czarnej Gardzieli – zamruczał Iccall, wylaząc z jaskini.

Podczas gdy Poyly i Gren spoczywali pogrążeni we śnie, smardz czuwał. Sen nie leżał w jego naturze. W tym momencie grzyb przypominał małego chłopca, który wpadł do jaskini i zastał ją pełną klejnotów; potknął się o bogactwo, jakiego sam właściciel nie podejrzewał, a smardz nie byłby sobą, gdyby oparł się pokusie zbadania tych skarbów. Wiele niezwykłych widziadeł zakłócało sen, jaki dzielili Poyly z Grenem. Całe bloki minionych doznań majaczyły niby miasta we mgle, wybuchały przed ich uśpionym okiem i znikwały. Odrzuciwszy własne osądy, by nie wywołać oporu pokładów nieświadomości, przez które przenikał, smardz przedzierał się w głąb mrocznych korytarzy pamięci, gdzie nagromadzone były intuicyjne reakcje Grena i Poyly.

Długa to była podróż. Wiele w niej znaków, zatartych przez niezliczone pokolenia, zwodziło na manowce. Powoli smardz obsuwał się do archiwów dni poprzedzających wzrost aktywności słonecznej – dni, kiedy człowiek był o wiele inteligentniejszą i agresywniejszą istotą od swego obecnego nadrzewanego odpowiednika. W zachwycie i zadziwieniu zbadał wielkie cywilizacje, po czym cofnął się jeszcze dalej, daleko w przeszłość, w bezsprzecznie najdłuższą i najmroczniejszą epokę dziejów człowieka, nim jego historia się zaczęła, kiedy nie miał on nawet ognia, by się ogrzać w nocy, ani mózgu, by pokierował jego dłonią na polowaniu. I tam, błądząc po omacku wśród samych już skorup ludzkiej pamięci, dokonał smardz zdumiewającego odkrycia. Na wiele uderzeń serca zapadł w bezwład, nim zdołał w pełni zrozumieć znaczenie tego, na co się natknął.

Obudził Gren a Poyly brzęczeniem w ich mózgach. Przewracali się wyczerpani z boku na bok, ale od tego wewnętrznego głosu nie było ucieczki.

– Gren! Poyly! Dokonałem wielkiego odkrycia! Jesteśmy znacznie bliżej spokrewnieni, niż wam się wydaje! Pulsując od wybuchu emocji, jakiego nigdy przedtem u niego nie widzieli, smardz rzucił przed nich obrazy przechowane w otchłaniach ich własnej nieświadomej pamięci. Najpierw pokazał im złoty wiek człowieka, czasy pięknych miast i autostrad, epokę śmiałych podróży na pobliskie planety. Był to okres wspaniałych organizacji i aspiracji, koalicji, komun i komitetów, ludzie jednak nie byli w widoczny sposób szczęśliwsi od swych antenatów. Żyli pod presją rozmaitych antagonizmów, jak ich przodkowie. Znacznie łatwiej ginęli milionami w wojnach ekonomicznych lub totalnych.

Następnie – pokazał smardz – po wkroczeniu przez Słońce w fazę samozniszczenia, temperatura Ziemi zaczęła się podnosić. Zadufani w swojej technice ludzie szykowali się na ten krytyczny moment.

– Nie chcę nic więcej widzieć – zakwiliła Poyly, gdyż były to sceny bardzo jaskrawe i bolesne.

Smardz ciągnął przymusowy wykład w jej głowie, jakby tego nie słyszał. W trakcie swoich przygotowań ludzie zaczęli zapadać na zdrowiu. Słońce zalewało ich nowym pasmem promieniowania i stopniowo cały rodzaj ludzki zaczął cierpieć na dziwną chorobę. Zaatakowała ona ich naskórek, oczy – i mózgi. Po długotrwałym okresie cierpień nabrali odporności na promieniowanie. Wyczołgali się z łóżek. Ale nastąpiła jakaś przemiana. Już nie mieli siły do panowania, pojmowania, do walki. Byli innymi istotami! Rozpełzli się daleko od swoich wielkich i wspaniałych miast, opuścili własne domy, jakby wszystko, co było im kiedyś bliskie, zrobiło się nagle obce. Rozleciały się również ich struktury społeczne i w ciągu jednej nocy zamariła cała organizacja. Od tej pory chwasty wyszły, pleniąc się, na ulice, a pyłek kwiatowy unosił się nad kasami sklepowymi: rozpoczęło się natarcie dżungli. Upadek człowieka nie dokonał się stopniowo, lecz w jednym przeraźliwym wstrząsie przypominającym runięcie wysokiej wieży.

– Dosyć – Gren przeciwstawił się woli smardza. – To, co było, nas nie dotyczy. Czemu miałoby nas obchodzić coś, co wydarzyło się tak dawno temu? Przestań nas męczyć! Daj nam spać.

Ogarnęło go dziwaczne uczucie – kołatania całego jego wnętrza w nieruchomej na zewnątrz powłoce ciała. Smardz w sensie przenośnym potrzasał nim za ramiona.

– Jesteście jak z drewna – dźwięczał owładnięty gorączką. – Musicie mnie wysłuchać. Patrzcie! Cofamy się teraz do zamierzchłych dni, kiedy człowiek nie miał historii ani dziedzictwa, kiedy nawet nie był człowiekiem. Był wtedy mizerotą podobną do tego, czym wy teraz jesteście...

Poyły z Grenem nie mieli innego wyjścia, jak tylko obejrzeć kolejne wizje. Pomimo że kadry były zamglone i mętne, dojrzeli podobnych małpiatkom ludzi zsuwających się z drzew i biegających na bosaka wśród paproci. Mali byli ci ludzie, płochliwi, nie znający mowy. Przykucali, podskakiwali, kryli się w chaszczach. Szczegóły były niewyraźne, jako że nigdy nie zostały wyraźnie zarejestrowane. Zapachy i dźwięki były ostre, ale jednocześnie uciążliwe jak zagadka. Poyły i Gren widzieli jedynie przebłyski w półmroku, wśród których tamte małe istoty pradawnego świata przemykały, cieszyły się, umierały. Z niezrozumiałych przyczyn owładnęła nimi tęsknota i Poyły zapłakała.

Pojawił się wyraźniejszy obraz. Grupa małych ludzików taplała się w bagnie pod gigantycznymi paprociami. Z paproci spadały jakieś przedmioty i lądowały im na głowach. W spadających kawałkach rozpoznali smardze.

– W owym wczesnooligocieńskim świecie mój gatunek był pierwszym gatunkiem obdarzonym inteligencją – zabrzęczał grzyb. – Oto dowód! W idealnych warunkach cienia i wilgoci my pierwsi odkryliśmy potęgę myślenia. Lecz myśl potrzebuje członków, którymi może kierować. Zostaliśmy więc pasożytami tych małych stworzeń, waszych przodków z zamierzchłych czasów.

I grzyb znowu pociągnął Poyły i Grena naprzód w czasie, ukazując im prawdziwą historię rozwoju człowieka, która była również jego własną historią, jako że smardze z pasożytów stały się symbiontami. Z początku przyłgnęły do zewnętrznych powierzchni czaszek małpoludów, a następnie, gdy małpoludy zaczęły się rozwijać w owym związku, kiedy nauczyły się organizacji i polowania, z wolna zwiększały im pojemność czaszki. Wreszcie narażone na ciągle niebezpieczeństwa grzyby przeniosły się do środka, stały się faktycznie częścią człowieka, doskonaląc swoje własne

talenty pod wypukłą pokrywą kości.

– Tak oto powstał prawdziwy rodzaj ludzki – dźwięczał smardz, zarzucając ich krociem obrazów – Ludzie rośli i podbili świat, zapominając o źródle swego sukcesu, smardzowym mózgu, który żył i umierał razem z nimi... Bez nas pozostaliby wśród drzew, tak jak bez naszej pomocy żyją teraz wasze plemiona.

Aby nie było wątpliwości, ponownie wskrzesił ich utajone wspomnienia czasu, kiedy Słońce wkroczyło w swoje ostatnie stadium i cały rodzaj ludzki zaniemógł.

– Ludzie byli silniejsi fizycznie od smardzów i choć przeżyli wzrost słonecznego promieniowania, to jednak nie przeżyły tego ich symbiotyczne mózgi. One pomarły cicho, ugotowane żywcem w małych kościanych schronach, jakie sobie pobudowały. Zostały człowiekiem... na pastwę własnego losu z jego naturalnym mózgiem niewiele lepszym od mózgu wyższych gatunków zwierząt... Nic dziwnego, że człowiek utracił swoje wspaniałe miasta i znowu się wyniósł na drzewa!

– To nie ma dla nas żadnego znaczenia... zupełnie żadnego – wyskamlął Gren. – Dlaczego dręczysz nas teraz tą prastarą katastrofą, którą skończyło się wszystko miliony lat temu?

W jego głowie rozległ się cichy, milczący dźwięk, jakby śmiech smardza.

– Ponieważ dramat może się jeszcze nie zakończył! Ja jestem z silniejszej rasy niż tamci, moi pradawni przodkowie, ja mogę znieść silne promieniowanie. Podobnie może twój gatunek. Nadeszła historyczna chwila, czas, abyśmy rozpoczęli następny etap symbiozy, równie wielkiej i korzystnej jak tamta, która ongiś tak ukształtowała małpiatki, że poleciały do gwiazd! Zegary inteligencji znowu poczęły wybijać godziny. Zegary znowu mają wskazówki...

– Gren, ja nic nie rozumiem, on oszalał! – zawołała Poyly, przerażona zamętem pod przymkniętymi powiekami. – Słuchajcie, jak biją zegary! – rozbrzmiewał smardz. Dla nas biją, dzieci!

– Ach! Słyszę je! – jęknął Gren, wijąc się gorączkowo na legowisku.

Do ich uszu docierał ze wszystkich stron tłumiący wszystko inne dźwięk, pienie dzwoniące jak diabelska muzyka.

– Gren, my zwariujemy! – krzyczała Poyly – To straszna pieśń!

– Dzwony! Dzwony! – huczał smardz.

Gren i Poyly przebudzili się, siadając, skapani w pocie, z rozognionym grzybem wokół głów i karków – a straszliwa muzyka dochodziła wciąż, jeszcze straszniejsza.

Przez tumult gonitwy myśli dotarło do nich, że są teraz jedynymi lokatorami jaskini pod pokładem lawy. Wszyscy Pasterze się wynieśli. Przerażające tony, jakie słyszeli, dochodziły z zewnątrz. Trudno było powiedzieć, dlaczego napełniały ich takim przerażeniem. Przewodni motyw brzmiał niemal jak śpiewka, nie dawał jednak żadnego klucza do rozwikłania zagadki. Było to granie nie dla uszu, ale dla krwi i krew na przemian to stygła, to krążyła żywiej w odpowiedzi na zew.

– Musimy iść! – zawołała Poyly, dźwigając się z wysiłkiem. – To śpiewa nam do wymarszu.

– Co ja narobiłem? – jęknął smardz.

– Co się stało? – zapytał Gren. – Dlaczego musimy iść? Przyłgnęli trwożliwie do siebie, jednak wiedzeni impulsem nie mogli zostać. Członki poruszały się wbrew ich woli. Czymkolwiek było straszliwe pienie, zmuszało do podążania w kierunku swego źródła. Nawet smardz nie pomyślał, że można postąpić inaczej. Bez czucia w ciałach wywindowali się na powierzchnię skalną pochylnią służącą za schody i znaleźli w środku koszmaru.

Potworna muzyka dęła wokół nich jak wicher, chociaż żaden liść się nie poruszył. Wściekle szarpała i wydzierała im członki. Ale nie byli jedynymi istotami, które odpowiadały na ten syreni zew. Stworzenia latające, biegające, skaczące, stworzenia, które pełzają, wszystko torowało sobie drogę przez polaną, podążając w jednym kierunku – do Czarnej Gardzieli.

– Czarna Gardziel! – krzyknął smardz. – Czarna Gardziel nam śpiewa i musimy iść!

Melodia opętała nie tylko ich uszy, ale i oczy. Samym siatkówkom odebrała częściowo wrażliwość, tak że cały świat jawił im się w czerni, bieli i szarości. Niebo nad głowami połyskiwało bielą, plamiła je szarość liści, pod ich rozpedzonymi stopami jeżyły się czarno – szare skały. Z wyciągniętymi przed siebie ramionami Gren i Poyly zaczęli biec naprzód

wśród ścigających się stworzeń. Wtedy w owym wirze grozy dostrzegli Pasterzy Stali oni jak gromada cieni pod ostatnimi pniami figowca. Pasterze byli przywiązani pasami lub sznurami do pni. Pośrodku stał śpiewak Iccall, również związany Teraz śpiewał! Śpiewał w wyjątkowo niedogodnej pozycji, skrecony, jakby mu przetrącono kark; zwiesił głowę, wbijając w ziemię błędne spojrzenie. Śpiewał co tchu w płucach i krwi w sercu. Śpiew dobywał się mężnie, rzucając wyzwanie potędze pieśni Czarnej Gardzieli. Miał swoją własną siłę; moc przeciwstawienia się złu, które mogłoby pociągnąć wszystkich Pasterzy do źródeł tamtej drugiej melodii. Pasterze słuchali słów Iccalla w ponurym skupieniu. Nie pozostawali jednak beczynni. Przywiązani do pni zarzucali przed siebie swoje sznurowe sieci, chwytając stworzenia śmigające koło nich w odpowiedzi na nieodparte wezwanie. Poyły z Grenem nie potrafili zrozumieć tego, co Iccall śpiewał. Nie byli do tego przyuczeni. Posłanie jego pieśni stłamsił dech Czarnej Gardzieli. Opierali się szaleńczo jej emanacji – szaleńczo, lecz bezskutecznie. Brnęli dalej wbrew samym sobie. Trzepoczące skrzydła ptakorośli uderzały ich po policzkach. Cały ten biały – czarny świat dźwigał się i czołgał w jednym kierunku! Jedyne Pasterze pozostali nieczuli, zasłuchani w pieśń Iccalla. Kiedy Gren się potknął, galopujące stwory roślinne przeskoczyły ponad nim. Z kolei wyroili się z dżungli zaskące i przepływały koło nich. Wsłuchani z desperacją w pieśń Iccalla Pasterze łowili pojedyncze sztuki z mijających ich tabunów i powalając je, zarzynali pośród chaosu.

Poyły z Grenem mijali właśnie ostatnich Pasterzy Posuwali się szybciej, gdyż straszna melodia przybierała na sile. Przed nimi leżała otwarta przestrzeń. Obramowana baldachimem resztek gałęzi sterczała w tle Czarna Gardziel! Zdławiony okrzyk – czego? zachwyty? przerażenia? – wydarł im się z gardła na widok tej scenarii. Przerażenie miało teraz kształty, nogi i uczucia, ożywiane pieśnią Czarnej Gardzieli. Do niej – widzieli to pustymi żrenicami – toczył się strumień życia, odpowiadając na owo przekłete wezwanie, ile sił spiesząc przez pole lawy i w górę wulkanicznych stoków, by wreszcie triumfalnie rzucić się przez krawędź w otchłań wielkiego otworu!

Nowy mrozący krew w żyłach obraz uderzył ich oczy. Ponad krawędzią Gardzieli pojawiły się trzy ogromne, długie, chitynowe palce, kiwając kusząco w rytm nieodpartej melodii. Oboje wrzasnęli na ich widok, zdwijając jednak szybkość – ich bowiem przyzywały szare palce.

– O, Poyly! O, Gren! Gren!

Krzyk doleciał do nich jak błędny ogień. Nie zatrzymywali się. Grenowi udało się na sekundę zerknąć w tył, na podrygujące czernie i szarości lasu. Ostatnim mijanym przez nich Pasterzem była Yattmur; nie bacząc na pieśń Iccalla, zrzuciła mocując ją do drzewa więzy. Włosy powiewały jej na wszystkie strony, kiedy przebiegała się do nich zanurzona po kolana w fali życia. Jej ramiona wyciągały się do niego jak ramiona kochanki z sennego marzenia. W przedziwnym świetle jej twarz była szara, lecz biegnąc nieulekłe, śpiewała tak jak Iccall pieśń, która miała przewyciężyć tę drugą, szatańską melodię. Gren znów spojrzął na Czarną Gardziel i natychmiast zapomniał o Yattmur. Długie, wabiące palce przywoływały tylko jego. Trzymając dłoń Poyly w swojej, mijał właśnie jeden ze skalnych występów, kiedy Yattmur złapała go za rękę. Na zbawczą chwilę odwróciła ich uwagę. Z prędkością błyskawicy smardz dojrzał szansę wyrwania się z jarzma.

– W bok! – zabręczał. – Na bok, jeśli wam życie miłe! Tuż przy ich ścieżce wyrastał dziwny zagajnik młodych pędów. Idąc ręka w rękę, mozolnie skręcili ku wątpliwemu schronieniu. Przemknął koło nich zaskącz, bez wątpienia gnający na skróty. Zagłębili się w szarzyźnie. Od razu potworne pienia Czarnej Gardzieli straciły wiele ze swej siły. Yattmur ze szlochom padła Grenowi w ramiona, ale do ocalenia było jeszcze daleko. Poyly dotknęła przypadkiem wiotkiego pędu i krzyknęła. Hleista maź skapnęła jej na głowę. Zacisnęła kurczowo palce na pędzie i kołysała nim, nie wiedząc, co robi. Rozglądając się dokoła, uświadomili sobie z rozpaczą, że znaleźli się w swego rodzaju niewielkiej zagrodzie. Zaburzenia wzroku zawiodły ich w pułapkę. Zaskącz, który wpadł tutaj przed nimi, został już nieodwracalnie unieruchomiony w wydzielanej przez pędy masie. Yattmur pierwsza zrozumiała prawdę. – Żarłoziel! – zawołała. – Połknął nas żarłoziel!

– Przerąbać przez to drogę, prędko! – zabręczał smardz. Miecz, Gren, szybko, szybko! Pochłania nas!

Otwór za ich plecami zwarł się. Byli całkowicie zamknięci. Pułap zmarszczył się i zaczął się na nich osuwać. Znikło złudzenie zagajnika. Znajdowali się w żołądku żarłozia. Wyszarpnawszy miecze, stanęli do walki o życie. Otaczające ich pręty, tak zręcznie imitujące pędy młodziutkich drzew, chyliły się i składały jak teleskopy, strop osiadał,

wydzielając ze swych fałd duszącą galaretę. Gren wyskoczył wysoko w górę, potężnie tnąc mieczem. W powłoce żarłozia pojawiła się znaczna szczelina. Obie dziewczyny pomagały w jej powiększaniu. Kiedy wór oklapł, zdołali wytknąć głowy przez owo rozdarcie, unikając w ten sposób niechybnej śmierci. Wróciła za to poprzednia groza. Zawodzenie śmierci wydobywające się z Gardzieli znowu ścięło im krew w żyłach. Ze zdwojoną energią rąbali żarłozia, by uwolniwszy się, odpowiedzieć na przerażające wołanie.

Byli już wolni – prócz stóp tkwiących po kostki w galarecie. Żarłoziel przyrosnięty na stałe do filaru skalnego nie mógł usłyszeć wezwania Czarnej Gardzieli. Całkiem już oklapł, jego samotne oko z ponurą bezsilnością obserwowało ich wysiłki zmierzające do pocięcia go na kawałki.

– Musimy iść! – krzyknęła Poyly, której wreszcie udało się wyswobodzić.

Z jej pomocą również Gren i Yattmur wyrwali się ze szczątków stworzenia. Kiedy odbiegali, widzieli, jak zamyka oko.

Stracili więcej czasu, niż sądzili. Kleisty szlam na stopach opóźniał ich bieg. Potrąceni bez przerwy przez inne stworzenia, torowali sobie drogę przez lawę, goniąc resztkami sił. Yattmur nie miała już siły podjąć pieśni. Ich wołę osłabiła moc pieśni Czarnej Gardzieli. Poczuli drapać się na zbocze stożka wśród, galopującej fantasmagorii życia. Trzy długie paluchy kiwały z góry w geście złowieszczonego zaproszenia. Pojawił się czwarty, a za nim piąty palec, jakby to, co siedziało w wulkanie, stopniowo osiągało swoistą kulminację. Ich oczy błędziły w szarej wacie, serca im łomotały, gdy tymczasem melodia wzbierała nieznośnie. Zaskące pokazały, co potrafią ich długie zadnie nogi, sadząc susami po najbardziej stromych stokach. Przeganiały ich, śmigając do krawędzi krateru, z której oddawały swój ostatni skok ku nieznannej wabiącej sile. Ludzi przepełniła tęsknota za przeraźliwym śpiewakiem... Zziąjani, wstrzymywani przez lepką maź na stopach, pokonywali kilka ostatnich metrów dzielących ich od Czarnej Gardzieli.

Upiorna pieśń urwała się w połowie nuty. Nastąpiło to tak niespodziewanie, że runęli plackiem. Ogarnęło ich uczucie wyczerpania i ulgi. Leżeli, nie otwierając oczu i szlochając. Było cicho, Gardziel zamilkła całkowicie. Gren wysłuchał wielu uderzeń swego serca, nim otworzył

jedno oko. Barwy świata wracały ponownie na swoje miejsce, biel znowu stapiała się z różem, szarość obracała w błękit i zieleń, i żółć, czerń rozmywała w ciemny koloryt lasu. Na ten sam znak wszechwładne pragnienie obróciło się w nim w odrazę do tego, co właśnie zamierzali zrobić. Zgromadzone wokół stworzenia, które nie zdążyły na bolesną rozkosz pogrążenia się w Czarnej Gardzieli, wyraźnie podzielały jego uczucia. Zawróciwszy, pokuśtykały z powrotem w stronę leśnej kryjówki, zrazu wolno, po czym coraz prędzej, aż ich nie tak dawna galopada odwróciła się w przeciwnym kierunku.

Wkrótce krajobraz opustoszał. Pięć długich, upiornych paluchów znieruchomiało jednocześnie ponad ludźmi na krawędzi Czarnej Gardzieli. Następnie pochowały się, jeden po drugim, zostawiając Grenowi wizję jakiegoś niewyobrażalnego potwora dłubiącego w zębach po odrażającym posiłku.

– Gdyby nie żarłoziel, byłoby już po nas – odezwał się. Nic ci nie jest, Poyly?

– Daj mi spokój – powiedziała, nie odrywając dłoni od twarzy

– Masz dość siły, by iść? Na miłość boską, wracajmy do Pasterzy.

– Stój! – krzyknęła Yattmur. – Oszukaliście Hutweer i całą resztę, że jesteście potężnymi duchami. Po tym, jak popędziliście do Czarnej Gardzieli, wiedzą już, że wielkimi duchami nie jesteście. Ponieważ oszukaliście ich, z pewnością zabiją was po powrocie.

Gren i Poyly popatrzyli na siebie bezradnie. Bez względu na manewry smardza pragnęli znaleźć się w grupie Pasterzy; perspektywa dalszej samotnej wędrówki nie była im miła.

– Nie bójcie się – usłyszeli smardza, który czytał w ich myślach. – Istnieją jeszcze inne plemiona! Co z tymi Rybiarzami, o których nam mówiono? Sprawiają wrażenie plemienia bardziej uległego od Pasterzy. Poproś Yattmur, by nas tam zaprowadziła.

– Daleko stąd do Rybiarzy? – zagadnął Gren dziewczynę Pasterzy

Uśmiechnąwszy się do niego, ścisnęła mu dłoń.

– Z przyjemnością cię do nich zaprowadzę. Stąd widać ich siedziby. – Yattmur wskazała w kierunku podnóża wulkanu. Po drugiej stronie góry

widniała szczelina u podstawy Czarnej Gardzieli. Ze szczeliny wypływał szeroki, rwący potok. – Tam płynie Długa Woda – powiedziała. – Czy widzisz cudaczne brzuchate drzewa? Jest ich trzy, rosną na brzegu. Tam właśnie mieszkają Rybiarze.

Uśmiechała się, patrząc Grenowi prosto w oczy. Jej uroda zawładnęła jego zmysłami jak coś namacalnego.

– Wynośmy się z tego krateru, Poyly – powiedział.

– To straszliwe śpiewające monstrum...

– Wyciągnęła dłoń.

Gren uchwycił ją, postawił Poyly na nogi.

– Ruszajmy więc – powiedział ostro.

Objęła prowadzenie i zaczęli schodzić w kierunku wody, zerkając za siebie bojaźliwie, czy nic nie wylało z wulkanu i nie człapie za nimi.

Dotarli do Długiej Wody u stóp Czarnej Gardzieli. Gdy tylko wymknęli się z cienia wulkanu, legli w słońcu nad brzegiem rzeki. Wody toczyła ciemne, bystre, gładkie. Na przeciwległym brzegu zaczynała się znowu dżungla, roztaczając przed ich wzrokiem kolumnadę pni. Po ich stronie lawa odparła ten wybujały gąszcz na kilka metrów.

Poyly zanurzyła dłoń w wodzie. Płynęła tak wartko, że przy jej dłoni utworzyła się kolista fala. Skropiła czoło i przetarła twarz mokrą ręką.

– Jestem ogromnie zmęczona – powiedziała. – Zmęczona i jest mi niedobrze. Nie chcę iść dalej. Cała ta okolica jest tak obca, niepodobna do przyjemnych środkowych pięter dżungli, gdzie mieszkaliśmy z Lily – yo. Co się tutaj dzieje ze światem? Wścieka się czy rozpada? Czy się tutaj kończy?

– Świat się musi gdzieś kończyć – zauważyła Yattmur. – Koniec świata może się okazać dobrym początkiem naszej dalszej drogi – zabrzączał smardz.

– Poczujemy się lepiej, kiedy wypoczniemy – odparł Gren. – I wtedy będziesz musiała wrócić do swych Pasterzy, Yattmur.

Spoglądając na nią, uchwycił kątem oka ruch za plecami. Odwrócił się i ze sztyletem w ręku zerwał na widok trzech owłosionych mężczyzn, którzy

wyrośli nagle jak spod ziemi. Dziewczyny również się zerwały.

– Nie rób im krzywdy, Gren! – zawołała Yattmur. – To są Rybiarze, zupełnie nieszkodliwi.

I rzeczywiście przybysze nie wyglądali groźnie. Po bliższym przyjrzeniu się Gren nabrał wątpliwości, czy to w ogóle ludzie. Wszyscy trzej byli pulchni, pod obfitym owłosieniem ciało mieli gąbczaste, przypominające zbutwiałą tkankę roślinną. Wprawdzie za ich pasami tkwiły noże, ale w dłoniach nie mieli żadnej broni, a ramiona zwisały im beczynn timer po bokach. Pasy plecione z leśnych pnączy stanowiły ich jedyny strój. Ten sam wyraz umiarkowanego idiotyzmu na twarzach upodabniał ich wszystkich do siebie. Nim przemówili, Gren odnotował jeszcze jeden godny uwagi szczegół: każdy z nich miał długi, zielony ogon, dokładnie taki, o jakim opowiadali Pasterze.

– Czy przynosicie nam coś do zjedzenia? – zapytał pierwszy.

– Czy przynieśliście coś dla naszych brzuszków? – zapytał drugi.

– Czy możemy zjeść coś z tego, co przynieśliście? – zapytał trzeci.

– Oni myślą, że jesteście z mojego plemienia, jedynego, jakie znają – wyjaśniła Yattmur. Ona też udzieliła Rybiarzom odpowiedzi: – Nie mamy nic dla waszych brzuchów, o Rybiarze. Nie przyszliśmy do was w odwiedziny, jesteśmy w podróży.

– Nie mamy dla was ryby – odparł pierwszy Rybiarz, a cała trójka dodała niemal chórem:

– Już niebawem będziemy tu mieli porę połowu.

– Nie mamy nic do wymiany na jedzenie, ale z przyjemnością zjedlibyśmy kawałek ryby – odezwał się Gren.

– Nie mamy ryby dla was. Nie mamy ryby dla nas. Pora połowu będzie już niebawem – odpowiedzieli Rybiarze.

– Wiem. Już to słyszałem – powiedział Gren. – Chodzi mi o to, czy dacie nam rybę, kiedy ją będziecie mieli?

– Ryba to smaczna rzecz. Dla każdego jest ryba, kiedy przychodzi.

– Dobrze – powiedział Gren, dodając na użytek Poyly, Yattmur i smardza: – Ci tutaj wyglądają na niezłych prostaków.

– Prostacy czy nieprostacy, nie wzięli udziału w wyścigu po własną śmierć do Czarnej Gardzieli – ozwał się smardz. – Musimy ich o to wypytać. Jak oparli się tej okrutnej pieśni. Chodźmy tam, gdzie mieszkają, wyglądają dość nieszkodliwie.

– Pójdziemy z wami – zwrócił się Gren do Rybiarzy.

– My będziemy łowić rybę niebawem, kiedy przyjdzie. Wy, ludzie, nie umiecie łowić.

– Więc pójdziemy popatrzeć, jak wy łowicie.

Trzej Rybiarze spojrzeli po sobie i lekki niepokój naruszył zastygłe maski tępoty Nie powiedziawszy ani słowa więcej, odwrócili się i odeszli brzegiem rzeki. Gren i spółka nie mieli wyboru, jak tylko pójść za nimi.

– Dobrze znasz tych ludzi, Yattmur? – zapytała Poyly. – Bardzo słabo. Handlujemy z nimi od czasu do czasu, jak wiesz, ale moi rodacy lękają się Rybiarzy; oni są tacy dziwni, jakby martwi. Nigdy nie opuszczają tego maleńkiego skrawka brzegu rzeki.

– Nie mogą być kompletnymi idiotami: są mądrzy przynajmniej na tyle, żeby dobrze jeść – zauważył Gren, obserwując opasłe boki mężczyzn przed sobą.

– Patrzcie, jak noszą swoje ogony! – zawołała Poyly. Dziwny to lud. Nigdy nie widziałam podobnego.

Łatwo przyszloby nimi rządzić, pomyślał smardz. Maszerując, Rybiarze zwijali swe ogony i trzymali w równiutkich zwojach prawą dłoń; czynność tę wykonywali z wielką swobodą, zupełnie automatycznie. Po raz pierwszy przybysze zauważyli, że ogony te są wyjątkowej długości, że właściwie nie widać im końców. Tam, skąd wyrastały, u nasady kręgosłupów, tworzył się rodzaj miękkiej, zielonej poduszki. Nagle Rybiarze zatrzymali się i zawrócili jak jeden mąż.

– Już nie możecie iść dalej – powiedzieli. – Jesteśmy blisko naszych drzew i nie możecie iść z nami. Zatrzymajcie się tutaj, a niebawem przyniesiemy wam rybę.

– Dlaczego nie wolno nam iść dalej? – zapytał Gren. Jeden z Rybiarzy roześmiał się nieoczekiwanie.

– Ponieważ nie macie ogonów! Zaczekajcie więc tutaj, a niebawem

przyniesiemy wam rybę.

I odszedł ze swoimi kompanami, nie raczywszy się nawet obejrzeć, by sprawdzić, czy posłuchali nakazu.

– Dziwny lud – powtórzyła Poyly – Nie podobają mi się, Gren. W ogóle nie przypominają ludzi. Zostawmy ich, jedzenie możemy sobie bez trudu znaleźć sami.

– Bzdura! Mogą nam się bardzo przydać – zabręczał smardz. – Widzicie, nieopodal mają jakąś łódź.

Kilku ludzi z długimi zielonymi ogonami krzątało się w oddali na brzegu. Mozolili się pod drzewami, wlokąc do swojej łodzi – o ile mogli dojrzeć z tej odległości – rodzaj jakiejś sieci. Łódź, ciężka, podobna do barki krypa, unosiła się na wodzie i zanurzając w silnym prądzie Długiej Wody, uderzała od czasu do czasu o brzeg. Trzech pierwszych Rybiarzy dołączyło do głównych sił, pomagając przy sieci. Ruchy mieli wszyscy ospałe, chociaż widać było, że pracują w pośpiechu. Spojrzenie Poyly przewędrowało od nich ku trzem drzewom, w których cieniu się uwijali. Nigdy nie widziała podobnych drzew, a ich niezwykłość trwożyła ją coraz bardziej. Stojące z dala od jakiegokolwiek wegetacji, drzewa przypominały gigantyczne ananasy. Bezpośrednio z gruntu strzelał na wszystkie strony kołnierz zębatach liści, otulający mięsisty pień, który u każdego z trzech drzew wybrzuszał się w masywną, guzowatą banię. Z guzów tej bani wyrastały długie pędy, a z jej szczytu liście, które jak zębate sztylety sięgały na ponad sześćdziesiąt metrów w górę bądź sztywno zwieszały się nad Długą Wodą.

– Poyly, chodźmy przypatrzeć się bliżej tamtym drzewom – nagląco zabręczał smardz. – Gren i Yattmur zaczekają tutaj i będą mieć na nas oko.

– Nie podobają mi się ci ludzie ani to miejsce, grzybie powiedziała. – I nie zostawię tu Grena z tą kobietą, choćby nie wiem co.

– Nawet nie dotknę twego partnera – obruszyła się Yattmur. – Skąd ci ta głupia myśl przyszła do głowy?

Poyly zachwiała się zniecka pod naporem woli smardza. Spojrzała błagalnie na Grena, lecz Gren był zmęczony, a poza tym unikał jej wzroku. Niechętnie ruszyła przed siebie, docierając wkrótce pod opasłe drzewa. Górowały nad jej głową w ostrokołe cienia. Ich obrzmiałe pnie sterczały

jak wzdęte brzuchy. Smardz zdawał się nie wyczuwać ich grozy.

– Właśnie tak przypuszczałem! – wykrzyknął po długiej inspekcji. – To tutaj kończą się ogony naszych Rybiarzy Są zadkami przyłączeni do swoich drzew. Nasi głupkowaci przyjaciele należą do drzew.

– Ludzie nie wyrastają z drzew, grzybie. Czyżbyś nie wiedział, że... – Urwała, czując dłoń na ramieniu. Odwróciła się. Stał przed nią jeden z Rybiarzy, zaglądając jej z bliska w twarz swymi bezmyślnymi oczami i wydymając policzki.

– Nie wolno ci przychodzić pod te drzewa – powiedział. Ich cień jest uświęcony Powiedzieliśmy, że nie wolno ci przychodzić pod nasze drzewa, a ty nie pamiętasz, że to powiedzieliśmy. Zaprowadzę cię z powrotem do twoich przyjaciół, którzy z tobą nie przyszli.

Wzrok Poyly powędrował wzdłuż jego ogona. Dokładnie tak jak mówił smardz, był połączony z guzem najbliższego, najeżonego ostrzami drzewa. Odsunęła się od Rybiarza z dreszczem przerażenia.

– Usłuchaj go! – zabrzączał smardz. – Tutaj czai się zło, Poyly Musimy je pokonać. Niech wraca z nami do naszych, tam go pojmy i zadamy parę pytań.

To ściąganie nieszczęście, pomyślała, lecz smardz natychmiast odezwał się wypełniając jej umysł:

– Potrzebni nam są ci ludzie, a być może potrzebne nam są również ich łodzie.

Poddała się więc Rybiarzowi, który ujawszy jej rękę, powoli prowadził ją do Greny i Yattmur z napięciem śledzących to wydarzenie. Idąc, Rybiarz związał z namaszczeniem swój długi ogon.

– Teraz! – krzyknął smardz, gdy dotarli na miejsce. Spełniając jego wolę, Poyly skoczyła Rybiarzowi na plecy. Atak nastąpił tak niespodziewanie, że Rybiarz zachwiał się i zarył nosem w ziemię.

– Na pomoc! – zawołała Poyly

Gren zerwał się z nożem w dłoni, nim jeszcze przebrzmiało jej wołanie. W tej samej chwili z ust wszystkich Rybiarzy wyrwał się krzyk. Cisnąwszy jak jeden swoją ogromną sieć, z ciężkim plaskaniem stóp rzucili się biegiem w kierunku Greny i jego towarzyszek.

– Szybko, Gren, odrąb temu stworzeniu ogon – powiedział smardz ustami Poyly, zmagającej się z przeciwnikiem w kurzu na ziemi.

Gren nie pytał o nic, jako że polecenia smardza pobrzmiwały również i w jego głowie. Wyciągnął rękę i jednym cięciem oddzielił zielony ogon w odległości stopy od zadka Rybiarza. Człowiek momentalnie zaprzestał oporu. Odrąbany ogon wił się i chłostał ziemię jak zraniona żmija, oplatając Greną swymi zwojami. Gren uderzył ponownie. Broczący sokiem ogon kurczył się w konwulsjach, wracając do drzewa. Gromada Rybiarzy znieruchomiała jak na dany znak; chwilę dreptali w miejscu bez celu, po czym zabrali się z powrotem do ładowania sieci na łódź.

– Chwalić za to bogi! – zawołała Yattmur, odgarniając z czoła włosy – Co cię podkuśliło, Poyly, żeby skoczyć na tego nieboraka z tyłu, jak wtedy na mnie?

– Ci wszyscy Rybiarze nie są tacy jak my, Yattmur. Oni w ogóle nie mają nic wspólnego z ludźmi, są przywiązani ogonami do tamtych drzew.

Poyly unikała wzroku dziewczyny, spuściwszy oczy na kikut ogona płaczącego u jej stóp nieszczęśnika.

– Ci tłusci Rybiarze są niewolnikami drzew – zabręczał smardz. – To obrzydliwe. Płożące się pędy pni wrastają im w stos pacierzowy, zniewalając ludzi do służenia drzewom. Popatrzcie na to tutaj biedaczysko – rab!

– Czy to jest gorsze od tego, co ty robisz z nami, grzybie? – zapytała Poyly ze łzami w oczach. – Czy różni się od tego czymkolwiek? Dlaczego ty nas nie puścisz? Nie chciałam napadać na tego biedaka.

– Ja wam pomagam, ja ratuję wam życie. Dość już, skończ z tą głupią gadką i zajmij się naszym nieszczęsnym Rybiarzem.

Nieszczęsny Rybiarz sam się sobą zajmował: siedział, oglądając obtarte podczas upadku na skałę kolano. Zerkał na nich z bojaźnią, która jednak nie usunęła wyrazu tępoty z jego fizjonomii. Gdy tak siedział przycupnięty, przypominał wyglądem z grubszą bryłą ciasta.

– Możesz wstać – odezwał się łagodnie Gren i wyciągnął dłoń, by pomóc biedakowi podnieść się na nogi. – Ty drzysz. Nie masz się czego obawiać. Nie wyrządzimy ci krzywdy, jeśli odpowiesz na nasze pytania.

Rybiarz wyrzucił z siebie potok w większości niezrozumiałych słów, gestykułując szeroko dłońmi.

– Mów powoli. Chodzi ci o drzewa? Co chcesz powiedzieć? – Proszę... Tak, brzunio – drzewa. Ja i one to jedno, jedno brzunio, jedno brzunio – dłonie. Brzunio – głowa do myślenia dla mnie do służenia brzunio – drzewom. Wy zabić moją brzunio – nie, nie ma dobrze w moich żyłach, nie ma dobrego soku. Wy, dzicy, zgubieni ludzie bez brzunio – drzewa, bez soku, by wiedzieć, co mówię...

– Przestań! Gadaj do rzeczy, ty wielki brzuchu! Jesteś człowiekiem, prawda? Nazywasz tamte wielkie, odęte rośliny brzunio – drzewami, musisz im usługiwać? Kiedy cię złapały? Jak dawno temu?

Rybiarz położył dłoń na kolanie jak pagórek, pokręcił głupkowato głową i ponownie wybuchnął tyradą.

– Żadne nie brzunio – drzewo wzięło nas przytulić, przespać, bezpiecznie utulić jak matki. Dzieci mieści w miękkich załomkach, tylko nogi widać, nie przestają ssać brzunio nakładają na brzunio nici do chodzenia. Proszę was dać mi wrócić spróbować znaleźć nową brzuno – nie albo i ja jestem biedne dziecko bez niej.

Poyly, Gren i Yattmur gapili się na niego, gdy tak paplał, nie pojmując połowy z tego, co mówił.

– Nie rozumiem – wyszeptała Yattmur. – Nim stracił ogon, mówił bardziej do rzeczy

– Uwolniliśmy cię, oswobodzimy wszystkich twoich przyjaciół – powtórzył Gren za smardzem. – Zabierzemy was wszystkich tym obrzydliwym brzunio – drzewom. Będziecie wolni, wolni rozpoczniecie z nami nowe życie, już nie jako niewolnicy.

– Nie, nie, proszę... brzunio – drzewo hoduje nas jak kwiaty! Nie mamy chęci zostać dzikimi ludźmi jak wy, nie, kochane brzunio – drzewa...

– Skończ z tymi drzewami. – Gren podniósł rękę i Rybiarz zamilkł od razu; zagryzł wargi i drapał się w udęce po tłustych udach.

– Powinieneś być nam wdzięczny jako swoim wybawicielem. No dobrze, powiedz teraz szybko, co to za półow, o którym słyszeliśmy? Kiedy się rozpoczyna? Niebawem?

– Niebawem już, już niebawem, proszę – wybelkotał Rybiarz, usiłując błagalnie złapać Grenę za rękę. – Najwięcej ryba nie pływa w Długiej Wodzie, Czarna Gardziel za mocno odcina ją u wylotu, więc ryba nie pływa. A jeśli nie ma ryby, to znaczy nie ma łowienia, rozumiesz? Potem Czarna Gardziel śpiewa wszystkim stworzeniom, które mają zostać jedzeniem w jego gębie, więc mamunie drzewo – brzunie podnoszą na nas krzyk, tulą nas, nie dają zostać żadnym jedzeniem w jego gębie. Potem Czarna Gardziel krótko odpoczywa bez śpiewu, bez jedzenia, bez krzyku. Potem Gardziel wyrzuca, co nie je, nie potrzebuje, nie musi jeść, wyrzuca do Długiej Wody pod siebie. Potem przybywa wielka ryba, wielki głód, wielkie żarcie wszystkich wyrzuconych kawałków. My szybcy brzunia – ludzie Rybiarze wychodzimy łowić wielką rybę wielki głód w wielką sieć, karmić wielkie zadowolone brzunia – drzewo karmić brzunia – ludzi, wszyscy jeść...

– W porządku, wystarczy – przerwał Gren i Rybiarz uciął załóżnie, przydeptując sobie stopę.

Gdy rozpoczęli gorączkową naradę, osunął się na ziemię i smętnie ujął głowę w dłonie. Gren i Poyly szybko opracowali ze smardzem plan akcji.

– Stać nas na wybawienie ich wszystkich od tego poniżającego trybu życia – powiedział Gren.

– Oni nie chcą wybawienia – odezwała się Yattmur. – Są szczęśliwi.

– Są okropni – rzekła Poyly.

W czasie ich rozmowy Długa Woda zmieniła zabarwienie. Miliardy okruchów i odłamków upstrzyło powierzchnię, spływając w kierunku brzunia – drzew.

– Resztki z uczty Gardzieli! – wykrzyknął Gren. – Chodźmy, nim łódź odbije i Rybiarze zaczną połów. Noże w dłoń! Ponaglony przez smardza skoczył naprzód, obie kobiety za nim, ale tylko Yattmur rzuciła przez ramię spojrzenie na Rybiarza. Związał się na ziemi w napadzie cierpienia, obojętny na wszystko poza swoim własnym nieszczęściem.

Rybiarze załadowali już sieć. Na widok odpadków w nurcie wzniesli radosny okrzyk i wleźli kolejno do łodzi, przeciągając swe ogony przez rufę. Ostatni gramolił się właśnie na pokład, kiedy nadbiegł Gren z kobietami.

– Prędej! – zawołał Gren i cała trójka wylądowała skokiem na topornym i trzeszczącym pokładzie, jedno koło drugiego.

Najbliżej stojący Rybiarze odwrócili się do nich jak na komendę. Niezgrabną łódź zbudowano pod kierunkiem obdarzonych niby – świadomością drzew z przeznaczeniem do jednego określonego zadania: połowu wielkich, drapieźnych ryb w Długiej Wodzie. Bez wiosel i żagla służyć miała jedynie do wleczenia w poprzek rzeki ciężkiej sieci, z jednego brzegu na drugi. Rozciągnięto w tym celu ponad wodą grubą plecioną linę i przywiązano do drzew po obu stronach. Łódź przytwierdzono ruchomo do tej liny szeregiem pętli, zabezpieczając ją w ten sposób przed porwaniem przez prąd. Pływała ona w poprzek rzeki poruszana zwyczajną zwierzęcą siłą połowy Rybiarzy, którzy ciągnęli za linę prowadzącą, gdy tymczasem pozostali zapuszczali sieć. Tak się to odbywało od niepamiętnych czasów. Życiem Rybiarzy rządziła rutyna. Kiedy pośród nich wylądowało troje intruzów, ani oni, ani brzunio – drzewa nie wiedzieli jasno, co robić. Rozdartych między dwoma celami Rybiarzy drzewa podzieliły na dwie grupy: jednych zagnały do dalszego wyciągania barki na środek nurtu, drugich skierowały do obrony ich pozycji.

Równą, jednolitą ławą siły obronne uderzyły na Grena i dziewczyny Yattmur obejrzała się przez ramię. Za późno, by wyskoczyć z powrotem na łódź, za daleko od brzegu. Wyciągnąwszy nóż, stanęła przy Grenie i Poyly Zatopiła nóż w brzuchu najbliższego z Rybiarzy, którzy na nich runęli. Jej przeciwnik upadł, lecz pozostali ją obalili. Nóż poleciał, ślizgając się, po pokładzie, a zanim zdołała dobyć miecza, przygwożdżono jej ręce. Grubasy rzuciły się na Poyly i Grena. Ich tei przywalono, chociaż oboje walczyli z desperacją. Rybiarze i ich tłustobrzusi panowie na brzegu najwyraźniej nie myśleli o użyciu swoich noży, dopóki nie zobaczyli noża u Yattmur. Teraz wszyscy zgodnie je wyciągnęli.

Poprzez panikę i furię w umyśle Grena przebił się gniewny brzęk myśli smardza:

– Wy bezrozumne małpiatki! Nie marnujcie czasu na te ludzkie kukły. Odrąbcie im ogony, to nie zrobią wam nic złego!

Wśród przekleństw Gren wpakował kolano w krocze, a kłykcie w twarz napastnika, podbił opadający łukiem nóż i przekreślił się na kolana. Natchniony przez smardza złapał następnego Rybiarza za szyję i brutalnym szarpnięciem cisnął nim na bok. Teraz miał drogę wolną. Jednym susem

znalazł się na rufie. Leżały tam zielone ogony; razem trzydzieści ogonów łączyło łódź z brzegiem. Gren krzyknął triumfalnie i opuścił ostrze. Kilka ciosów zadanych z zimną wściekłością i było po wszystkim! Łodzią silnie zakołysało Rybiarze powywracali się w drgawkach. Z dyndającymi kikutami ogonów wstawali wśród jęków i pokrzykiwań, zbijając się w bezradną gromadkę. Pozbawiona siły napędowej łódź stanęła pośrodku nurtu.

– Widzicie – rzekł smardz – walka skończona. Podnosząc się, Poyly uchwyciła okiem rozhuśtany ruch w powietrzu i spojrzała na brzeg, od którego odbili. Z jej ust wydarł się zdławiony krzyk przerażenia. Gren z Yattmur odwrócili się, idąc za jej wzrokiem. Stanęli w osłupieniu, ściskając noże w dłoniach.

– Padnij! – krzyknęła Poyly.

Roziskrzzone liście zawirowały nad nimi jak ościenie. Trzy brzunia – drzewa kołysały się gniewnie. Osierocone przez swych gorliwych niewolników puściły w ruch długie liście swoich koron. Całe ich cielska dygotały, ciemnozielone ostrza śmigwały nad barką. Gdy uderzył pierwszy liść, smagający żywym biczem surowe deski pokładu, Poyly rozpląszczyła się na brzuchu. Poleciały drzazgi. Spadło drugie i trzecie uderzenie. Widziała, że tak straszliwe bombardowanie zabije ich wszystkich lada chwila. Widok nienaturalnej wściekłości tych drzew budził grozę. Poyly przemogła strach. Podczas gdy Gren z Yattmur przykucnęli za wątlą osłoną rufy, poderwała się. Nie czekając na rady grzyba, wychyliła się przez burłę i cięła mocne włókna utrzymujące łódź równiutko w poprzek rzeki. Zbrojne liście siekły tuż przy niej. Cios dosięgnął Rybiarzy raz i jeszcze raz. Parabole krwi poznały pokład. Nieszczęśnicy kłębili się i krwawiąc, wyczołgiwali się z kłębowiska na środek pokładu. Drzewa bezlitośnie waliły dalej.

Chociaż lina prowadząca była mocna, to jednak puściła w końcu pod ciosami Poyly. Dziewczyna krzyknęła zwycięsko, kiedy uwolniona łódź określiła się pod naporem wody Uciekała już w ukrycie, gdy kolejny liść spadł na pokład. Kolce jednej z jego mięsistych krawędzi z całą siłą przejechały jej po piersi.

– Poyly! – jednym głosem zawołali Gren i Yattmur, doskakując do niej. Nie zdążyli. Uderzenie trafiło ją w wychyleniu. Złożyła się we dwoje, z rany siknęła krew. Na chwilę zawisła błagalnym spojrzeniem na Grenie i

runęła do wody, znikając za burzą. Rzucili się do burty w miejscu, gdzie zatonała, woda była niespokojna. Na powierzchni pojawiła się dłoń z rozcapierzonymi palcami, odcięta od ręki. Prawie natychmiast jednak zniknęła w kłębowisku gładkich rybich ciał i tyle widzieli Poyly.

Gren padł na pokład i bijąc w deski pięściami, wyzywał smardza:

– Nie mogłeś jej ocalić, ty nędzny grzybie, ty beużyteczny poroście! Nie mogłeś nic zrobić? Cóżes jej kiedykolwiek przyniósł prócz nieszczęścia?!

Nastąpiła długa cisza. Gren począł go lżyć ponownie z rozpaczą i nienawiścią. Wreszcie usłyszał cichy głos smardza: – Umarłem w połowie – wyszeptał grzyb.

Tymczasem łódź, wirując, spłynęła już z prądem. Wreszcie znaleźli się poza zasięgiem pozostających szybko w tyle brzunio – drzew, których mordercze korony wciąż orały wodę w grzebieniach piany Rybiarze, widząc, że ich znosi, wydali chóralny jęk. Yattmur przeparaowała przed nimi z obnażonym mieczem, nie okazując żadnej litości.

– Wy brzuchochacze! Wy, długoogoniaste syny wzdętych kłoców! Cicho tam! Umarł ktoś prawdziwy i macie go oplakiwać albo wyrzucę was wszystkich za burzę tymi oto dwiema własnymi rękami!

Po tej przemowie Rybiarze zamilkli. Zbici w korną gromadkę pocieszali się nawzajem, liżąc jeden drugiemu rany. Yattmur podbiegła do Grenu i objąwszy go ramieniem, przycisnęła policzek do jego twarzy. Tylko przez moment próbował się opierać.

– Nie oplakuj zbyt długo Poyly. Piękna była za życia, ale zielen każdego w końcu zabierze. Teraz ja tu jestem i ja będę twoją partnerką.

– Ty zapragniesz wrócić do swojego plemienia, do Pasterzy – powiedział żałośnie Gren.

– Ha! Oni zostali daleko za nami. Jakże ja wrócę? Wstań i zobacz, jak szybko nas niesie! Ledwo już mogę dojrzeć Czarną Gardziel, jest nie większa od mojego sutka. Grozi nam niebezpieczeństwo, o Gren. Ocknij się! Zapytaj swego magicznego przyjaciela smardza, dokąd płyniemy.

– Nie obchodzi mnie, co się teraz z nami stanie. – Posłuchaj, Gren...

Doleciał ich krzyk Rybiarzy. Objawiali coś w rodzaju apatycznego

zainteresowania, wskazując z wrzaskiem przed siebie, co wystarczyło, by Gren z Yattmur natychmiast stanęli na nogi. Ich barkę znosiło gwałtownie na inną łódź.

Nad brzegami Długiej Wody znajdowało się więcej kolonii Rybiarzy. Przed nimi wyłoniła się jedna. Dwa pękate brzunio – drzewa sygnalizowały jej położenie. Przez strumień była przeciągnięta sieć, u przeciwnego brzegu spoczywała łódź pełna Rybiarzy. Wzdłuż krawędzi sieci zwieszały się ponad rzeką ich ogony.

– Zderzymy się z nimi! – krzyknął Gren. – Co robić?

– Nie, miniemy tamtą łódź. Może ich sieć nas zatrzyma. Wtedy będziemy mogli dostać się bezpiecznie na brzeg.

– Spójrz, jak ci dumnie wspinają się na burty łodzi. Wstrząs zrzuci ich do wody

Rybiarze, o których mówił, mrowili się przy dziobie. Zawołał do nich:

– Hej, krótkie ogony! Złazić tam na dół, bo wpadniecie do wody!

Jego wezwanie utoneło w ich krzykach i chłopotaniu wody. Pędzili nieuchronnie ku drugiej łodzi. W chwilę później wpadli na zagradzającą im drogę sieć. Ciężka barka zatrzęszczała pod wpływem przechyłu. Szarpnięcie zważyło paru Rybiarzy w nurt rzeki. Jednemu udało się przeskoczyć do obcej łodzi. Łodzie wyrznęły w siebie, odbiły się jedna od drugiej jak piłki i zaraz pękła przerzucona przez rzekę lina zabezpieczająca. Znowu wolni, okręcili się i ruszyli z nurtem. Druga, znajdująca się już przy brzegu łódź pozostała na miejscu, uderzając niepokojąco o ląd. Wielu członków jej załogi ganiało po brzegu; niektórzy powpadali do wody, innym oderwało ogony. Lecz ich niedole pozostały na zawsze tajemnicą, jako że łódź Greny opływała wielkie zakole i ze wszystkich stron otaczała ją dżungla.

– Co teraz zrobimy? – zapytała rozdygotana Yattmur. Gren wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia. Świat, jaki mu się objawił, był zbyt wielki i zbyt przerażający

– Grzybie, obudź się – powiedział. – Co teraz z nami będzie? Ty nas wpakowałeś w tę kabałę, teraz nas z niej wyciągnij.

Zamiast odpowiedzieć, smardz zabrał się do nicowania jego umysłu.

Gren usiadł ciężko, oszołomiony. Yattmur ujęła jego dłonie, zaś trzepotliwe widma pamięci i myśli przesłoniły mu wewnętrzne widzenie. Smardz studiował nawigację.

– Aby Łódź nas słuchała – powiedział wreszcie – musimy nią sterować. Ale nie mamy tu niczego do sterowania. Nic nie możemy zrobić.

Było to przyznanie się do porażki. Gren siedział na pokładzie, obejmując Yattmur ramieniem, zupełnie nieczuły na wszystko, co go otacza. Jego myśli powróciły do czasów, kiedy on i Poyly byli beztruskimi dziećmi w plemieniu Lily – yo. Jak łatwe było wtedy życie, jakie cudowne, a jak mało zdawali sobie z tego sprawę! Przecież było nawet cieplej, słońce świeciło prawie nad samą głową. Otworzył jedno oko. Słońce lśniło całkiem nisko nad horyzontem.

– Zimno mi – powiedział.

– Przytul się do mnie – zaproponowała przymilnie Yattmur.

Koło nich leżały świeżo zerwane liście, pewnie zebrane do zawinięcia spodziewanego połowu Rybiarzy. Naciągnawszy je na Grena, Yattmur przytuliła się do niego, jakby przypadkiem oplatając go ramionami. Odprężył się w jej ciepłe. Wezbrało w nim pożądanie, począł chciwie poznawać jej ciało. Była ciepła i słodka jak dziecięce sny i z czuciem poddawała się jego dotknięciom. Jej dłonie również rozpoczęły odkrywczą podróż. Zatraceni we wspólnej rozkoszy zapomnieli o świecie, oddając się sobie nawzajem. Nawet smardza ukoił rytm ich ruchów pod ciepłymi liśćmi.

Łódź mknęła z prądem rzeki, od czasu do czasu obijając się o brzegi, lecz ani na chwilę nie przerywała żeglugi. Po pewnym czasie wpadła w znacznie szerszą rzekę i wirowała bezradnie w prądzie przez jakiś czas, przyprawiając wszystkich o zawrót głowy. W pewnym momencie zmarł jeden z rannych Rybiarzy; wyrzucili go za burtę. Jak na sygnał Łódź uwolniła się z wirów i ponownie popłynęła z nurtem. Rzeka była teraz bardzo rozległa i rozszerzała się coraz bardziej, aż w pewnej chwili przestali widzieć brzegi. Oglądali świat nie znany ludziom, szczególnie Grenowi, któremu obce było pojęcie szerokich, pustych przestrzeni. Wbijali wzrok w dal, a po chwili odwracali się i zakrywali z drżeniem oczy. Ruch był wszechobecny, nie tylko w nie znającej spoczynku wodzie pod nimi. Zerwał się chłodny wiatr, który w niezmiernych połaciach lasu z

pewnością zagubiłby drogę, ale tutaj władał wszystkim. Muskał wodę, pozostawiając ślady niewidzialnych stóp, popychał skrzypiącą łódź, pryskał pyłem wodnym w zgębnione oblicza Rybiarzy, targał i rozwiewał im włosy Wzmażał się, ziębiąc im skórę, i zaciągał niebo mglistymi chmurami, które przesłoniły unoszące się tam trawersery.

W łodzi pozostały dwa tuziny Rybiarzy, z których sześciu zostało ciężko rannych podczas napaści brzunio – drzew. Zrazu nie usiłowali zbliżyć się do Grena i Yattmur; leżeli zbici w ciasną gromadkę; żywy symbol rozpaczy Najpierw zmarł jeden, a później następny ranny. Kolejno, wśród chaotycznych lamentów, wyrzucono ich za burtę. I tak fala wyniosła ich na ocean.

Olbrzymia szerokość rzeki uchroniła ich przed atakiem gigantycznych wodorostów, które porastały wybrzeża. W gruncie rzeczy ich przejście z rzeki w deltę i z delty w morze odbyło się niepostrzeżenie: potężny brunatny wał słodkiej wody wtaczał się głęboko w słone fale. Stopniowo brąz rozpląnął się w zielonobłękitnych toniach, wiatr przybrał na sile i pognął ich w innym kierunku, równoległe do wybrzeża. Potężny las nie wyglądał na większy od liścia.

Jeden z Rybiarzy, ponaglany przez swoich towarzyszy, podszedł z szacunkiem do Grena odpoczywającego z Yattmur wśród liści.

– O, wielcy Pasterze, usłyszcie nasze słowa, kiedy mówimy, jeśli pozwolicie mi, bym zaczął mówić – rzekł.

Ton Grena był ostry:

– Nie zrobimy wam żadnej krzywdy, grubasie. Jesteśmy w tarapatach tak samo jak wy Nie możecie tego zrozumieć? Chcieliśmy wam pomóc i zrobimy to, kiedy świat stanie się znów suchy. Spróbuj więc zebrać myśli i mów z sensem. Czego chcesz?

Mężczyzna pokłonił się nisko. Za nim pokłonili się jego towarzysze w pełnym rozpaczy naśladownictwie.

– Wielki Pasterzu, patrzymy na ciebie od twojego przyjścia. My spryciarze brzunio – drzewiarze poznaliśmy twoją wielkość. Wiemy, że niebawem zapragniesz nas pozabijać, kiedy oderwiesz się od zabaw w przekładańca w liściach ze swoją panią. My spryciury nie jesteśmy głupcy; a niegłupcy są dość sprytni, aby z przyjemnością umrzeć dla ciebie. Mimo

wszystko smutek nie czyni nas sprytnymi, aby umierać bez jedzenia. Wszyscy my biedni smutni sprytni brzuniu – ludzie nie mamy co jeść i błagamy: daj nam jeść, bo nie mamy brzuniu – mamy...

Gren wykonał gest zniecierpliwienia.

– My też nie mamy – powiedział. – Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wy. My też sami musimy się o siebie martwić.

– Niestety, my nie śmieliśmy żywić nadziei, że podzielisz się z nami swoim jedzeniem, bo twoje jedzenie jest poświęcone, a poza tym pragniesz patrzeć, jak głodujemy. Jesteś bardzo sprytny, chowając przed nami mięso zaskacza, które, jak wiemy, zawsze przy sobie nosisz. Miło nam, wielki Pasterzu, że nas zagłodzisz, jeśli z tego powodu się zaśmiejesz, zaśpiewasz wesoło i zabawisz znowu w przekładaniec. Ponieważ jesteśmy pokorni, nie potrzebujemy jedzenia, by umrzeć najedzeni...

– Ja naprawdę zamorduję te stworzenia – powiedział z wściekłością Gren i usiadł, puszczając Yattmur. – Grzybie, co z nimi zrobimy? Nawarzyłeś tego piwa, pomóż je teraz wypić.

– Niech wyrzucą swą sieć za burtę i nałapią ryb – zabrzączał smardz.

– Świetnie! – zawołał Gren.

Zerwał się, pociągając za sobą Yattmur, i zaczął wykrzykiwać rozkazy Rybiarzom. Niemrawo, niefachowo i bojaźliwie przygotowali swoją sieć i wyrzucili ją za burtę łodzi. Morze kipiało tu życiem. Jeszcze sieć nie opadła, a już szarpnęło nią coś dużego – szarpnęło i zaczęło miarowo piąć się w górę. Łódź przechyliła się na jedną stronę. Rybiarze odskoczyli z wrzaskiem, kiedy para ogromnych szczypców zgrzytnęła o górną krawędź nadburcia. Gren stał akurat pod nią. Bez zastanowienia wyciągnął nóż i uderzył. Uniosła się nad nim głowa homara, większa od jego własnej. Jeden po drugim ściały obydwie słupki oczne. Morski potwór puścił się bezdźwięcznie i spadł z powrotem w głębiny, zostawiając przerażoną bandę Rybiarzy jęczących w luki odpływowe.

Gren rzucił się na nich, kopiąc i pokrzykując, równie jak oni przerażony, ponieważ w swym umyśle wyczuwał strach smardza.

– Wstawać, obwisłe brzuch – brzuchacze! Chcecie tak leżeć, aż zdechniecie?! Ale ja wam nie dam. Wstawać i wyciągać sieć z powrotem, zanim będziemy mieli więcej potworów na karku. Dalej, ruszać się! Sieć

do środka! No, do sieci, wy rozlaźle bydlęta!

– O wielki Pasterzu, możesz rzucić nas dziwom mokrego świata, a my nie będziemy się skarżyć! Widzisz, że my cię sławimy, nawet kiedy sprowadzasz na nas potwory z mokrego świata, a my jesteśmy zbyt mali, by się skarżyć, miej więc litość...

– Litość! Ja was poobdzieram żywcem ze skóry, jeżeli w tej chwili nie wyciągniecie sieci. Jazda! – wrzasnął. Ruszyli się do roboty, tylko włosy porastające im boki trzepotały na wietrze. Wciągnęli przez burtę sieć obładowaną stworzeniami, które chlapały i plaskały ludziom wokół kostek.

– Cudownie! – zawołała Yattmur i uściskała Grenę. – Jestem taka głodna, kochany! Teraz będziemy żyć! Mówię ci, że niebawem nastąpi kres Długiej Wody.

Łódź dryfowała jednak niezmiennie. Zapadli ponownie w sen, po czym jeszcze raz, a tymczasem nie ociepliło się ani trochę, aż wreszcie obudzili się i odkryli, że pokład pod nimi jest nieruchomy. Gren otworzył oczy, jego spojrzenie napotkało płachetek piasku i chaszczę. W łodzi znajdowali się tylko on i Yattmur.

– Grzybie! – zawołał, skacząc na równe nogi. – Ty nigdy nie śpisz, dlaczego mnie nie obudziłeś i nie powiedziałeś, że woda się skończyła?! No i obwisłobrzuchy zwiały!

Obrzucił spojrzeniem ocean, który ich tutaj przyniósł.

Yattmur wstała bez słowa i przyciskając rękami piersi, wpatrywała się ze zdziwieniem w ogromną ścianę, która sterczała pionowo z pobliskich zarośli. Gren usłyszał w głowie coś w rodzaju upiornego chichotu smardza.

– Rybiarze nie zajdą daleko, niech pierwsi nadstawią za nas karku. Dałem wam pospać, tobie i Yattmur, byście dobrze wypoczęli. Musicie być w pełni sił. Może to tutaj założymy nasze nowe królestwo, mój przyjacielu!

Gren wyraził gestem powątpiewanie. Nie widział ani jednego trawersera nad głową i uważał to za złą wróżbę. Oprócz złowrogiej wyspy i bezmiaru oceanu dostrzegł jeszcze tylko ptaka chyżosieja szybującego pod wysokim pułapem obłoku.

– Lepiej zrobimy, jeśli zejdziemy na ląd – powiedział.

– Wolę zostać w łodzi – odrzekła Yattmur, popatrując z lękiem na

wielkie skalne urwisko.

Bez gadania jednak chwyciła podaną jej rękę i przelazła przez burtę. Słyszał, jak jej dzwonią zęby.

Stali na niegościnniej plaży, rozglądając się, czy nie czai się gdzieś niebezpieczeństwo. Chyżosiej wciąż żeglował po niebie. Bez zakłócenia rytmu uderzeń skrzydeł zmienił nieznacznie kierunek. Unosił się wysoko nad oceanem, a jego zdrewniałe skrzydła skrzypiały jak karawela pod wszystkimi żaglami. Usłyszawszy ten hałas, dwoje ludzi zadarło głowy. Chyżosiej dostrzegł łąd. Zatoczył koło i zwalniając, zaczął tracić wysokość.

– Zobaczył nas? – zapytała Yattmur.

Mieli kryjówek do wyboru. Mogli się schować pod łodzią lub zanurzyć w obrzeża dżungli, falującej nad niskim czołem plaży. Łódź stanowiła kiepskie schronienie przed wielkim ptakiem, gdyby się zdecydował na atak; mężczyzna i kobieta ramię w ramię wśliznęli się w listowie. Chyżosiej pikował już ostro. Przestał wachlować skrzydłami. Sztwno rozpostarte dygotały i trzęsły się w powietrzu od przyspieszenia. Jakkolwiek prezentował się wspaniale, chyżosiej był ledwie prymitywną imitacją prawdziwych ptaków, jakie ongiś wypełniały niebieskie przestrzenie Ziemi. Ostatnie prawdziwe ptaki wyginęły wiele tysiąceci temu. Chyżosieje naśladowały wymarłą klasę stworzeń latających, aż po wielkopańską niewydolność w konkurencji ze światem roślin. Wibrujący dźwięk jego skrzydeł wypełniał niebiosa.

– Zobaczył nas, Gren? – Yattmur wyjrzała spod liści. W cieniu wyniosłej ściany skalnej przenikał ich chłód. Gren, zamiast odpowiedzieć, ścisnął ją tylko mocno za ramię, wpatrując się zmrużonymi oczami w niebo. Był równie przestraszony jak zły i nie ufał temu, co sam powie. Smardz nie dodawał mu otuchy – przycałił się w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. Stało się jasne, że niezgrabne ptaszysko nie wyrówna w porę, by uniknąć zderzenia z ziemią. Schodziło w dół, jego cień omiółł czernią zarośla, zadrżały liście, gdy przemknął za pobliskim drzewem i – zapadła cisza. Żaden odgłos zderzenia nie dotarł do ludzi, chociaż ptak musiał uderzyć w ziemię nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od nich.

– Na żywe cienie! – wykrzyknął Gren. – Czyżby coś go połknęło? – Jego umysł pośpiesznie zrejterował przed próbą wyobrażenia sobie czegoś na tyle dużego; by połknęło chyżosieja.

Stali wyczekująco, ale nic nie przerywało ciszy.

– Zniknął jak duch! – powiedział Gren. – Chodźmy zobaczyć, co się z nim stało.

Przylgnęła do niego, nie puszczając go od siebie.

– Nieznane miejsce jest pełne nieznanymi niebezpieczeństw – powiedziała. – Nie szukajmy śmierci, kiedy ona sama krąży gotowa nas znaleźć. Niczego nie wiemy o miejscu, w którym jesteśmy Najpierw musimy zbadać, co ono za jedno i czy możemy tu żyć.

– Wolę sam poszukać śmierci, niż pozwolić, by ona mnie znalazła – odparł Gren. – Ale może i masz rację, Yattmur. Czuję przez skórę, że to niedobre miejsce. Co się stało z tymi durnymi brzunio – brzuchami – ludźmi?

Wydostali się na plażę i ruszyli nią powoli, przez cały czas rozglądając się czujnie wokoło; wypatrując pilnie śladów swoich żalonych towarzyszy, posuwali się pomiędzy płaszczyzną morza a stromizną wielkiego urwiska. Nie musieli iść daleko, by natknąć się na te ślady.

– Przechodzili tędy – powiedział Gren, przebiegając plażą. Odciski wleczonych stóp i odchodów znaczyły miejsce, w którym brzunio – brzuchy przeczłapały na brzeg. Wiele śladów było niewyraźnych i wskazywało to w tę, to w inną stronę; nierzadko odcisk dłoni ukazywał miejsce, gdzie stworzenia potykały się nawzajem o siebie i przewracały. Ślady wyraźnie zdradzały niezdarny i niepewny chód brzunio – brzuchów. Kawalek drogi dalej, między plażą a ścianą urwiska, zagłębiały się w wąskie pasmo drzew o skórzastych, smętnych liściach. Podążających w mrok Gren i Yattmur zatrzymał cichy dźwięk. Z bliska dochodziły jęki. Gren ścisnął nóż i zajrzał w zagajnik wyciągający skąpe soki z piaszczystej gleby

– Kimkolwiek jesteś – zawołał – wylaż, bo pożałujesz, jak po ciebie pójde.

Jęki się wzmożyły, ciche, żalodne treny, w których słycać było mamrotane słowa.

– To brzunio – brzuch! – krzyknęła Yattmur. – Nie złość się na niego, jeśli jest ranny

Jej oczy już się oswoiły z cieniem: biegła przed siebie, aż wreszcie

przykłęła wśród ostrych traw na piaszczystym gruncie. Leżał tam jeden z pulchnych Rybiarzy ze swoimi trzema wtulonymi weń towarzyszami. Na widok Yattmur wzdrygnął się gwałtownie i odturlał od niej.

– Nie zrobię ci krzywdy – odezwała się Yattmur. – Szukaliśmy was.

– Za późno już, bo nasze serca są złamane, bo nie przybyliście wcześniej – zawołał, roniąc łzy.

Zaschnięta krew z długiego zadrapania na jednym ramieniu zlepiała mu w tym miejscu włosy, lecz Yattmur zauważyła, że było to powierzchniowe draśnięcie.

– Jak to dobrze, żeśmy was znaleźli – powiedziała. – Nic wam się wielkiego nie stało. Wstawajcie teraz i wracajcie do łodzi.

Brzuno – brzuch wybuchnął nowymi lamentami, jego towarzysze dołączyli chórem, skarżąc się w swoim dziwacznym dialekcie.

– O wielcy Pasterze, wasz widok powiększa nasze nieszczęścia. Jak bardzo radujemy się widząc was znowu, chociaż wiemy, że zabijecie nas biednych bezradnych brzuno – braci, jakimi jesteśmy. Jesteśmy, jesteśmy, jesteśmy i chociaż nasza miłość was kocha, nie możecie nas kochać, ponieważ jesteśmy nędznym śmieciem, a wy jesteście okrutnymi mordercami, którzy są okrutni dla śmieci. Zabijecie nas, chociaż my umieramy! O jakże uwielbiamy waszą dzielność, wy sprytni bezogoniaści herosi!

– Skończ tę ohydną paplaninę – rozkazał Gren. – Nie jesteśmy mordercami i nigdy nie zamierzaliśmy was skrzywdzić.

– Jakże sprytny jesteś, panie, udając, że odcięcie nas od naszych cudownych ogonów nie jest krzywdą! O, sądziliśmy, że wy nie żyjecie, że skończyliście swoje przekładańce w łodzi, kiedy wodnisty świat zamienił się w suchy, więc odczołgaliśmy się w wielkiej żałobie, odpełziliśmy na czworakach, ponieważ chrapanie twoje, o panie, było głośne. Teraz złapałeś nas ponownie i ponieważ nie chrapiesz, wiemy, że nas zabijesz!

Gren trzasnął najbliższego w głowę, Rybiarz jęknął i skurczył się w śmiertelnej agonii.

– Cicho, opasłe durnie! Nic się wam nie stanie, jeśli nam zaufacie. Wstać i gadać, gdzie się podziała reszta waszej kompanii.

Rozkaz wywołał jedynie nowe lamentey.

– Widzisz przecież, że my czterej nieszczęśnicy cierpiętnicy umieramy śmiertelną śmiercią, która przychodzi po wszystkie zielone i różowe stworzenia, dlatego każesz nam wstać, ponieważ zrobienie stojącej pozycji zabije nas na śmierć, a ty kopniesz nas, kiedy odejdą nasze dusze, a my możemy wtedy śmierć się tylko na ciebie, nie płakać naszymi nieszkodliwymi ustami. O, my padniemy niżej od leżenia plackiem przed takim chytrym pomysłem, wielki Pasterzu!

Biadoląc, próbowali łapać na oślep Yattmur i Grena za kostki i całować ich stopy, tak że oboje musieli podskakiwać dla uniknięcia tych objęć.

– Nic im nie jest, głupim stworzeniom – powiedziała Yattmur, która w trakcie tej orgii lamentów starała się ich zbadać. – Są podrapani i potłuczeni, nic ponadto.

– Ja ich zaraz wyleczę – odparł Gren.

Wyszarpnąwszy uwięzioną w kostce nogę, kopnął w nalaną twarz. Przepęlniony wstrętem ucapił któregoś z leżących plackiem brzunio – brzuchów i siłą postawił na nogi.

– Jakże wspaniale jesteś silny, panie – jęknęło stworzenie, usiłując jednocześnie pocałować i ugryźć go w rękę. Twoje mięśnie i twoje okrucieństwo są ogromne dla biednych małych umierających koleśków, jak my, którym krew psuje się w nich z powodu złych rzeczy i innych złych rzeczy, niestety!

– Jeśli nie zamilknieš, wpakuję ci twoje własne zęby do gardła – obiecał Gren.

Z pomocą Yattmur ustawił pozostałych trzech wyrzekających brzunio – brzuchów na nogi; jak powiedziała Yattmur, nic im prawie nie było, poza rozczulaniem się nad sobą. Uciszywszy stworzenia zapytał, dokąd udało się szesnastu ich towarzyszy.

– O cudowny bezogonie, oszczędzasz tę nieszczęsną maleńką czwórkę, by rozkoszować się zabiciem wielkiej szesnastki. Co za poświęcenie, ty się poświęcasz! My ci radośnie mówimy o radości, jaką czujemy, mówiąc ci, dokąd poszła nasza radosna smutna szesnastka, żebyś mógł nas oszczędzić, byśmy żyli dalej i radowali się twoimi razami i uderzeniami, i okrutnymi kopniakami w nosy naszych delikatnych twarzy Tamta szesnastka położyła

nas tutaj, byśmy umarli w spokoju, zanim pobiegli w tamtą stronę, abyś ich schwycił i zabawił się w zabijanie.

I z przynębieniem wskazali wzdłuż brzegu.

– Zostać tutaj i ani pary z ust – powiedział Gren. – Wrócimy po was, jak znajdziemy waszych kolegów. Nie oddalajcie się, bo może was coś pożreć.

– Będziemy czekać w strachu, nawet jeśli przedtem umrzemy.

– Zróbcie tak dla waszego dobra.

Gren wyruszył z Yattmur wzdłuż plaży. Zaległa cisza, nawet złobiący łąd ocean prawie nie szemrał i ponownie owładnął nimi niepokój, jakby obserwowało ich milion niewidzialnych oczu. Szli, obszukując dokładnie otoczenie. Dla istot leśnych nic nie mogło być bardziej obcego od morza, a jednak w tym łądzie tkwiło coś równie niesamowitego. Nie dlatego nawet, że drzewa ze skórzastymi liśćmi, z wyglądu odpowiedniejsze dla chłodnego klimatu, były im nie znane, ani dlatego, że za nimi wznosił się stromy brzeg, tak stromy, tak szary, tak podziurawiony, sięgający krawędzią tak wysoko nad ich głowy, że wszystko wydawało się małe i mroczne.

Oprócz tych wszystkich wizualnych elementów obcości był jeszcze inny – coś, czego nie potrafili nazwać, a co po awanturze z brzunio – brzuchami wydawało się jeszcze bardziej natarchywe.

Cichy szmer niosący się po plaży potęgował jeszcze ich niepokój. Rzuciwszy nerwowe spojrzenie przez ramię, Yattmur ponownie podniosła oczy na wznoszącą się nad nimi ścianę. Gęstniejące chmury sunęły po niebie, sprawiając wrażenie, że ogromna ściana wali się jej na głowę. Yattmur padła na piasek, zasłaniając oczy, i pociągnęła za sobą Grena. – Lecą na nas potężne skały! – krzyknęła.

Gren raz tylko spojrzął do góry. Jego też zwiódła iluzja, że majestatyczna, wysoka ściana majestatycznie wali się prosto na nich. Weisnęli swoje miękkie ciała pomiędzy twarde kamienie, chowając twarze w wilgotnym żwirowatym piachu. Byli stworzeni dla gąszczy cieplarnianego świata, tutaj zaś znajdowało się tak wiele rzeczy im obcych, że nie potrafili zareagować inaczej, jak tylko przerażeniem. Gren bezwiednie przyzywał grzyba siedzącego mu na głowie i karku:

– Ratuj nas, grzybie! Zaufaliśmy ci, a ty przywiodłeś nas w to straszliwe

miejsce. Teraz musisz nas stąd szybko wyprowadzić, zanim urwisko spadnie nam na głowę.

– Jeśli wy umrzecie, ja też umrę – powiedział smardz, wypełniając mózg Gren a brzęczącymi tonami. Bardziej krzepiące było to, co dodał: – Możecie wstać. Poruszają się chmury, nie ściana.

Minęła chwila, a może więcej, nim Gren ośmielił się sprawdzić wiarygodność tej obserwacji. W końcu stwierdziwszy, że na jego odsłonięte ciało nie sypią się żadne kamienie, zerknął do góry. Yattmur pisnęła, czując, że się poruszył.

Wydawało się, że urwisko nadal się wali. Gren zebrał się w sobie, by się temu dokładniej przyjrzeć. Wyglądało to tak, jakby ściana leciała na niego z niebios; w końcu jednak upewnił się, że stoi w miejscu. Odważył się oderwać wzrok od jej perforowanej fasady i szturchnął łokciem Yattmur.

– Urwisko nam nie zagraża – powiedział. – Możemy iść dalej.

Uniosła zboląłą twarz, całą w czerwonych śladach tam, gdzie odcisnęły się drobne kamyki; kilka z nich jeszcze się trzymało.

– To czarodziejskie urwisko; zawsze spada, jednak nigdy nie spadnie – odezwała się wreszcie, gdy uważnie obejrzała skałę. – Ono mi się nie podoba. Ma oczy, które nas śledzą.

Powlekli się dalej; Yattmur od czasu do czasu spoglądała nerwowo w górę. Plaża dość ostro skręcała przez całą drogę, piasek ginał często pod wielkimi załomami skalnymi, na które wdzierały się z jednej strony morze, z drugiej dżungla. Wspięli się raz na takie usypisko najciszej, jak tylko potrafili.

– Wkrótce będziemy z powrotem tam, skąd wyruszyliśmy – powiedział Gren i obejrzał się, widząc, że ich łódź schowała się za masywem urwiska.

– Zgadza się – zabrzączał smardz. – Jesteśmy na niewielkiej wyspie, Gren.

– Więc nie możemy tu zostać, grzybie? – Z pewnością nie.

– Jak ją opuścimy?

– Tak jak przybyliśmy, łodzią. Wykorzystamy trochę tych olbrzymich liści na żagiel.

– Ale my nienawidzimy łodzi i wodnego świata, grzybie. – Ale wolicie i jedno, i drugie od śmierci. Jak tutaj przeżyjemy, Gren? Przecież to po prostu wielka, okrągła wieża skalna otoczona pasemkiem piachu.

Gren popadł w niewesołą zadumę, a ową rozmową bez słów nie podzielił się z Yattmur. Mądrze będzie, zakonkludował, odłożyć decyzję do odnalezienia reszty brunio – brzuchaczy. Dotarło do niego, że Yattmur coraz częściej ogląda się przez ramię na skalną ścianę, i nie wytrzymał nerwowo.

– Co się z tobą dzieje? – odezwał się. – Patrz pod nogi, bo skreścisz kark.

Chwyciła go za rękę.

– Cicho! Ona cię usłyszy. Ta straszna ściana skalna ma milion wpatrujących się w nas przez cały czas oczu.

Kiedy zaczął odwracać głowę, ujęła oburącz jego twarz i wciągnęła go za skalny załom.

– Nie dajmy po sobie poznać, że wiemy – wyszeptwała. Wyjrzyj na nią z tego miejsca.

Czując suchość w gardle ze zdenerwowania, omiół spojrzeniem ogromną, czujną szarzyznę. Chmura przesłoniła słońce i w nikłym blasku skała nabrała jeszcze większej grozy. Już przedtem zauważył, że jest podziurawiona; teraz dostrzegł, z jaką regularnością są rozmieszczone owe otworki, jak bardzo przypominają oczodoły, jak niesamowicie zdają się patrzeć na niego ze swej skalnej twarzy.

– Widzisz! – usłyszał głos Yattmur. – Jaka to straszna groza! Tu straszy, Gren! Nie widzieliśmy tu żadnego życia. Nic się nie porusza wśród traw, nic nie pomyka plażą, nic nie wspina się na tę skalną płaszczyznę. Spotkaliśmy jedynie chyzosieja, którego coś połknęło. Tylko my jesteśmy tu żywi, i to kto wie, jak długo.

Jęknęła i w tym właśnie momencie coś się poruszyło na skalnej wieży. Niezliczone nieprzychylne oczy – nie było już co do tego wątpliwości – obróciły się jednocześnie ku morzu, jakby tam czegoś wypatrywały. Pod wpływem siły tego kamiennego spojrzenia Gren i Yattmur obrócili się również. Z miejsca, w którym przycupnęli, widoczna była tylko część morza, obramowana kawałami rozłupanej skały leżącymi nieopodal na plaży. W tym skrawku horyzontu, hen na szarych wodach, zaobserwowali

poruszenie: ku wyspie płynęło coś ogromnego.

– Na cienie! Ten stwór zmierza do nas! Biegniemy z powrotem do łodzi!

– Leż spokojnie, Yattmur. On nie może nas zauważyć pośród tych skał.

– Czarnoksiężka wieża z oczami przyzywa to, by przybyło nas pożreć.

– Nonsens – powiedział Gren, aby uspokoić również własny podskórny lęk.

Patrzyli jak urzeczeni na morskiego stwora. Pył wodny utrudniał rozróżnienie jego kształtów. Tylko dwie olbrzymie płetwy bijące wodę jak oszalałe koła łopatkowe ukazywały się wyraźnie na krótkie chwile. Czasami im się wydawało, że dostrzegają wzniesioną, jakby wyrrywającą się ku brzegowi głowę, ale widoczność stale się pogarszała. Z ciężkich niebios opadła kurtyna deszczu i odcięła obraz morskiego stworzenia, siekąc wszystko klującymi zimnem kroplami. Wiedzeni odruchem Gren i Yattmur dali nura między drzewa; ociekając wodą, stali pod jednym z pni.

Deszcz zdwoił siłę. Przez chwilę nie mogli sięgnąć wzrokiem dalej niż strzępiasta falbana bieli znacząca kraniec morza. Spośród ulewy doleciał zagubiony akord, niby ostrzeżenie – jak gdyby świat się walił. Morskie straszdyło domagało się przewodnika. Niezwłocznie też otrzymało odpowiedź. Wyspa, a może tylko owa skalna wieża, odezwała się na wołanie. Z samych jej podstaw wydarł się jeden tubalny zew. Nie był on nawet głośny, ale wypełniał sobą wszystko, spadając na ziemię i morze jak deszcz, jakby każdy decybel stanowił odczuwalną osobno kroplę. Yattmur wczepiła się w Grena i wstrząśnięta tym dźwiękiem, zapłakała.

Ponad jej szloch, nad szum ulewy i morza, ponad echa wezwania wieży wzniosł się inny głos, poszarpany, nabrzmiały strachem. Był to głos złożony, zawierający elementy błagania i wyrzutu, i Gren go rozpoznał.

– Zaginione brzunio – brzuchy! – zawołał. – Muszą być gdzieś w pobliżu.

Rozejrzał się bezradnie wokoło, strząsając krople deszczu. Wielkie skórzaste liście to uginały się, to podskakiwały pod zmienną masą wody ściekającej z urwiska. Niczego nie było widać prócz lasu, schylonego pokornie pod ulewą. Gren nie poruszał się; brzunio – brzuchy będą musiały zaczekać, aż deszcz osłabnie. Pozostał na miejscu, ramieniem otoczywszy

Yattmur.

Wyglądali ku morzu, gdy szarość przed nimi rozstąpiła się naraz w kipieli fal.

– O żywe cienie, przybywa po nas stwór – wyszeptwała Yattmur.

Ogromne morskie stworzenie wydostało się na płyciznę i wydzwignęło z morza. Ujrzeni kaskady deszczu spływające z wielkiego płaskiego łba. Wąska i masywna jak grób paszcza otworzyła się ze skrzypieniem – i Yattmur, wyrwawszy się z ramion Gren, pognąła plażą w przeciwnym kierunku, wrzeszcząc z przerażenia.

– Yattmur!

Spreżył się już, by za nią ruszyć, ale zwałił się na niego cały ciężar woli smardza. Unieruchomiony Gren zastygł na moment w pozycji startującego sprintera. Utraciwszy równowagę, przewrócił się na bok w płynny piasek.

– Nie ruszaj się – zabrzczał smardz. – Musimy zobaczyć, co uczyni to stworzenie, bo najwyraźniej nie o nas mu chodzi. Nic nam nie robi, jeśli będziesz cicho.

– Ale Yattmur...

– Niech leci, głupi dzieciak. Po wszystkim bez trudu ją znajdziemy.

Przez nawałnicę docierały do nich nieregularne, przeciągłe postękiwania. Olbrzymowi brakło tchu. Wygramolił się z mozołem na plażę jakieś parę metrów od miejsca, gdzie leżał Gren. Deszcz spowił go w szarą zasłonę, tak że ze swym krótkim oddechem i ociężałymi ruchami, wlokąc się w tym równie nieprawdopodobnym jak on sam otoczeniu, przypominał groteskowy symbol cierpienia z sennych majaków. Drzewa zakryły jego głowę przed Grenem. Widział tylko sunące szarpnięciami niezdarnych płetw cielsko, zanim i ono się skryło. Sam ogon jeszcze włókł się po plaży, ale i on został pochłonięty przez dżunglę.

– Idź zobaczyć, dokąd potwór poszedł – rozkazał smardz. – Nie – powiedział Gren.

Kłęczał, cały w brązowych plamach piasku zmieszanego z deszczem.

– Rób, co ci każe – zabrzczał smardz, nie tracący nigdy z oczu swego podstawowego celu: najszerzej pojętego rozmnażania. Początkowo człowiek z racji swej inteligencji wyglądał na obiecującego gospodarza, w

sumie jednak go rozczarował; brutalna, bezmyślna siła, jaką właśnie zobaczyli, była warta zbadania. Popędził Grena w tamtą stronę.

Skrajem lasu dotarli do śladów morskiego stworzenia. Przechodząc przez plażę, wyłobilo głęboką na wzrost człowieka bruzdę. Gren opadł na czworaki, czując łomotanie krwi w skroniach. Stworzenie musiało się znajdować w niewielkiej odległości: w powietrzu wisiał wyraźny zgniłosłonawy odór. Wychyliwszy się zza drzewa, Gren powiódł spojrzeniem za śladami. Pasma dżungli urywało się tutaj nieoczekiwanie i odradzało się na nowo za pustym odcinkiem plaży Piasek w tej luce dochodził do samego podnóża urwiska, pod ścianę, w której otwierała się wielka grotą. Przez siekące strugi deszczu można było zobaczyć wiodące prosto do niej ślady potwora. Gren nie dostrzegł jednak niczego w jej wnętrzu – grotą dostatecznie obszerna, by pomieścić stworzenie, świeciła pustką jak gęba zastygła w nieprzerwanym ziewaniu.

Zapominając ze zdumienia o strachu, Gren wyszedł na otwartą przestrzeń, aby mieć lepszy widok, i od razu zauważył pierwszych z zaginionej szesnastki brzunio – brzuchów. Przycupnęli w ciasnej gromadce na końcu piaszczystej alei, pod obrzeżającymi ją drzewami, wciśnięci w urwisko tuż przy grocie. Z właściwym sobie sprytem znaleźli schronienie pod skalnym występem, z którego spływały teraz strugi deszczowej wody. Długie włosy zlane wodą przylgnęły im płasko do skóry, przez co wyglądali na jeszcze bardziej przemoczonych i zastraszonych. Ukazanie się Grena powitali panicznym zawrozczeniem i trwożliwym ściskaniem genitaliów.

– Chodźcie tutaj! – zawołał Gren; ciągle myszkował wzrokiem, próbując zrozumieć zniknięcie morskiego potwora. Zacinający w twarże deszcz do reszty zdeorganizował brzunio – brzuch – bractwo. Grenowi przypomniał się ich idiotyczny wrzask przerażenia na widok potwora. Teraz zdradzali chęć ucieczki, drepcząc w koło jak barany i wydając nieartykułowane dźwięki. Na ten obraz głupoty w Grenie zawrzała krew. Podniósł ciężki kamień.

– Chodźcie tu do mnie, wy brzuchate brzuch – beksy! krzyknął. – Szybko, zanim was potwór znajdzie.

– O postrachu! O panie! Wszystkie stworzenia nienawidzą biednych, ślicznych brzunio – brzuch – braci! – pokrzykując tak i wpadając jeden na drugiego, odwrócili się do Grena tłustymi zadkami. Gren nie wytrzymał i

cisnął kamieniem. Trafił któregoś w pośladek, lecz dobry rzut odniósł zły skutek. Trafiony osobnik wyskoczył z piskiem na piaszczystą aleję i począł uciekać przed Grenem do groty. Pozostali połączyli się w piskliwy chór, biegnąc za nim i przyciskając dłonie do zadków, aby naśladownictwo było zupełne.

– Wracać! – krzyknął Gren, puszczając się za nimi środkiem koleiny zostawionej przez morskiego potwora. – Z dala od groty!

Nie zwracali uwagi na jego wołanie. Drąc się jak opętani, wpadli do pieczary, a ich wrzask odbijał się echem od ścian. Gren wpadł za nimi. Powietrze było ciężkie od słonawego odoru morskiego straszdyła.

– Uciekaj stąd, gdzie pieprz rośnie – poradził Grenowi smardz, śląc mrowienie przez całe jego ciało.

Zewsząd, ze ścian i stropu groty, sterczały kamienne pręty zakończone gałkami ocznymi, takimi jak na zewnętrznym urwisku. Tak samo były czujne, brzunia – brzuchy obijały się o pręty, a wtedy głęboko osadzone gałki oczne rozsuwały powieki i zaczynały patrzeć – jedno po drugim, coraz ich więcej i więcej.

Odkrywszy, że zapędzili się w ślepy zaułek, brzunia – brzuchy poczęły się czołgać w piachu do stóp Grena, zanosząc jazgotliwe błagania o litość:

– O potężny, wielki, zabijający władco o mocnej skórze, o królu biegu i pościgu, spójrz, jak przybiegamy do ciebie, kiedy cię widzimy! Jakaż to radość sycić nasze biedne, pocziwe brzunia – oczy twym widokiem! Biegliśmy prosto do ciebie, chociaż nasze biedne kroki były poplątane i nasze nogi jakoś wysyłały nas w złą stronę, zamiast w radosną właściwą stronę, ponieważ deszcz nas otumaniał.

Już coraz więcej oczu otwierało się ze wszystkich stron jaskini, kierując kamienne spojrzenia na ich grupę. Gren, chwyciwszy brutalnie za włosy jednego z brzunia – brzuchów, poderwał go na nogi, co widząc pozostali zamilkli, być może zadowoleni, że ich to chwilowo ominęło.

– Teraz posłuchajcie – odezwał się przez zaciśnięte zęby. Znienawidził tych ludzi z całej duszy, gdyż wydobyli z niej wszystkie utajone krwiożercze instynkty. – Nikogo z was nie chcę skrzywdzić, jak już mówiłem. Ale macie w tej chwili wynieść się wszyscy z tej groty. Tu jest niebezpiecznie. Wracajcie biegiem na plażę.

– Ty nas ukamieniujesz...

– Niech was głowa nie boli, co ja zrobię! Róbcie, co powiedziałem! Jazda!

To mówiąc, cisnął swą ofiarę ku wylotowi grotu, aż się nieszczęśnik potoczył.

Wtedy to rozpoczęło się owo coś, co Gren później nazwał mamidłem. Otwarte w ścianach oczy osiągnęły krytyczną liczbę. Czas się zatrzymał. Świat pozieleniał. Pozieleniał brzunio – brzuch przykucnięty na jednej nodze, jakby szykował się do lotu, skamieniały w tej absurdalnej pozycji u otworu grotu. Na dworze pozieleniał deszcz. Wszystko zielone i w bezruchu. I kurczliwe.

Skulić się. Skurczyć i zapaść. By stać się kroplą deszczu na zawsze spadającą w płucach niebios. Albo ziarnkiem piasku odmierzającym wieczne spadanie w klepsydrze nieskończoności czasu. Zostać protonem niez mordowanie gnającym przez kieszonkową wersję bezkresnej przestrzeni. Aby wreszcie osiągnąć bezmiar bezkresu istnienia jako nic... bezmierną obfitość nieistnienia... a przeto stania się bogiem... przeto istnienia będącego początkiem i końcem własnego stawania się... zwołania miliarda światów, by grzechotały na zielonych ogniach każdej sekundy.. szybowania przez nie istniejące zwały zielonej materii, oczekujące w rozległych przedsiolkach bytu swojej godziny czy tysiąclecia użyteczności...

Bo przecież Gren leciał, czyż nie? A te radośniejsze tony wokół niego – czyż nie są radośniejsze? – to istoty, które on lub ktoś inny, na innej płaszczyźnie pamięci, nazwał kiedyś "brzunio – brzuchami". A skoro to jest lot, to odbywa się on w owym nieprawdopodobnie zielonym wszechświecie zachwyty, w jakimś innym niż powietrze żywiole i w jakimś pozaczasowym przepływie. I lecieli w świetle, sami świecąc. I nie byli sami. Z nimi było wszystko. Życie zastąpiło czas, oto co się stało; śmierć odeszła, jako że tutejsze zegary odmierzają tylko narodziny Lecz dwa elementy tej wszystkości były znajome... W tamtej nieuchwytej, innej egzystencji – och, jak trudno wspominać, śnić w śnieniu – w tamtej egzystencji związanej z piaszczystą plażą i szarym deszczem (Szarym? To musiało być coś zupełnie niepodobnego do zieleni, bo zieleń nie ma podobieństw), tam w owej egzystencji znajdował się wielki pikujący ptak i wielka bestia wyłaniająca się z morza... i one przeszły przez... mamidło i

były tutaj w tym samym ozieleniałym zachwycie. Żywiół wokół nich przepojony był pewnością, że tu jest miejsce dla wszystkiego – by wzrastało i rozwijało się bez waśni, bez końca, jeśli trzeba; dla brzunia – brzucha, ptaka czy potwora.

I Gren wiedział, że innych kierowano do mamidła w inny sposób. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, bo tu była sama słodycz istnienia, po prostu istnienia w tym nie wymagającym wysiłku wiecznym locie – tańcu – śpiewie, ponad czasem i miarą, i zmartwieniem. Liczyło się jedynie to, aby wzrastać zielono i dobrze.

Jednak zostawał jakoś w tyle za innymi! Jego pierwszy impet zamierał. Był tu pewien niepokój, nawet tutaj, i wymiar miał pewne znaczenie nawet tutaj, inaczej nie zostałby w tyle. Nie oglądaliby się, przywołując go z uśmiechem ptak, bestia, brzunia – brzuchy Zarodniki, nasiona, szczęśliwe zielieniejące rzeczy nie wirowałyby, zapełniając rosnący między nim a jego towarzyszami dystans. Nie podążałby teraz z płaczem za nimi, tracąc wszystko... Och, tracąc całe to nagle drogie i jasne, i niewyobrażalnie życiodajne miejsce. Nie uświadamiałby sobie na nowo strachu, ostatniej beznadziejnej próby odzyskania raj, odwrotu zieleni, ogarniającego go zamętu i wreszcie oczu, miliona oczu, a wszystkie mówiły "Nie" i spychały go w dawne miejsce.

Z powrotem był w grotcie, rozciągnięty na stratowanym piachu w pozycji nieudolnie naśladowującej fruwanie. Był sam. Milion kamiennych oczu zamknęło się wokół niego ze wzgardą, a zielona muzyka ucichła w jego mózgu. Był po dwakroć sam, gdyż skalna wieża wycofała z grotki swoją obecność. Ciągłe padał deszcz. Wiedział, że bezkresna wieczność, w czasie której przebywał daleko, trwała zaledwie przez мгновение czasu. Czas... czymkolwiek był... może po prostu subiektywnym zjawiskiem, mechanizmem w krwiobiegu człowieczym, na który nie zapadają rośliny.

Gren usiadł, poruszony własnymi myślami. – Grzybie – wyszeptał.

– Jestem tutaj...

Zapadła dłuższa cisza. Wreszcie bez ponaglenia grzybi mózg przemówił:

– Ty masz rozum, Gren – zabręczął. – Więc wieża nie przyjmie ciebie... nas. Brzunia – brzuchy są prawie tak bezrozumni jak morskie stworzenie czy ptak; oni zostali przyjęci. Co jest teraz dla nas mamidłem,

dla nich stanowi rzeczywistość. Oni zostali przyjęci.

Znów cisza.

– Przyjęci dokąd? – zapytał Gren. – To było takie piękne... Smardz nie odpowiedział wprost.

– Ten wiek jest długą epoką roślinności – zaczął. – Wyrosła ona zielenią na Ziemi, rozkrzewiła się i rozpleniła bez udziału myśli. Przybrała wiele form i eksploatuje wiele środowisk, od dawna wypełniony został każdy ekologicznie przydatny zakątek. Ziemia jest potwornie przepełniona, bardziej niż kiedykolwiek w wiekach wcześniejszych. Wszędzie rośliny.. wszystkie pomysłowo, bezmyślnie wysiewają się i rozmnażają, podwajają zamęt, zaostwiają palący problem znalezienia choćby szczeliny dla jeszcze jednego źdźbła trawy, aby miało gdzie wyrosnąć.

Kiedy twój odległy przodek, człowiek, był panem tej planety, miał sposoby na przepełnioną grządkę w swym ogrodzie. Przesadzał albo pielął. Obecnie natura w jakiś sposób zastąpiła go swoim własnym ogrodnikiem. Skąły uformowały się w przesadniki. Prawdopodobnie takie stacje jak ta znajdują się wszędzie wzdłuż wybrzeża... stacje, w których każde bezmózgie stworzenie zostanie przyjęte w celu dalszego przekazania... stacje, w których można przesadzać rośliny...

– Dokąd przesadzać? – nie wytrzymał Gren. – Gdzie jest to miejsce?

Coś przypominającego westchnienie poszybowało nawami jego umysłu.

– Czyż nie widzisz, że to są tylko moje domysły, Gren? Od kiedy połączyłem z tobą swoje siły, stałem się po części człowiekiem. Któż zna światy osiągalne dla odmiennych form życia? Słońce oznacza co innego dla ciebie, a co innego dla kwiatów. Morze jest dla nas okropne, a dla owego morskiego potwora, którego widzieliśmy... Nie znajdziemy ani słów, ani myśli, by opisać, dokąd zmierzaliśmy; skąd mamy je wziąć, kiedy wszystko było tak jawnie produktem... nie rozumujących procesów...

Gren podniósł się chwiejnie na nogi.

– Zbiera mi się na wymioty – powiedział i wytoczył się z jaskini.

– By pojąć inne wymiary, inne formy istnienia... – ciągnął smardz.

– Zamknij się, na miłość boską! – krzyknął Gren. – Jakże to ma dla mnie znaczenie, że istnieją miejsca... stany.. których nie mogę... nie mogę

dostąpić. Nie mogę, i basta. To wszystko było nieludzkim mamidłem, więc może dasz mi spokój! Zbiera mi się na wymioty.

Deszcz nieco osłabł. Delikatnie bębnił mu po wygiętym kręgosłupie, kiedy pochylony opierał głowę o pień drzewa. W skroniach mu pulsowało, oczy łzawiły, żołądek podchodził do gardła.

Będą musieli zrobić żagle z wielkich liści i odpłynąć stąd on, Yattmur i czterech pozostałych przy życiu brzunio – brzuch – ludzi. Muszą się wynosić. Może będą też musieli sporządzić z tych samych liści okrycia dla siebie, jako że się ochłodziło. Ten świat nie był rajem, ale jakoś można się w nim było urządzać.

Ciągle jeszcze pozbywał się zawartości swego żołądka, gdy usłyszał wołanie Yattmur. Podniósł oczy, uśmiechając się słabo. Wracła do niego przez zalaną deszczem plażę.

Stali, trzymając się za ręce, i Gren próbował nieskładnie opowiedzieć jej o swoich przygodach w grocie.

– Cieszę się, że wróciłeś – powiedziała łagodnie. Potrzęsnał swoją niepoprawną głową, myśląc o tym, jak piękna i dziwna była owa przygoda. Ogarnęło go znużenie i przerażenie na myśl, że muszą znowu wypłynąć w morze, a jednak nie ulegało wątpliwości, że nie mogą pozostać na wyspie.

– No, to w drogę – zakomenderował smardz we wnętrzu jego czaszki. – Jesteś rozlazły jak brzunio – brzuch.

Gren obrócił się i powoli, ciężkimi krokami, ruszył plażą w powrotną drogę, nie wypuszczając dłoni Yattmur. Zaczął dąć chłodny wiatr i pognał deszcz w morze. Czterej brzunio – brzuch – ludzie tłoczyli się tam, gdzie przykazał im czekać. Na widok Grena i Yattmur padli w samoponizeniu na piasek.

– Dajcie spokój – powiedział Gren ponuro. – Wszystkich nas czeka robota i wy zrobicie swoją część.

Klapsami w tłuste pośladki popędził ich przed sobą do łodzi. Wiatr dął nad oceanem, rzeński i ostry jak szkło. Unoszącym się hen w górze przypadkowym trawerserom łódź z sześciorgiem pasażerów jawiła się jako nic nie znacząca dryfująca kłoda. Byli już daleko od wyspy wysokiej skały. Z prowizorycznego masztu zwisał żagiel z wielkich, prymitywnie pozszywanych liści, lecz przeciwne wiatry dawno już go podarły, czyniąc

bezużytecznym. W rezultacie statek poruszał się teraz bez kontroli i silny ciepły prąd unosił go na wschód. W czasie tego dryfowania ludzie zależnie od usposobienia spoglądali z apatią bądź z lękiem. Odkąd odpłynęli z wyspy wysokiej skały, jedli kilka razy i wiele razy zapadali w sen. Gdyby tylko zechcieli podziwiać widoki, mieliby na co patrzeć. Po lewej burcie ciągnęła się długa linia brzegu, z tej odległości prezentująca jednolitą ścianę lasu na skalistym podłożu. Krajobraz nie zmieniał się w czasie niezliczonych wacht; kiedy w głębi łądu rysowały się wzgórza, co zdarzało się coraz częściej, one również były pokryte lasem. Między wybrzeżem a łodzią pojawiały się od czasu do czasu niewielkie wysepki. Porastających je zarośli nie spotykali na kontynencie. Niektóre wysepki były zwieńczone drzewami, na innych rosły kwiaty, jeszcze inne pozostawały jałowymi, skalnymi garbami.

Niekiedy wydawało się, że łódź zawadzi o podwodne rafy opasujące wysepki, ale jak dotąd prąd zawsze ją szczęśliwie znosił w ostatnim momencie. Po prawej burcie rozciągał się bezkresny ocean, tu i ówdzie upstrzony złowrogimi z wyglądu kształtami, o których naturze Gren i Yattmur nie mieli jeszcze pojęcia. Beznadziejność ich położenia, jak również jego zagadkowość ciążyła ludziom, nawet przywykłym do pośledniejszego miejsca w świecie.

Jakby nie dość mieli kłopotów, podniosła się mgła, otulając łódź i kryjąc przed nimi wszystkie widoki.

– Nigdy nie widziałam takiej gęstej mgły – powiedziała Yattmur, która stojąc przy swym partnerze, wyglądała za burtę.

– Ani tak zimnej – dodał Gren. – Zauważyłaś, co się dzieje ze słońcem?

W gęstniejącej mgle nic już nie było widać prócz morza tuż przy burcie, ogromnego, czerwonego słońca zwieszono nisko nad wodą w stronie, z której płynęli, oraz nadbiegającego po falach promienia światła. Yattmur przytuliła się do Grenu.

– Zazwyczaj słońce świeciło wysoko nad nami – powiedziała. – Teraz wodny świat grozi mu połknięciem.

– Grzybie, co się dzieje, kiedy słońce odchodzi? – zapytał Gren.

– Kiedy słońce odchodzi, wtedy jest ciemno – zabrzączał smardz i dodał z delikatną ironią: – Co sobie sam mogłeś wydedukować. Wkroczyliśmy w

krainę wiecznego zachodu słońca i prąd znosi nas coraz dalej i dalej w jej głąb.

Przemawiał powściągliwie, ale i tak Grena przebiegło drzenie ze strachu przed nieznanym. Przyłgnął bliżej do Yattmur i oboje nie spuszczała oka ze słońca, przyćmionego i powiększonego w ciężkim od wilgoci powietrzu. Kiedy tak trwali przytuleni, jeden z widmowych kształtów, widocznych po prawej burcie, legł między łodzią a słońcem, wygryzając z niego wielki, poszczerbiony kawał. Prawie jednocześnie mgła zgęstniała i słońce znikło z pola widzenia.

– Ooooh! Aaaach! – podniosły krzyk przerażenia brzunio – brzuchy Tulily się do siebie w kupie zeschniętych liści na rufie, ale teraz popędziły na dziób do Grena i Yattmur. O potężny panie, o twórczyni przekładanek! – wołały, łapiąc ich za ręce. – Cały ten potężny wodnisty płynący świat to za dużo zła, za dużo zła, ponieważ odpłynęliśmy i straciliśmy cały świat. Świat zniknął przez to, że źle płyniemy, musimy szybko dobrze popłynąć, by go odzyskać. – Ich długie owłosienie lśniło od wilgoci, przewracały oczyma w dzikim przerażeniu. Wykrzykiwały swoje niedole, podskakując przy tym jak piłki. – Jakieś stworzenie zjadło słońce, o wielki Pasterzu!

– Przestańcie się głupio wydzierać – powiedziała Yattmur. – Boimy się tak samo jak wy.

– Nie, nie tak samo! – zawołał ze złością Gren, odtrącając od siebie ich lepkie dłonie. – Nikt nie potrafi bać się tak jak oni, ponieważ oni się boją zawsze. Trzymajcie się z dala, brzunio – brzuch – beksy! Słońce wyjdzie znowu, gdy mgła opadnie.

– Dzielny okrutny Pasterzu – zawołało któreś ze stworzeń. – Ukryłeś słońce, by nas przerazić, bo nas już nie kochasz, chociaż my szczęśliwie radujemy się twoimi kochanymi razami i szczęśliwymi dobrymi złymi słowami! Ty...

Gren walnął je, zadowolony, że może się wyładować. Nieborak odskoczył z piskiem. Jego towarzysze natychmiast rzucili się na niego, poszturchując go za brak zadowolenia z potężnych razów, jakimi został zaszczycony przez swego pana. Yattmur skoczyła mu na pomoc i wtedy wszystkich zwałił z nóg potężny wstrząs. Pokład przechylił się ostro i potoczyli się razem, całą szóstką, na kupę. Obsypały ich skorupy przezroczystej substancji. Yattmur wyszła z tego bez szwanku. Podniosła

jeden odłamek. Kiedy go oglądała, w skorupie zaszła zmiana: skurczyła się, zostawiając tylko miniaturową kałużę wody w jej dłoni. Yattmur patrzyła na to zaskoczona. Nad dziobem łodzi wznosiła się ściana tej samej szklistej substancji.

– Aha, złapała nas góra mgły – rzekła w otępieniu, zdając sobie sprawę, że uderzyli w jeden z widmowych kształtów, które widzieli na morzu.

Gren poderwał się i uciszył głośnie protesty brzunio – brzuch – ludzi. W dziobie łodzi ujrzał głębokie rozdarcie, przez które sączył się niewielki strumyczek wody. Wspiął się na burtę i rozejrzał. Ciepły prąd zniósł ich prosto na wielką szklistą górę, która sprawiała wrażenie, że unosi się na falach. Erozja utworzyła w niej pochyłą półkę na poziomie wody. Tam właśnie, na tę lodową plażę, zostali wepchnięci i ona to utrzymywała strzaskany dziób łodzi częściowo nad wodą.

– Nie zatoniemy – uspokoił Yattmur – bo mamy pod sobą występ skalny. Ale lódź jest do niczego, zatonie bez tego oparcia.

Istotnie, nabierała stale wody, o czym świadczyły jęki brzunio – brzuchów.

– Co możemy zrobić? – zapytała Yattmur. – Powinniśmy byli chyba zostać na wyspie wysokiej skały?

Gren niezdecydowany rozejrzał się dokoła. Nad pokładem zwiślał ogromny rząd czegoś na kształt długich, ostrych zębów, jakby miał za chwilę przegryźć statek na pół. Wpłynęli prosto w paszczę szklanego potwora! Jej wnętrze majaczyło mgliście w zasięgu ręki, roztaczając przed ich oczyma ornament błękitno – zielonych linii i powierzchni, z których część oszałamiała morderczą pięknnością, lśniąc pomarańczowo w ciągle schowanym przed nimi słońcu.

– Lodowa bestia szykuje się, by nas pożreć! – wrzasnęły brzunio – brzuchy, rozbiegając się po pokładzie. – Och, och, nasza śmierć się rozgrzewa, by nas wchłonąć lodowato zimnymi przebrzydłymi mroźnymi szczękami.

– Lód! – wykrzyknęła Yattmur. – Tak! Jakie to dziwne, że te głupawe brzunio – beksy Rybiarze podsunęły nam wyjaśnienie. Gren, ta substancja nazywa się lodem. Na bagnistych terenach nad Długą Wodą, gdzie żyły brzunie, rosły maleńkie kwiatki zwane mrozinizinkami. Te rozkwitające w

cieniu kwiaty wytwarzały w pewnych porach lód do przechowania swoich nasion. Kiedy byłam małą dziewczynką, chadzałam na bagna po te lodowe krople i ssałam je.

– Teraz ta wielka lodowa kropla nas ssie – powiedział Gren, któremu zimna woda ze sklepienia na górze zalewała twarz. – Co robimy, grzybie?

– Musimy poszukać innego miejsca, to jest niebezpieczne – zabrzączał smardz. – Jeśli lódź ześliznie się z lodowej półki, utoną wszyscy prócz ciebie, bo lódź zatonie, a tylko ty umiesz pływać. Musisz natychmiast opuścić lódź, zabierając ze sobą brzunio – brzuchy

– Słusznie! Yattmur, kochanie, przeleż na łąd, a ja popędzę za tobą tych czterech głupków.

Czterech głupków ani myślało opuścić lódź, chociaż do połowy znajdowała się już pod wodą. Kiedy Gren darł się na nich, odskakiwali i rozpraszali się; gdy podchodził, umykali; gdy próbował ich łąpać, wywijali się z piskiem w biegu.

– Ratuj nas! Oszczędź nas, o Pasterzu! Cośmy cztery nieszczęsne, plugawe kupy kompostu zrobili, że pragniesz nas rzucić lodowej bestii? Ratunku! Pomocy! Że też byliśmy tak ohydni, że chcesz nas tak potraktować!

Gren skoczył na najbliższego i najbardziej włochatego osobnika; ten dał drapaką, że tylko piersi mu zadynały. – Nie mnie, wielki, okrutny duchu! Zabij tamtych trzech, którzy cię nie kochają, ale nie mnie, który kocha ciebie... Gren podstawił mu nogę. Brzunio – brzuch runął, głos przeszedł mu w pisk, który się urwał nagle, gdy wleciał głową do wody. Gren siadł nań błyskawicznie i jakiś czas taplali się w lodowatej wodzie, dopóki nie złapał go mocno za skórę i włosy na karku i wyciągnąwszy bełkocące stworzenie, siłą powłókł do burty łodzi. Podźwignął go i przewalił na drugą stronę, a jego szloch zatoneły w kałużach u stóp Yattmur. Przerażeni tym pokazem siły pozostali trzej brzunio – brzusie wyleżli potulnie z kątów i dzwoniąc zębami ze strachu i z zimna, dali się wprowadzić w trzewia lodowej bestii. Gren poszedł w ich ślady. Przez chwilę stali w szóstkę, zaglądając do grotu, która przynajmniej dla czworga z nich była gigantycznym gardłem.

Coś jak gdyby dzwonienie za ich plecami sprawiło, że się odwrócili. Jeden z lodowych kłów wiszących u góry pękł i zleciał. Uderzył sztorcem

w drewno pokładu jak sztylet, po czym obsunął się na bok i rozsypał na kawałki. Dźwięk znacznie głośniejszy dobiegł spod łodzi, jak odzew na dane hasło. Cała półka, na której spoczywała łódź, się odłamała. Przed ich oczyma przesunęła się krawędź cienkiego języka lodu. Nim pograżyła się w wodzie, ciemny nurt zabrał ich łódź. Obserwowali, jak znika, nabierając gwałtownie wody. Przez pewien czas byli w stanie ją śledzić: mgła się nieco uniosła i słońce jeszcze raz wymalowało pręgę zimnego ognia na powierzchni oceanu. Gren i Yattmur odwrócili się w krańcowym przygnębieniu. Po zniknięciu łodzi pozostali dosłownie i w przenośni na lodzie.

Ruszyli w jedynym możliwym kierunku, wspinając się lodowym tunelem, a cztery brzunio – brzuchy w milczeniu podążały za nimi. Przebrnęli przez zimne kałuże i uwięźli wśród lodowego szalunku, w którym każdy dźwięk odbijał się i wielokrotniał szalonym echem. Z każdym krokiem dźwięk potężniał, a tunel się kurczył.

– O duchy, nienawidzę tego miejsca! Lepiej było zginąć wraz z łodzią. Jak daleko jeszcze możemy się posuwać? zapytała Yattmur, widząc, że Gren się zatrzymał.

– Ani kroku – powiedział ponuro. – Doszliśmy do ślepego zaułka. Jesteśmy w pułapce.

Kilka wspaniałych lodowych sopli zwiisało prawie do ziemi, barykadując im drogę równie skutecznie jak opuszczona w bramie twierdzy krata. Za tą palisadą wznosiła się płaska tafla lodu.

– Wieczne kłopoty, wieczne trudności, wiecznie jakieś nowe zagrożenie! – zawołał Gren. – Człowiek to wielka omyłka, w przeciwnym razie świat byłby lepiej dla niego urządzony!

– Już ci mówiłem, że człowiek jest ślepym przypadkiem zabrzączał smardz.

– Byliśmy szczęśliwi, nim zacząłeś się wtrącać – odparł Gren.

– Do tego czasu byłeś jarzyną!

Rozwścieczony tą szpilą Gren złapał za jeden z wielkich sopli i szarpnął. Urwał go gdzieś ponad swoją głową i niczym włócznią cisnął nim w ścianę lodu.

Rozdzwoniły się dokuczliwe kuranty, gdy cała ściana rozprysła się od uderzenia. Łód spadał, kruszył się, prześlizgiwał im koło nóg, cała na pół stopiona kurtyna celebrowała swój upadek szybką dezintegracją. Ludzie przykucnęli, osłaniając głowy, a wokół nich cała góra lodowa jak gdyby się zapadła.

Kiedy ucichł łoskot, podnieśli oczy. Za powstałą szczeliną ujrzeli zupełnie nowy świat. Schwytna w przybrzeżne wiry góra lodowa spoczęła u brzegów wysepki, gdzie w objęciach niewielkiej zatoczki spływała strumieniami lez do wody. Chociaż wyspa nie wyglądała na bardzo gościnną, ludzie chłonili widok zieleni z rzadka rozsianej na łądzie, uczepionych wysepki kwiatów i pojemników nasiennych chwiejących się w powietrzu na wysokich łądogach. Tutaj mogli rozkoszować się gruntem pod nogami, który nie kołysał się bez ustanku. Nawet brzunio – brzuchy poweselały chwilowo. Z cichymi okrzykami radości ruszyły za Yattmur i Grenem wokół lodowej półki, pragnąc jak najprędzej znaleźć się pod owymi kwiatami. Bez większych oporów przekroczyły wąski przesmyk ciemnobłękitnej wody i tak oto wszyscy wgramolili się bezpiecznie na brzeg.

Wysepka z pewnością nie była rajem. Pokrywały ją spękane skały i głązy. Ale jej zaletę stanowiły mikroskopijne rozmiary: była zbyt mała, by ugościć większe gatunki groźnych roślin, jakie pleniły się na kontynencie; z mniejszymi Gren i Yattmur potrafiли sobie poradzić. Ku rozczarowaniu brzunio – brzuchów nie rosło tutaj żadne brzunio – drzewo, do którego mogliby się przyczepić. Ku rozczarowaniu smardza nie rosło nic z jego gatunku. Chociaż bardzo pragnął zawładnąć Yattmur i brzunio – brzuchami tak jak Grenem, miał jeszcze zbyt małą masę, by sobie na to pozwolić, i bardzo liczył na pomoc pobratymców. Ku rozczarowaniu Grena i Yattmur nie zamieszkiwali wysepki żadni ludzie, do których mogliby się przyłączyć. Za rekompensatę mieli strumień czystej wody, który spadał ze skały, pluszcząc wśród wielkich kamieni, jakie pokrywały znaczną część powierzchni wysepki. Najpierw usłyszeli szmer, a potem go dostrzegli. Małeńki potok opadał kaskadą na splechetek plaży i dalej do morza. Puścili się do niego biegiem po piasku, pili na miejscu, nie fatygując się na górę, gdzie woda była mniej słona. Opici, nabekawszy się do woli, wzięli kąpiel, chociaż chłód nie zachęcał do dłuższego przebywania w wodzie. No i rozgościli się jak w domu.

Mieszkali już pewien czas na wysepce i byli zadowoleni. W tym

królestwie wiecznego zachodu słońca panował chłód, więc sprokurowali sobie lepsze okrycia z liści i płożącego się mchu, owijając go ciasno wokół ciała. Mgły spowijały ich od czasu do czasu, ale potem znowu świeciło słońce, nisko nad morzem. Czasami spali, czasami wylegiwali się na zwróconych do słońca skałach, leniwie pojadając owoce i słuchając jęków przepływających w pobliżu gór lodowych. Czwórka brunio – brzuchów zbudowała sobie prymitywny szałas w pewnej odległości od Greny i Yattmur, który zawałił im się kiedyś podczas snu. Potem sypiali pod gołym niebem, w kupie liści, i tak blisko swoich panów, na ile im Gren zezwolił.

Dobrze było znowu cieszyć się szczęściem. Kiedy Yattmur kochała się z Grenem, brunio – brzuchy skakały wokoło i ścisnęły się w podnieceniu, chwając zmyślność swego pana i jego przekładankowej pani. Wielkie pojemniki nasienne grzechotały im ponad głowami. W dole biegały roślinne odpowiedniki jaszczurek. W powietrzu trzepotały sercowate motyle o szerokich skrzydłach, żyjące z fotosyntezy Życie toczyło się bez przerywników zmroku i świtu. Panowała gnuśność, rządził spokój. Ludzie z ukontentowaniem wtopiliby się w ten schemat, gdyby nie smardz.

– Nie możemy tu zostać, Gren – powiedział pewnego razu grzyb, kiedy Gren i Yattmur obudzili się z przyjemnego snu. – Dostyc wypoczywaliście, nabraliście już sił. Musimy znów ruszać w drogę, by odnaleźć więcej ludzi i założyć własne królestwo.

– Bzdury pleciesz, grzybie. Straciliśmy łoż. Musimy zostać na zawsze na tej wyspie. Może jest i chłodna, ale widzieliśmy gorsze miejsca. Zostanmy tutaj w zadowoleniu.

Brodził wraz z dziewczyną na golasa w sadzawkach, które potworzyły się między wielkimi, kanciastymi blokami kamienia na szczycie wysepki. Życie było słodkie i leniwe. Yattmur wymachiwała ślicznymi nogami, wyśpiewując którąś ze swych pasterskich piosenek; Gren ze wstrętem słuchał posępnego głosu wewnątrz czaszki. Coraz bardziej uosabiał on coś, czego nie cierpiał. Ich milczącą konwersację przerwał pisk Yattmur. Jakaś niby – dłoń z sześcioma napuchniętymi paluchami schwyciła ją za kostkę. Gren rzucił się i oderwał bez trudności to coś, co szarpało się cały czas, kiedy je oglądał.

– Głupia jestem, że narobiłam krzyku – powiedziała Yattmur. – To po prostu jeszcze jedno z owych stworzeń, które brunio – brzuchy nazywają

pełzopolami. Przyplływają z morza na ląd. Brzunio – brzuchy to łapia, rozłupują i zjadają. Te stwory są łykowate, ale słodkie w smaku.

Palce były szare i bulwiaste, pomarszczone i niesamowicie zimne. Wyginały się powoli w uchwycie Grena. W końcu odrzucił stworzenie na brzeg, skąd czmychnęło w trawę.

– Pełzopolapy przyplływają z morza i zagrzebują się w ziemi. Obserwowałam je – poinformowała go Yattmur.

Gren nic nie powiedział.

– Masz jakieś zmartwienie? – zapytała.

– Nie – rzekł apatycznie, nie chcąc przed nią zdradzać, że smardz życzy sobie, aby znów wyruszyli.

Osunął się sztywno na ziemię jak stary człowiek. Chociaż ją to zaniepokoiło, stłumiła w sobie obawy i wróciła do kąpieliska. Jednak od owego zdarzenia stale wyczuwała, że Gren odsuwa się od niej, coraz bardziej zamykając się w sobie, i wiedziała, że to wina smardza.

Gren obudził się z ich kolejnego wspólnego snu i zastał w swym umyśle już zniecierpliwionego smardza.

– Pławisz się w lenistwie. Musimy coś zrobić.

– Nam tu dobrze – odparł posepnie Gren. – Poza tym, jak mówiłem, nie mamy łodzi, by dotrzeć do wielkiego lądu.

– Łodzie nie są jedynym sposobem przekraczania mórz powiedział grzyb.

– Och, przestańże się mądrzyć, grzybie, bo nas zamęczysz na śmierć. Daj nam spokój. Jesteśmy tutaj szczęśliwi. – Szczęśliwi! Jasne! Wypuściłbyś korzenie i liście, gdybyś mógł. Gren, nie masz pojęcia, co to jest życie! Mówię ci, że przed tobą są wielkie przyjemności i szanse, jeśli tylko mi pozwolisz, bym ci dopomógł po nie sięgnąć.

– Odczep się! Nie wiem, o czym mówisz.

Zerwał się, jakby chciał uciec przed smardzem. Ale grzyb przykuł go do miejsca. Całą swoją energię wyładował Gren w falach nienawiści do grzyba – bezskutecznie jednak, bo głos w jego głowie nie milkł:

– Skoro nie chcesz zostać moim partnerem, musisz być moim

niewolnikiem. Żądza wiedzy wygasła w tobie całkowicie, będziesz więc reagował na rozkazy, nie na obserwacje.

– Nie wiem, o czym mówisz! – wykrzyknął na głos Gren, budząc Yattmur; usiadła i wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Przegapiasz tak wiele! – usłyszał smardza. – Ja widzę tylko za pośrednictwem twoich zmysłów, a jednak to ja biorę na siebie trud analizowania zjawisk i dochodzenia, co się za nimi kryje. Nie potrafisz w ogóle wykorzystać swoich informacji, podczas gdy ja rozumiem wiele. Moja jest droga do potęgi. Rozejrzyj się jeszcze raz wokół siebie! Przypatrz się tym kamieniom, po których tak beztrudno stapasz!

– Zjeżdżaj! – ponownie wykrzyknął Gren i w jednej chwili zgiął się wpół z bólu.

Yattmur podbiegła do niego i ujmując go za głowę, próbowała ukoić. Zajrzała mu w oczy. Brzunio – brzuchy podeszły w milczeniu i stanęły za nią.

– To ten magiczny grzyb, prawda? – zapytała.

Kiwnął głową bez słowa. W jego ośrodkach nerwowych ścigały się widma ognia wypalające bolesny ton w ciele. Dopóki to trwało, ledwo mógł się poruszyć. W końcu wszystko przeminęło i Gren bezradnie powiedział:

– Musimy pomóc grzybowi. Chce, abyśmy dokładniej zbadali te kamienie.

Podniósł się, drżąc na całym ciele, by zrobić to, czego od niego żądano. Yattmur stała przy nim, ze współczuciem dotykając jego ramienia.

– Po ich zbadaniu nałapiemy w sadzawce ryb i zjemy z owocami – powiedziała, objawiając kobiecy zmysł niesienia pociechy tam, gdzie jest potrzebna.

Gren wyraził swoją wdzięczność ukradkowym spojrzeniem. Wielkie kamienie od początku stanowiły element naturalnego pejzażu. Tam, gdzie przepływał wśród nich potok, tkwiły w błocie i żwirze. Porastała je trawa i turzyca, w wielu miejscach przykrywała gruba warstwa ziemi. Miejsce to szczególnie obfitowało w kwiaty, które swoje pojemniki nasienne trzymały wysoko na długich tykach; widzieli je z góry lodowej, a Yattmur na własny

użytek nazwała owe rośliny szczudłakami, na długo przed tym, nim zdała sobie sprawę, jak odpowiednia to nazwa. Po kamieniach pełzały korzenie szczudłaków, niby sploty zdrewniałego węża.

– Niech licho weźmie te korzenie – gderała Yattmur. Wszędzie ich pełno!

– Jakie to dziwne, wrastają tak samo w korzenie drugiej rośliny jak w grunt – abstrakcyjnie powiedział Gren. Przykucnął przy rozwidleniu dwóch korzeni, z których każdy należał do innej rośliny. Od wspólnego węzła opadały po kamiennym bloku do nieregularnej szczeliny między kamieniami i schodziły w głąb ziemi.

– Możesz się tam wcisnąć. Nic złego ci się nie stanie powiedział smardz. – Wleź między kamienie i zobacz, co tam widać.

Echo bolesnego tonu odezwało się ponownie w układzie nerwowym Grena. Opuścił się w dół między bloki, tak jak mu kazano, zwinnie niby jaszczurka – mimo całej niechęci. Macając ostrożnie, stwierdził, że spoczywają one na innych blokach, a tamte na kolejnych. Leżały luźno – węzłowymi ruchami był w stanie opuszczać się między ich chłodne ściany. Yattmur postępowała za nim, osypując mu na ramiona delikatny deszcz piachu. Po przeczolgananiu się w dół na głębokość pięciu bloków Gren osiągnął twardy grunt. Yattmur przybyła równocześnie z nim.

Teraz mogli posuwać się w poziomie, ściśnięci między kamiennymi powierzchniami. Kierując się ku prześwitowi, wśród ciemności trafili na obszerną przestrzeń, wystarczająco rozległą, by rozprostować ramiona.

– Czuję zapach ciemności i chłodu i boję się – powiedziała Yattmur. – Po co twój grzyb nas tu ściągnął? Co ma do powiedzenia o tym miejscu?

– Jest podekscytowany – odparł Gren, nieskory przyznać, że smardz się z nim nie komunikuje.

Stopniowo zaczęli widzieć coraz lepiej. Grunt u góry musiał się obsunąć, bo źródłem światła było słońce, które wciskając się przez szczeliny między kamieniami, zapuszczało tu wąski, sondujący promień. W jego świetle zobaczyli metal i otwór na swej drodze. Dawno temu, kiedy runęły owe kamienie, została ta szczelina. Jedynymi żywymi stworzeniami oprócz nich były tutaj korzenie szczudłaka, wkręcające się w głąb jak skamieniałe żmije.

Za namową smardza Gren pogrzebał w piachu u swych stóp. Znowu metal, kamień i cegły, przeważnie nie do poruszenia. Gmerał i szarpał, aż udało mu się wyrwać jakieś połamane kawałki urządzeń kanalizacyjnych, a następnie pasek metalu równy jego wysokości. Jeden koniec paska był poszarpany, na pozostałej części widniał szereg oddzielnych znaków układających się we wzór: "EEHGNIRWO"

– To jest pismo – wyszeptał smardz – znak człowieka, kiedy był on potężny na świecie, niezliczone wieki temu. Jesteśmy na jego tropie. To musiały być kiedyś jego budynki. Gren, wleź dalej w ten ciemny otwór i zobacz, co się jeszcze uda znaleźć.

– Tam jest ciemno! Nie mogę tam wejść. – Leż dalej, mówię ci.

Pod szczeliną połykiwały niewyraźnie szklane skorupy. Zbutwiałe drewno odpadało zewsząd, gdziekolwiek się Gren uczepił ręką. Tynk osypywał mu się na głowę podczas przeprawy. Na końcu szczeliny znajdował się uskok. Gren zjechał po osypisku gruzu do pomieszczenia, kalecząc się szkłem po drodze. Yattmur, znajdująca się po drugiej stronie, pisnęła trwożliwie. W odpowiedzi zawołał do niej łagodnie, by jej dodać otuchy, sam przyciskając dłoń do serca, aby je uspokoić.

Z łękiem rozejrzał się dokoła w całkowitej niemal ciemności. Nic się nie poruszyło. Zalegała tu cisza, gęsta aż do przesylenia, bardziej od dźwięku złowieszcza, bardziej przerażająca niżli strach. Przez chwilę stał jak sparaliżowany, dopóki go smardz nie poruszył. Połowa sklepienia zawałiła się. Metalowe belki i cegły zamieniły pomieszczenie w labirynt. Nie przystosowane oko Grenu nie potrafiło nic wychwycić. Dławił go wiekowy zaduch tego miejsca.

– W rogu. Kwadratowy przedmiot. Idź tam – rozkazał smardz, posługując się jego wzrokiem.

Gren ruszył w róg po przekątnej, z ociąganiem i ostrożnie. Coś czmychnęło spod jego nóg w przeciwnym kierunku, niż się posuwał; dostrzegł sześć grubych palców i rozpoznał peźołapa, takiego samego jak tamten, który schwycił Yattmur za kostkę. Nad nim zamajaczyła kwadratowa skrzynia, trzykrotnie od niego wyższa; jej frontową ścianę zdobiły trzy metalowe półpierścienie. Mógł dosięgnąć tylko najniższego z tych półpierścieni, które, jak pouczył go smardz, były uchwytami. Szarpnął nim posłusznie. Puściło na szerokość dłoni i zacięło się.

– Ciagnij, ciagnij, ciagnij! – buczał grzyb.

Z narastającą wściekłością Gren ciągnął, aż grzechotało całe pudło, lecz to, co smardz określił mianem szuflady, nie chciało się wysunąć dalej. Ciągnął jednak i trząsał wysoką skrzynią. Z góry coś się zsunęło. Z wysoka, sponad głowy Grena, zleciało z hukiem coś podłużnego. Kiedy uskakiwał, spadło na podłogę za jego plecami, wznosząc tuman kurzu.

– Gren! Nic ci się nie stało? Co ty tam robisz na dole? Wychodź!

– Tak, tak, już idę! Grzybie, nigdy nie otworzymy tego idiotycznego, podobnego do skrzynki przedmiotu.

– Co to za przedmiot, który prawie nas uderzył? Zbadaj to i pokaż mi. Być może to broń. Gdyby tylko udało się nam znaleźć coś, co nam pomoże...

To, co spadło, było wąskie, długie i zwężone ku końcom jak zgniecione nasienie pudłopłonu. Materiał, z którego ten przedmiot został zrobiony, miał miłą w dotyku powierzchnię, ale nie zimną jak metal. Smardz orzekł, że to pojemnik. Kiedy odkrył, że Gren może to stosunkowo łatwo unieść, wpadł w podniecenie.

– Musimy zabrać ten pojemnik na powierzchnię – powiedział. – Możesz go wciągnąć na górę. Zbadamy pojemnik w dziennym świetle i zobaczymy, co zawiera.

– Ale jak ta rzecz może nam pomóc? Czy zabierze nas na kontynent?

– Nie spodziewałem się, że tu na dole znajdziemy łódź. Nie ma w tobie za grosz ciekawości? Ten przedmiot jest znakiem potęgi. No, rusz się! Jesteś głupi jak brzunio – brzuch.

Boleśnie dotknięty tą ordynarną zniewagą Gren przebrnął przez gruzy na czworakach. Yattmur trzymała się go, ale za nic w świecie nie dotknęłaby trzymanej przez niego żółtej skrzynki. Przyciskając się genitaliami, poszeptali chwilę dla nabrania sił, po czym – to włokąc, to pchając przodem pojemnik – wydostali się między warstwami zwalonego kamienia na światło dzienne.

– Uff! Nie ma jak biały dzień – wymamrotał Gren, wdrapując się na ostatni blok.

Kiedy podrapani i poobijani wyłonili się w zamglonej przestrzeni,

przygalopowały brzunia – brzuchy z wywieszonymi w uldze językami. Tańczyły wokół swych państwa, podnosząc wrzawę skarg i wyrzutów z powodu ich nieobecności.

– Zabij nas, prosimy bardzo, okrutny panie, zanim znów wskoczysz w usta ziemi! Wymorduj nas nikczemnym mordem, zanim zostawisz nas samych do walki w nieznanym walkach samotnie!

– Macie za grube brzuchy, aby precyzyjnie się z nami na dół tą szczeliną – powiedział Gren, oglądając markotnie swoje skaleczenia. – Jeśli tak się cieszycie z naszego widoku, to proszę, przynieście coś do zjedzenia.

Oboje z Yattmur obmyli zadrapania i siniaki w potoku, po czym całą uwagę Grena zaprzętnął pojemnik. Kucnąwszy przy nim, obrócił go ostrożnie kilka razy. Było coś niesamowitego w jego symetrii, która Grena trwożyła. Brzunia – brzuchy najwyraźniej czuły to samo.

– Ten w dotyku bardzo dziwny kształt jest dziwnym złym kształtem do dotykania – jęknął któryś z nich, podskakując w miejscu. – Proszę go tylko dotknąć, żeby wyrzucić w pluszczący wodny świat.

Przyłgął do swych towarzyszy i wszyscy razem spoglądali w dół w głupkowanym podnieceniu.

– To sensowna rada – odezwała się Yattmur, lecz pod presją smardza Gren usiadł i wziął pojemnik między stopy i dłonie. Badając pudło, wyczuwał, że grzyb przechwytuje jego wrażenia w chwili, gdy docierają do mózgu; dreszcze przebiegały mu po krzyżu.

Na wierzchu pojemnika znajdował się jeden z owych ornamentów, które smardz nazywał pismem. Ten wyglądał jak SZCZEKACZKA albo AKZCAKEZCZS, w zależności od tego, z której strony się patrzyło, a za nim szło kilka rzędów podobnych, lecz drobniejszych wzorów. Gren zaczął szarpać i poszturchiwać pojemnik. Nie otwierał się. Brzunia – brzuchy szybko straciły zainteresowanie i gdzieś powędrowały. Gren sam odrzuciłby tę rzecz w krzaki, gdyby go smardz nie przytrzymał przy niej, naciskając i ponagłając. Przesuwał palcami wzdłuż jednego z boków, gdy nagle odskoczyło wieko. Gren i Yattmur spojrzeli na siebie pytająco, a następnie opuścili spojrzenia na przedmiot w pojemniku, przykucnąwszy w kurzu i z lękiem w oczach. Był on z takiego samego co pojemnik jedwabistego żółtego materiału. Gren wydobyl go z respektem i umieścił na ziemi.

Wydobycie z pudełka zwolniło sprężynę: trójstronnie złożony przedmiot, dopasowany do wymiarów miejsca swego spoczynku, rozłożył nagle iótte skrzydła. Stał między nimi ciepły, niezwykły i ambarasujący Brzunio – brzuchy podpełzy z powrotem, by mu się przyjrzeć.

– To jest jak ptak. – Grenowi brakło tchu. – Czy rzeczywiście to nie wyrosło, czy mogli to zrobić ludzie tacy jak my? – Jest takie gładkie, takie... – Kiedy słowa zawiodły,

Yattmur wyciągnęła dłoń i pogłaskała tę dziwną rzecz. Nazwiemy to Pięknością – powiedziała.

Czas i wieloletnie oddziaływanie warunków atmosferycznych zniszczyły pojemnik, ale skrzydlaty przedmiot prezentował się jak nowy. Gdy dłoń dziewczyny przesunęła się po jego powierzchni, zapadkowe wieczko odsłoniło wnętrze. Czterech brzunio – brzuchów dało nogę w najbliższe krzaki.

Wykonane z dziwnych materiałów, metali i plastyków wnętrzości żółtego ptaka stanowiły cud dla oka. Znajdowały się tam małe szpule, rząd gałek, obwody wzmacniające lśniły jak labirynt cudownych jelit. Opanowana ciekawością dwójka ludzi nachyliła się, ręce same im się wyciągnęły. Przepelnieni zdumieniem pozwolili swoim palcom, owym czterem palcom z przeciwstawnym kciukiem, które tak daleko zawiodły ich przodków, nacieszyć się rozkoszą dotykania wyłączników. Gałki strojenia dały się obracać, wyłączniki zaskakiwały. Prawie bez szmeru Piękność oderwała się od ziemi, zawisła na poziomie ich oczu, uniosła nad głowy. Krzyknęli w osłupieniu i odskoczyli do tyłu, łamiąc po drodze żółty pojemnik. Piękności było wszystko jedno. W glorii silnikowego napędu krążyła nad nimi, błyszcząc bogato w słońcu. Osiągnąwszy dostateczną wysokość, przemówiła.

– Oczyszczyć świat dla demokracji! – zawołała. Głos nie był donośny, ale przenikliwy.

– Ach, to mówi! – krzyknęła Yattmur, z zachwytem spoglądając na połyskujące skrzydła. Podniecone brzunio – brzuchy pojawiły się, wybiegając na spotkanie Piękności, padały na wznak ze strachu, kiedy przelatowała nad nimi, zatrzymywały się zbite z tropu, gdy krążyła wokół nich.

– Któż zmontował katastrofalny strajk portowców w trzydziestym

pierwszym?! – pytała retorycznie Piękność. – Ci sami ludzie, którzy was dzisiaj z przyjemnością zakolczykują. Pomyślcie o sobie, przyjaciele, i głosujcie na naszą partię. Głosujcie za wolnością!

– O... czym to mówi, grzybie? – zapytał Gren.

– Mówi o zakładaniu ludziom kótek w nosy – odparł smardz, równie jak Gren zbity z tropu. – To właśnie nosili ludzie, kiedy byli cywilizowani. Słuchaj i spróbuj się czegoś nauczyć.

Piękność latała wokoło jednego z wysokich szczudłaków i z lekkim buczeniem emitowała okolicznościowe slogany Uczucie, że zdobyła sojusznika, ogromnie podniosło ludzi na duchu; przez długie chwile stali z zadartymi głowami, zapatrzeni i zasluchani. Brzunio – brzuchy poklepywały się po brzuchach zachwycone błżeństwami Piękności.

– Wracajmy i spróbujmy wykopać drugą zabawkę – zaproponowała Yattmur.

– Grzyb mówi nie – odparł Gren po krótkim milczeniu. On chce, abyśmy schodzili na dół, kiedy my nie chcemy; kiedy chcemy pójść, on nie chce. Nie wiem, o co mu chodzi.

– Toś głupi – odburknął smardz. – Ta kołująca Piękność nie zabierze nas na brzeg. Chcę się zastanowić. Musimy sobie sami poradzić, chciałbym się przypatrzeć tym krzewom szczudłaków. Cicho bądź i nie przeszkadzaj mi.

Nie kontaktował się z Grenem przez dłuższy czas. Gren i Yattmur mogli znów swobodnie kąpać się w sadzawce i zmyć podziemny brud z ciała i włosów, podczas gdy brzunio – brzuchy rozłożyli się w pobliżu prawie bez narzekań, urzeczeni niezmiernie krążącym nad nimi żółtym ptakiem.

Potem polowali za szczytem wysepki, z dala od kamiennych ruin. W górze Piękność kołowała w ślad za nimi, wykrzykując od czasu do czasu:

– Nasza partia i dwudniowy tydzień pracy!

Wziąwszy sobie do serca słowa smardza, Gren zwrócił większą uwagę na krzewy szczudłaków. Pomimo mocno rozbudowanej siatki korzeni same kwiaty były skromne, jakkolwiek nachylając się do słońca, wabiły sercowate motyle. Pod pięcioma jaskrawymi, prostymi płatkami wyrastała nieproporcjonalnie wielka torba nasienna o kształcie sześciobocznego bębna z przypominającymi ukwiały wyrostkami na każdej ścianie.

Wszystko to obejrzał Gren bez większego zainteresowania. Bardziej sensacyjne było to coś, co się działo z kwiatami po zapyleniu. Yattmur mijala właśnie taki kwiat, kiedy bzyknął koło niej pszczelec i wylądowawszy na słupku, zaczął po nim łązić. Roślina zareagowała gwałtownie na zapylenie. Z dziwnym, przenikliwym dźwiękiem kwiat wraz z bębniem nasiennym wystrzelił ku niebu na rozwijającej się z bębna sprężynie. Przerazona Yattmur wskoczyła w pobliski krzak, Gren za nią. Wyrzeli ostrożnie, przyglądając się, jak sprężyna odwija się coraz wolniej. W ciepłe słońca wyprostowała się i zastygła w wysoką tyczkę. Sześcioboczny bęben kołysał się w blasku słońca, hen nad ich głowami.

Dla ludzi nie istniały cuda roślinnego królestwa. Wszystko, co nie stanowiło dla nich zagrożenia, niewiele ich interesowało. Widzieli już bujające wysoko szczudłaki.

– Statystyki wykazują, że powodzi ci się lepiej niż twym szefom – powiedziała Piękność i obleciawszy nowy słup, zawróciła. – Niech los Międzyplanetarnego Związku Przewoźników w Bombaju będzie dla was ostrzeżeniem. Stań w obronie swoich praw, dopóki jeszcze je masz.

Zaledwie o parę krzaków dalej następny szczudłak wystrzelił w powietrze, prostując sztywniejącą tyczkę.

– Wracajmy – powiedział Gren. – Chodźmy popływać. Zaledwie skończył, smardz zakleszczył go jak w imadle. Gren zachwiał się i stawiał opór, lecz przeszyty bólem, runął jak długi na krzaki.

– Gren! Gren! Co się stało!?! – dyszała Yattmur, podbiegając do niego. Złapała go za ramiona.

– Ja... ja.... ja... – słowa więzły mu w gardle.

Sina plama wokół jego warg rozlewała się coraz szerzej. Zdrętwiał cały. Smardz karcił go porażeniem systemu nerwowego.

– Zbyt łagodnie się z tobą obchodziłem, Gren. Jesteś rośliną! Ostrzegałem cię. W przyszłości ja będę częściej rozkazywał, a ty częściej słuchał. Wprawdzie nie oczekuję, że zaczniesz myśleć, ale możesz przynajmniej dokonywać dla mnie obserwacji. Oto jesteśmy u progu odkrycia czegoś cennego na temat tych roślin, a ty idiotycznie odwracasz się plecami. Czy chcesz zgnieć na tej skale? Teraz leż spokojnie i patrz albo czekają cię takie same katusze jak ta.

Gren zwinął się w męczarniach, szorując twarzą po trawiastym gruncie.

Yattmur podniosła go, nawołując po imieniu, przepelniona litością.

– To ten czarnoksięski grzyb! – powiedziała, spoglądając z obrzydzeniem na bezlitośnie połyskującą wokół jego szyi krezę. Oczy zaszyły jej łzami. – Gren, kochany, chodźmy już. Znowu nadciąga mgła. Musimy wracać do siebie.

Pokręcił głową. Znowu panował nad swoim ciałem, w tej chwili przynajmniej; skurcze ustały, ale trząsał się jak galareta.

– Smardz sobie życzy, abym tu został – powiedział bezbarwnym tonem. Łzy bezradności stanęły mu w oczach. Ty wracaj do brzunia – brzuchów.

Podniosła się strapiona. Wykręcała dłonie w bezsilnej złości.

– Wrócę niedługo.

Brzunia – brzuchy wymagały opieki. Były zbyt głupie niemal na to, by jeść z własnej inicjatywy, wymagały zachęty. Schodząc ostrożnie ze stoku, Yattmur wyszeptwała:

– O duchy słońca, przegnajcie tego magicznego grzyba okrucieństwa i przebiegłości, zanim zabije mego ukochanego. Na nieszczęście duchy słońca prezentowały się wyjątkowo marnie. Zimny wiatr wiał od wody, niosąc ze sobą mgłę, która przesłoniła światło. W pobliżu wyspy żeglowała góra lodowa; jej skrzypienie i trzaski dały się słyszeć, nawet kiedy zniknęła już we mgle jak widmo.

Gren leżał bez ruchu, na pół ukryty w krzakach, i patrzył. Piękność unosiła się w górze, ledwo widoczna w gęstniejącej mgle, wykrzykując z przerwami swoje hasła. Trzeci szczudłak wystrzelił z piskiem w niebo. Gren patrzył, jak się prostuje, wolniej od swych poprzedników, gdy zabrakło słońca.

Kontynent zniknął mu z pola widzenia. Trzepoczący motyl przemknął koło niego bezpowrotnie; pozostał samotny na nie znanej nikomu wyżynie, otoczony przez wszechświat wodnistej ciemności. W dali jęczała góra lodowa, jej skarga niosła się monotonnym echem przez ocean. Gren był sam, odseparowany od swego gatunku przez magicznego smardza, który kiedyś karmił go nadziejami i marzeniami podboju, a teraz wywoływał w nim tylko mdłości. Ale nie widział żadnego sposobu pozbycia się grzyba.

– O, następny – zauważył smardz, wdzierając się z premedytacją w jego myśli.

Czwarty szrudłak wyskoczył z pobliskiej skały. Jego pojemnik majaczył nad nimi jak odcięta głowa zawieszona na brudnej ścianie mgły. Powiew schwytał ją i zderzył z sąsiadem. Ukwiałowate wyrostki przylgnęły do siebie, szepiając na stałe obydwaj pojemniki chwiejące się łagodnie na swoich długich łodygach.

– Ha! – wyrzekł smardz. – Patrz dalej, człowieku, i nie zamartwiaj się. Te kwiaty nie są osobnymi roślinami. Dopiero sześć, ze wspólnym układem korzeniowym, tworzy jedną roślinę. Wyrosły z dobrze nam znanych pełzołapów, sześciopalcych, bulwiastych korzeni. Patrz, to zobaczysz, że dwa pozostałe kwiaty tej właśnie grupy zostaną w krótkim czasie zapylone.

Coś z podniecenia grzyba udzieliło się Grenowi, rozgrzewając go, kiedy tak leżał skulony wśród zimnych kamieni. Skoro nie mógł robić nic innego, wytrzeszczał oczy i czekał przez wieki całe.

Wróciła Yattmur; zarzuciła na niego uplecioną przez brzunio – brzuchy matę i legła obok prawie bez słowa. Wreszcie zapylony piąty kwiat szrudłaka zniennać zagrzechotał, wznosząc się. Jego wyprężona tyczka skłoniła się ku jednemu z sąsiadów; zespoliły się i jednocześnie przechyliły do drugiej pary, zwierając się z nią tak, że wiązka czterech tyczek oraz jeden wspólny pojemnik sterczały teraz wysoko nad głowami ludzi.

– Co to znaczy? – zapytała Yattmur.

– Zaczekaj – szepnął Gren. Ledwo to powiedział, gdy ostatni już, szósty, zapłodniony bęben podążył do swych braci. Zawisł drżący we mgle w oczekiwaniu na ruch powietrza; dmuchnął wiatr i prawie bezdźwięcznie wszystkie sześć bębnow zbiło się w jeden lity korpus. W powietrznym całunieniu wyglądało to niby jakieś latające stworzenie.

– Czy możemy już iść? – spytała Yattmur. Gren dygotał.

– Każ dziewczynie, żeby przyniosła ci coś do jedzenia zabrzczał smardz. – Ty musisz tu jeszcze zostać.

– Masz tutaj zostać na zawsze? – Yattmur była zirytowana przekazaną jej przez Grenę wiadomością.

Pokręcił głową. Sam nie wiedział. Zniecierpliwiona Yattmur zniknęła

we mgle. Sporo czasu minęło, nim powróciła, a do tej pory szczudłak posunął się już o krok dalej w swej ewolucji. Mgła się nieco rozstąpiła. Promienie słońca padły na szczudłaka, który rozblęsnął jak odlew z brązu. Jakby zachęcony niewielką dodatkową ciepłotą, szczudłak poruszył jedną ze swoich sześciu tyczek. Odłamał od systemu korzeniowego jej dolny koniec, zamieniając tyczkę w nogę. Tę operację powtórzyła każda z pozostałych nóg. Kiedy ostatnia została uwolniona, szczudłak okręcił się i... – och, widzieli to jak na dłoni – pojemniki nasienne zaczęły schodzić ze wzgórz na szczudłach, powoli, lecz miarowo.

– Idź za nim – zabrzączał smardz.

Dźwignąwszy się na nogi, Gren ruszył za stworzeniem, krocąc równie sztywno jak ono. Yattmur towarzyszyła mu w milczeniu. Żółte urządzenie również, tyle że górą. Szczudłak wybrał przypadkowo ich tradycyjną drogę do plaży Kiedy brzunio – brzuchy ujrzały, jak nadciąga, z piskiem uciekły w krzaki. Niewzruszony szczudłak trzymał kurs – ostrożnie przeschudłował przez ich obóz i wkroczył na piasek. Tutaj też się nie zatrzymał: wszedł w morze i wkrótce niewiele poza bryłą sześcioczęściowego korpusu wystawało ponad wodę. Brodząc w kierunku wybrzeża, powoli rozplynął się we mgle. Piękność pogoniła za nim ze swoimi sloganami i powróciła w ciszy.

– Widzisz! – zagrzniał smardz, pobrzękując tak donośnie wewnątrz czaszki Grena, że chłopak złapał się za głowę. – Tędy wiedzie nasza droga do wolności, Gren! Szczudłaki wyrastają tutaj, gdzie mają dosyć miejsca dla swojego pełnego rozwoju, po czym wracają na kontynent, aby się wysiać. A skoro te wędrownie rośliny potrafią dotrzeć do brzegu, mogą nas tam zabrać ze sobą.

Niby – kolana szczudłaka zdawały się nieco pod nim uginać. Powoli, jedna za drugą, poruszał swymi sześcioma nogami, z typową dla roślin długą przerwą po każdym kolejnym kroku, jakby mu długie stawy usztywnił reumatyzm.

Gren miał duże kłopoty z usadzeniem na nim brzunio – brzuchów. Dla nich wysepka była czymś, czego należało się trzymać za cenę razów; ani im było w głowie zamieniać ją na jakąś wydumaną przyszłą szczęśliwość.

– Nie możemy tu pozostać, prędzej czy później skończy się żywność – oświadczył Gren trzęsącym się ze strachu przed nim brzuchem – ludziom.

– O mężu Pasterzu, z przyjemnością usłuchamy ciebie, odpowiadając "tak". Kiedy skończy się tu cała żywność, wtedy odejdziemy z tobą przez wodnisty świat na szczudłochodzie. Teraz jemy mnóstwem zębów cudowne jedzenie i nie odchodzimy, dopóki się całe nie skończy.

– Wtedy będzie za późno. Musimy ruszać teraz, kiedy szczudłaki odchodzą.

I znowu protesty, walenie się w pośladki, udręka.

– Czyż kiedykolwiek przedtem widzieliśmy szczudłochody, by szczudłować z nimi, kiedy szczudłochodzą? Gdzież one były wtedy, kiedy my ich nigdy nie widzieliśmy? Okrutny mężu Pasterzu i ty, pani przekładanko, teraz wy, dwoje ludzi bez ogonów, macie ochotę pójść z nimi. My tej ochoty nie mamy. My nie mamy nic przeciw temu, by nigdy nie widzieć tych szczudłochodów szczudłochodzących.

Gren niedługo ograniczał się do słownej perswazji; za pomocą kija brzunio – brzuchy zostały szybko przekonane o słuszności jego argumentów i metod działania. Sapiących i prychających zapędził pod kępę kwiatów szczudłaka, których pączki dopiero co się otworzyły Kwitły obok siebie na krawędzi opadającego do morza brzegu. Yattmur z Grenem poświęcili nieco czasu na zebranie pod kierunkiem smardza żywności, zawinęli ją w liście i umocowali cierniami do bębnow szczudłaka. Wszystko było przygotowane do podróży

Czterech brzunio – brzuchów zmuszono do wdrapania się na cztery bębny. Nakazawszy im trzymać się mocno, Gren chodził od jednego do drugiego, przykładając kolejno dłoń do upudrowanego wnętrza kwiatu. Jeden za drugim pojemniki strzelały w powietrze przy akompaniamencie wrzasku kurczowo czepiającego się życia pasażera.

Tylko z czwartym pojemnikiem coś nie wyszło. Ten właśnie kwiat wychylony był w stronę krawędzi urwiska. Kiedy odwinęła się sprężyna, dodatkowy ciężar bębna zniósł go nieco w bok. Szczudłak przekrzywił się jak struś, któremu złamano szyję, a brzunio – brzuch ryczał i wierzgał zwisającymi w powietrzu nogami.

– O mamuniu! O brzuniu! Ratuj swego tłustego ślicznego syna! – wołał, ale żadna pomoc nie nadchodziła. Palce puściły. Z deszczem prowiantów wpadł do morza Ikar dla ubogich, protestując do końca. Porwał go prąd. Zobaczyli, jak wartki nurt wsysa jego głowę. Uwolniony od bagażu bęben

szczudłaka odbił do góry i uderzając w trzy już wyprostowane, scementował się z nimi w mocną całość.

– Kolej na nas! – powiedział Gren, odwracając się do Yattmur. Nie odrywała spojrzenia od powierzchni morza. Ujął ją za ramię i popchnął pod dwa nie wystrzelone kwiaty. Nie okazując złości, uwolniła się z jego uścisku.

– Czy mam cię sprać jak brzunio – brzucha? – zapytał. Nie odwzajemniła uśmiechu. Gren wciąż trzymał swój kij. Kiedy zobaczył, że dalej się nie uśmiecha, ujął go mocniej. Posłusznie wspięła się do wielkiego, zielonego bębna szczudłaka. Ściskając jedną dłonią żyłki liścia, drugą pogmerali w kwiatowych słupkach. W następnej chwili oni również wirowali coraz wyżej w powietrzu. Piękność zataczała wokół nich koła, agitując przeciwko zyskom z kapitałów. Yattmur była przerażona do utraty zmysłów. Padła twarzą między pyłkowe pręciki, dusząc się niemal od zapachu kwiatu, niezdolna do żadnego ruchu. Zakręciło jej się w głowie. Poczowała nieśmiałą dłoń na ramieniu.

– Jeżeli zgłodniałaś ze strachu, nie jedz kwiatu wstrętnego szczudłaka, ale skosztuj dobrej ryby bez chodzących nóg, którą my, sprytnie ludzkie typy, łapiemy w sadzawce!

Podniosła wzrok na brzunio – brzucha i zobaczyła poruszające się nerwowo wargi, wielkie, łagodne oczy, osad pyłku komicznie rozjaśniający mu włosy. Nie miał za grosz przyzwoitości. Jedną ręką drapał się w kroku, drugą podawał jej rybę. Yattmur wybuchnęła płaczem. Skonsternowany brzunio – brzuch podpełzł bliżej, obejmując ją za ramiona włochatą ręką.

– Nie czyń rybie za dużo mokrych łez, kiedy ryba nie czyni ci krzywdy – powiedział.

– To nie dlatego – odparła. – To dlatego, że sprawiliśmy wam, biedakom, tyle kłopotów....

– O, my biedni brzunio – bracia, całkiem zgubieni! – zaczął, a jego dwaj towarzysze przyłączyli się do lamentu: – To prawda, że okrutnie sprawiliśmy nam tak wiele kłopotów.

Gren obserwował łączenie się sześciu pojemników w jedną bryłę. Z niepokojem spoglądał w dół, aby uchwycić pierwsze oznaki odrywania się nóg szczudłaka od korzeni. Żałobne jęki odwróciły jego uwagę. Jego kij

wylądował z hałasem na pulchnych ramionach. Pociuszający Yattmur brzunio – brzuch wycofał się z płaczem. Obaj kompani również się odsunęli.

– Wara od niej! – wrzasnął Gren z wściekłością. Podniósł się na kolana.
– Wy, plugawe brzuch – ogony, jeśli jeszcze raz ją tkniecie, zrzucę was na skały.

Yattmur przypatrywała mu się, pokazując zęby między rozciągniętymi wargami. Nie odezwała się. Nikt się więcej nie odezwał, dopóki wreszcie szczudłak nie drgnął i nie ruszył przed siebie.

Gren wyczuł u smardza podniecenie pomieszane z triumfem, kiedy długoszczudłe stworzenie zrobiło pierwszy krok. Kolejno ruszyło wszystkimi sześcioma nogami. Przystanęło, nabierając równowagi. Ruszyło ponownie. Zatrzymało się. Po czym podjęło marsz z mniejszym już wahaniem. Powoli zaczęło iść po stoku w dół, ku łagodnej pochyłości plaży, tam gdzie zniknął jego krewniak, gdzie oceaniczny prąd był słabszy. Piękność towarzyszyła im w powietrzu.

Szczudłak wkroczył w morze z marszu. Niebawem woda skryła mu nogi prawie całkowicie, przelewając się ze wszystkich stron.

– Wspaniale! – wykrzyknął Gren. – Nareszcie wolni od tej przeklętej wyspy.

– Nic nam złego nie zrobiła. Nie mieliśmy tam wrogów odparła Yattmur. – Mówiłeś, że chciałbyś tam pozostać.

– Nie mogliśmy zostać tam na zawsze. – Nadąwszy się, powtórzył jej dokładnie to, co powiedział brzunio – brzuchom. – Twój magiczny grzyb jest za elokwentny – stwierdziła Yattmur. – Myśli tylko, jak by tu wszystkich wykorzystał: brzunio – brzuchy, ciebie, mnie, szczudłaki. Ale szczudłaki nie zostały stworzone dla niego. Nie dla niego znalazły się na wyspie. Były na długo przed naszym przyjściem. Wyrosły dla samych siebie, Gren. I nie dla nas wędrują teraz do brzegu, lecz dla siebie. Siedzimy sobie na jednym z nich, myśląc, jacy to jesteśmy sprytni. A jak to jest z tym naszym sprytem? Te nieszczęsne rybo – brzuchacze uważają siebie za sprytnie, a dla nas są głupawe. To może my jesteśmy głupi?

Nie słyszał, żeby kiedykolwiek tak przemawiała. Gapił się na nią, nie wiedząc, co odpowiedzieć, dopóki rozdrażnienie nie ułatwiło mu zadania.

– Nienawidzisz mnie, Yattmur, inaczej byś tak nie mówiła. Czy ci coś złego zrobiłem? Czyż nie kocham cię i nie osłaniam? My wiemy, że brzunio – brzuchy to półgłówki, a skoro różnimy się od nich, nie możemy być głupcami. Mówisz to, żeby mnie dotknąć.

Yattmur zignorowała te wszystkie nie związane z meritum sprawy uwagi. Ciągnęła posępnie, jakby Gren nic nie powiedział:

– Jedziemy na tym szczudłaku, nie wiedząc, dokąd on podąży. Bierzymy jego życzenie za własne.

– Idzie na kontynent, to jasne – rzekł Gren ze złością.

– Czyżby? Może byś tak rozejrzał się wokół siebie? Zrobiła ręką gest, za którym Gren podążył wzrokiem.

Kontynent był widoczny; ku niemu wyruszali. Po czym szczudłak natrafił na podwodny prąd i posuwał się teraz dokładnie w przeciwną stronę, równoległe do wybrzeża. Przez długi czas Gren spoglądał ze złością, aż wreszcie niepodobna było wątpić w to, co się dzieje.

– Jesteś zadowolona! – zasyczał.

Yattmur nie odpowiedziała. Schyliwszy się, zanurzyła dłoń w wodzie, ale szybko ją wyciągnęła. Prąd, w który wkroczył szczudłak, był zimny, a oni posuwali się do jego źródła. Coś z tego chłodu przeniknęło do jej serca.

Opływała ich lodowata woda, niosąc góry lodowe. Szczudłak parł naprzód równo jak po sznurku. Nie zmniejszył tempa, nawet kiedy w pewnej chwili schował się częściowo pod wodą, przemaszając pięcioro swoich pasażerów. Nie był sam. Dołączyły doń szczudłaki z innych wysp przybrzeżnych, kierując się wszystkie w tę samą stronę. Nastął czas ich migracji, wędrówki ku nieznanym zagonom siewnym. Góry lodowe wyrzuciły do góry nogami i potrzaskały niektóre osobniki, ale pozostałe nie przerywały marszu. Do ludzi w ich tratwopodobnym gnieździe dosiadały się od czasu do czasu pełzolapy, identyczne z tymi, jakie spotykali na wyspie. Poszarzałe z zimna bulwiaste dłonie wychylały się z wody, przemykając chyłkiem w poszukiwaniu ciepłego miejsca. Jeden wspiął się na ramiona Grenowi, który z obrzydzeniem strzepnął go daleko w morze.

Brzunio – brzuchy niewiele sobie robiły z łączących po nich zimnych gości. Gren rozpoczął racjonowanie jedzenia, gdy tylko się zorientował, że

nie dotrą do brzegu tak szybko, jak oczekiwali, więc brzunia – brzuchy popadły w apatię. Chłód też nie poprawiał ich położenia. Wydawało się, że słońce zamierza właśnie utonąć w morzu, a zimny wichur nie ustawał ani na chwilę. To znów na leżących bezradnie sypanął z czarnego nieba grad i prawie obłupił ich ze skóry. Nawet dla tych, którzy nie mieli wyobraźni, musiało to wyglądać na podróż donikąd. Ściany mgły zamykały się wokół nich raz za razem, a kiedy mgła się podnosiła, widzieli hen na horyzoncie przed sobą nigdy nie jaśniejącą linię ciemności, coraz groźniejszą i bliższą. Ale przyszedł czas, że szcudłak wreszcie zboczył ze swego kursu. Jazgot trójki brzunia – brzuchów zerwał ze snu Grenu i Yattmur splecionych ze sobą pomiędzy pojemnikami nasiennymi.

– Mokra mokość mokrego świata pozostawia nas zziębniętych brzunia – brzuchów, spadając w dół i skapując po długich nogach. Śpiewamy głośne okrzyki szczęścia, bo musimy wyschnąć albo umrzeć. Nic nie jest tak cudowne, jak zostać ciepłym, suchym brzunia – brzuchem – bratem, a właśnie ciepły suchy świat idzie do nas.

Gren z irytacją otworzył oczy, by zobaczyć, skąd to podniecenie. Rzeczywiście, znów widzieli nogi szcudłaka. Wydostawszy się z zimnego prądu, brnął do brzegu, nie zmieniając ani na chwilę rytmu sztywnego kroku. Gęsto pokryte wielkim lasem wybrzeże było już blisko.

– Yattmur! Jesteśmy ocaleni! Nareszcie zmierzamy w kierunku brzegu! – odezwał się do niej Gren po raz pierwszy od dłuższego czasu.

Wstała. Wstały brzunia – brzuchy Raz przynajmniej cała piątka zjednoczyła się we wzajemnych, pełnych ulgi poklepywaniach. Piękność pokrzykiwała do nich z góry:

– Nie zapominaj, co się stało z Ligą Milczącego Oporu w czterdziestym piątym! Upominaj się głośno o swoje prawa! Nie słuchaj drugiej strony, nie wierz kłamliwej propagandzie. Nie daj się złapać w tryby delhijskiej biurokracji i intryg komunistów! Dziś już daj odpór Małpiej Partii Pracy!

– Będziemy wkrótce suchymi fajnymi facetami! – wołały brzunia – brzuchy.

– Rozpalimy ogień, jak tylko tam dotrzemy – postanowił Gren.

Yattmur ucieszyła się, widząc go w lepszym nastroju, jednak tknięta nagle złym przeczuciem zapytała:

– Jak my zejdziemy?

Gren spojrzał na nią i gniew zapłonął w jego oczach, gniew, że go ściągnęła na ziemię. Kiedy nie odpowiedział od razu, odgadła, że naradza się ze smardzem.

– Szczudłak będzie szukał dla siebie miejsca do wysiewu – powiedział.

– Po znalezieniu miejsca osiadzie na ziemi. Wtedy zejdziemy. Nie potrzebujesz się martwić, ja tu rządę.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego mówi tak twardym tonem.

– Ależ ty nie rządysz tutaj, Gren. To stworzenie idzie tam, gdzie chce, a my nie mamy na nie żadnego wpływu. Właśnie dlatego się martwię.

– Głupia jesteś, to się martwisz.

Choć ją to dotknęło, postanowiła za wszelką cenę nie poddawać się pesymizmowi.

– My wszyscy przestaniemy się zamartwiać, gdy dotrzemy do brzegu. Może wtedy będziesz dla mnie trochę miłszy. Jednakże ład niezbyt ciepło ich powitał. Kiedy spoglądali ku niemu z nadzieją, para wielkich, czarnych ptaków poderwała się z lasu. Rozpostarły skrzydła i wzbily się ponad wierzchołki, zawisły w powietrzu, po czym skierowały się w stronę szczudłaka, przedzierając się z ociężałym łopotem przez powietrze.

– Nie ruszać się! – krzyknął Gren, wyciągając nóż.

– Bojkotuj szympansie towary! – wołała Piękność. – Nie dopuszczaj Małpiej Partii Pracy do swej fabryki. Popieraj Niełatwy Antytrójdzielny Plan!

Szczudłak brodził już po płyciźnie. Czarne skrzydła śmignęły na niewielkiej wysokości, łopocząc coraz bliżej niego w podmuchu zgnilizny. W chwilę potem potężne szpony wyrwały Piękność ze spokojnego lotu i uniosły ją do brzegu. Dobiegł ich jej oddalający się patetyczny krzyk:

– Walcz o dziś, by obronić jutro! Ocal świat dla demokracji!

Po czym ptaki ściągnęły ją na dół między gałęzie. Szczudłak sunął teraz do brzegu, woda ściekała po jego cienkich odnóżach. Widzieli jego czterech czy pięciu krewniaków, którzy albo robili to samo, albo się właśnie do tego zabierali. Ich ożywienie, ich niemal ludzkie poczucie celu wyodrębniły je z posępnego otoczenia. W tej okolicy ani Yattmur, ani

Gren nie wyczuwali życia, jakie przesycalo znany im poprzednio świat. Zaledwie cień pozostał z tamtego ciepłarnianego kręgu. Słońce leżało na horyzoncie jak krwawe oko na płycie. Wszędzie panował zmierzch. Na niebie przed nimi zbierała się ciemność. Zdawało się, że w morzu wymarło życie. Żadnych monstualnych wodorostów okalających brzeg; w skalnych sadzawkach nie plusnęła żadna ryba. Tę pustkę podkreślał przyprawiający o dreszcz spokój oceanu, jako że wiedzione instynktem szczudłaki wybrały na swą wędrówkę okres ciszy. Podobny spokój zdominował ład. Las rósł dalej, jednak był to las ogłuszony cieniem i chłodem, półżywy las przytłumiony błękitami i szarościami nieprzerwanego wieczoru.

Przesuwając się między karłowatymi pniami, ludzie widzieli w dole pleśń płamiącą listowie. W jednym tylko miejscu świeciła jaskrawo odrobina złota. Zawołał do nich jakiś głos:

– Głosuj dziś na naszą partię, głosuj za demokracją! Szczekaczka leżała jak popsuta zabawka tam, gdzie porzuciły ją ptaki, łyskała jednym skrzydłem wśród wierzchołków drzew; kiedy brnęli w głąb ładu już poza zasięgiem jej głosu, nie zaprzestawała nawoływania.

– Kiedy się zatrzymamy? – wyszeptwała Yattmur.

Gren milczał zgodnie z jej przewidywaniem. Twarz miał zimną, stęzałą, nawet nie spojrzął w jej stronę. Wbiła paznokcie w dłoń, by powstrzymać gniew. Wiedziała, że to nie jego wina.

Szczudłaki sunęły ostrożnie ponad lasem, pilnie zważając na każdy krok; liście szorowały im po nogach, czasami sięgając tułowi. Zawsze odwrócone tyłem do słońca, na poły schowanego w stertach skistych liści. Maszerowały nieustannie ku ciemności znaczącej kres jasnego świata. W pewnej chwili stado czarnych ptakorośli podniosło się z wierzchołków drzew i odfrunęło w stronę słońca, ale szczudłaki nie miały zamiaru zmieniać kierunku.

Pomimo swego zauroczenia, mimo narastającego lęku, ludzie chcąc nie chcąc, musieli znów uszczuplić swoje racje żywnościowe, musieli też w końcu ułożyć się do snu, ciasno stłoczeni. Gren wciąż milczał. Zasnęli, a gdy się przebudzili, wracając niechętnie do zimnej rzeczywistości, zmienił się widok wokół nich, chociaż trudno powiedzieć, że na lepszy.

Szczudłak przekraczał właśnie płytką kotlinę. Pod nimi rozciągała się ciemność i tylko pojedynczy promień słońca oświetlał roślinne cielsko, na

którym jechali. Las niezmiennie porastał grunt, ale tak był zniekształcony że przywodził na myśl dopiero co oślepego człowieka, który potykając się, wyciąga przed siebie ramiona i palce z przestrachem widocznym w rysach twarzy. Tu i ówdzie zwisał liść, poza tym gałęzie były nagie, wykrzywione w groteskowe kształty, tam gdzie wielkie, samotne drzewo, które z czasem obróciło się w dżunglę, walczyło o prawo do życia w miejscu dla siebie nie przeznaczonym.

Trzy brzunio – brzuchy zadrżały z niepokoju, spoglądając nie w dół, lecz przed siebie.

– O brzuchy i ogony! Oto na zawsze nadchodzi pochłaniająca wszystko otchłań nocy. Dlaczego nie umarliśmy smutno, szczęśliwie dawno, dawno temu, kiedy wszyscy byliśmy razem i wspólne pocenie się było tak soczyste miłe, tak dawno temu?

– Cicho tam, cała banda! – zawołał Gren, ściskając swój kij. Własny głos zabrzmiał mu w uszach głucho i niepewnie, gdy echo mu go przyniosło.

– O wielki, mały bezogoniasty Pasterzu, dlaczego nie wyświadczyłeś nam łaski i nie zabiłeś nas, zabijając okrutnie, kiedy mogliśmy się pocić w czasie, kiedy jeszcze rośliśmy na długich ogonach szczęścia? Teraz nadchodzi tu czarny dawny koniec świata kłapiący szczękami nad nami bez ogonów. O nieszczęsne szczęśliwe słońce, o my nieszczęśliwi!

Nie mógł powstrzymać ich lamentów. Przed nimi leżała nawarstwiona jak pokłady łupku ciemność. Podkreślając jedynie pstrą czerń, sterczało pojedyncze niewielkie wzgórze. Wznosiło się przed nimi hardo, biorąc ciężar nocy na swe wątle barki. Słońce padało na jego górne poziomy, a każde takie złociste dotknięcie było ostatnim wyzwaniem kolorowego świata. Poza nim zalegał mrok. Zaczęli się już piąć na to wzgórze. Szczudłak mozolnie brnął ku światłu. Dostrzegli jeszcze pięć szczudłaków rozrzuconych po dolinie, jednego w pobliżu, cztery dalsze na pół zagubione w mroku.

Ich szczudłak ciężko harował, gdy jednak wygramolił się na słońce, szedł dalej bez zatrzymania. Las także przeprowił się przez kotlinę cienia. Po to przecież przedzierał się przez ciemność: by rzucić ostatnią falę swej zieleni na ostatni skrawek oświetlonego gruntu. Tutaj na spoglądających w wiecznie zachodzące słońce stokach rozbijał się w swej dawnej obfitości.

– Może się tu zatrzyma – powiedziała Yattmur. – Myślisz, że się zatrzyma, Gren?

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

– Musi tu stanąć. Jakże może pójść choćby kawałek dalej?

– Mówię ci, że nie wiem. Nie wiem.

– A twój smardz?

– On też nie wie. Daj mi spokój. Czekaj i patrz końca. Nawet brzunio – brzuchy zamilkły, z mieszaniną trwogi i nadziei popatrując na przedziwną scenę wokół siebie.

Szczudłak wspinał się ze skrzypieniem na wzgórze i nic nie wskazywało na to, by miał kiedykolwiek przystanąć. Jego długie nogi niezmordowanie odnajdywały bezpieczne przejścia wśród listowia, aż stało się jasne, że dokądkolwiek zmierza, nie zatrzyma się tutaj, w tym ostatnim bastionie światła i ciepła. Znajdowali się już na szczycie wzgórza, a on wciąż maszerował, automatyczne, roślinne stworzenie nagle przez nich znienawidzone.

– Ja skaczę! – krzyknął Gren, stając na nogi. Dojrawszy szaleństwo w jego oczach, Yattmur nie była pewna, czy to on powiedział, czy smardz. Oplotła ramionami jego uda, wołając, że się zabije. Znieruchomiał z kijem wzniesionym w połowie zamachu do ciosu – szczudłak, nie zatrzymując się, począł schodzić nie oświetlanym zboczem wzgórza.

Słońce opromieniało ich jeszcze tylko przez moment. Po raz ostatni mignął im świat ze złotem w mglistym powietrzu, podłoże czarnych liści i inny szczudłak majaczący z lewej strony. Po czym zbocze pagórka drgnęło i stoczyli się na dół w świat nocy. Jednocześnie wydali okrzyk, który odbił się echem w niewidzialnych pustkowiach wokół nich i zamarł w locie.

Dla Yattmur istniało tylko jedno możliwe wytłumaczenie: ze świata wkroczyli w śmierć. W osłupieniu wtuliła twarz w miękkie, włochate bok najbliższego brzunio – brzucha, dopóki powtarzające się miarowo wstrząsy szczudłaka nie przekonały jej, że nie straciła jeszcze łączności z otoczeniem.

Przemówił Gren, trzymając się kurczowo tego, co mu powiedział smardz.

– Ten świat jest na stałe zwrócony jedną połową do Słońca... my posuwamy się w głąb nocnej strony, przez terminator... w nieustanną ciemność...

Zęby mu dzwoniły. Yattmur objęła go, otwierając oczy, by po raz pierwszy poszukać wzrokiem jego twarzy, która unosiła się w ciemności jak widmo. Ale nawet w tym widmie znalazła ukojenie. Gren wziął ją w ramiona i przykucnęli razem, dotykając się policzkami. W tej pozycji nabrała dość ciepła i odwagi, by rozejrzeć się chyłkiem dokoła. W swej i trwodze wyobrażała sobie miejsce ogłuszającej pustki, myśląc, że pewnie wpadli w jakąś muszlę kosmicznego oceanu wyrzuconą na mityczne plaże nieba.

Rzeczywistość okazała się mniej frapująca, za to znacznie bardziej przykra. Bezpośrednio nad nimi pozostało wspomnienie słonecznego światła, rozjaśniając padół, w którym się znaleźli. Tę poświatę rozszczeptał rzucony przez łapę czarnego olbrzyma cień, rozrastający się coraz bardziej na niebie, i w ów cień właśnie zstępowali.

Ich schodzeniu towarzyszyły dudniące odgłosy. Yattmur wyjrzała na dół i zobaczyła, że kroczą przez pokład wijących się robaków. Robaki waliły o tyczkowate nogi szczudłaka, który ruszał się teraz z wielką ostrożnością, aby nie stracić równowagi. Połyskując żółtawo w wąłym świetle, robaki kłębiły się, stawały dęba i uderzały z furją. Niektóre z nich były tak długie, że aż sięgały miejsca, gdzie przycupnęli ludzie; Yattmur widziała miseczkowate chwytники na łbach śmigających na wysokości jej twarzy. Nie potrafiła orzec, czy owe chwytники są gębami, oczami czy organami pochłaniającymi resztki ciepła, jakie tu pozostały. Ale jej jęk grozy wyrwał z letargu Grena, który niemal z radością zabrał się do tępienia potworów, przynajmniej zrozumiałych i namacalnych, rąbiąc podobne do kałamarnic żółte węże wychylające się z mroku.

Szczudłak z ich lewej strony również był w tarapatkach. O ile mogli się zorientować w zamazanym obrazie, wkroczył on w obszar wyrośniętych, większych robaków. Tkwił unieruchomiony na tle jasnej połaci terenu leżącego daleko w bok od wzgórza, podczas gdy las bezkostnych paluchów dosłownie gotował się wokół niego. Szczudłak zachwiał się; upadł bezgłośnie, a robaki wytyczyły kres jego długiej wędrówki.

Nie dotknięty katastrofą szczudłak niosący ludzi na grzbiecie wciąż sunął w dół, był już poza terenem największego skupiska napastników.

Wrośnięte w ziemię robaki nie mogły ruszyć za nim w pościg. Pozostając w tyle, stawały się coraz krótsze, rzadziej rozrzucone, aż wreszcie wystrzelały tylko w pęczkach, które szczudłak wymijał. Odetchnąwszy nieco, Gren skorzystał z okazji, by dokładniej zlustrować otoczenie. Yattmur skryła twarz w jego ramionach; zrobiło jej się mdło – nic już więcej nie chciała widzieć.

Głazy i kamienie zaścielały grubą warstwą grunt pod nogami szczudłaka. Wszystko to naniosiła prastara rzeka, już nie istniejąca, jej dawne koryto znaczyło dno kotliny. Przekroczywszy je, rozpoczęli wspinaczkę na pozbawioną jakiegokolwiek roślinności pochyłość.

– Umrzujemy! – zajączał któryś z brunio – brzuchów. – To zbyt okropne żyć w krainie śmierci. Zrób wszystkie rzeczy takimi samymi, wielki Pasterzu, pozwól nam skorzystać z zarznięcia swym przytulnym i okrutnym rznącym mieczem. Daj brunio – brzuch – ludziom szybkie i krótkie zarznięcie, by opuścili ten długi kraj. O, o, o, zimno nas parzy, długie zimno! Zimno!

Wypłakiwali chórem swój lęk. Gren pozwolił im się wylamentować. Wreszcie, coraz bardziej znużony ich wrzaskami, które jakże dziwnym echem niosły się przez dolinę, podniósł kij, by im przyłożyć. Yattmur go powstrzymała.

– Czyż nie mają powodu do lamentu? – zapytała. – Ja bym raczej lamentowała z nimi, niż zabierała się do bicia, jako że niebawem czeka nas wspólna śmierć. Zaszliśmy w zaświaty, Gren. Tutaj żyć może tylko śmierć.

– My może i nie jesteśmy wolni, ale szczudłaki są. Nie podążałyby ku własnej śmierci. Stajesz się brunio – brzuchem, kobieto!

Milczała przez chwilę.

– Potrzeba mi pociechy, nie wymówek – odezwała się ponownie. – Choroba rusza się jak śmierć w moim brzuchu. Mówiąc to, nie wiedziała, że choroba w jej brzuchu nie była śmiercią, lecz życiem. Gren nie odpowiedział. Szczudłak miarowo szedł pod górę. Ukołysana żałobnymi zawodzeniami brunio – brzuchów, Yattmur przysnęła. Obudził ją chłód; monotonne pienia ucichły, wszyscy jej współtowarzysze spali. Za drugim razem obudziła się, słysząc płacz Grena, ale pogrążona w letargu ponownie uległa męczącemu snom. Ocknęła się jeszcze raz, całkowicie przytomna. Ponury mrok rozdzielała bezkształtna, czerwona masa, zawieszona

najwyraźniej w powietrzu. Lęk i nadzieja zapierały jej dech, kiedy potrzała Grenem.

– Patrz, Gren! – zawołała, wskazując przed siebie. – Coś się tam pali! Dokąd my zmierzamy?

Szczudłak przyspieszył, jakby zwietrzył cel podróży. Z głębi deprymującej ciemności patrzyli na to coś przed sobą. Długo jeszcze musieli wyteżać wzrok, nim pojęli, co przed nimi leży. Tuż powyżej rozciągała się krawędź kotliny. W miarę jak szczudłak się do niej zbliżał, widzieli coraz więcej z tego, co było do tej pory zakryte. W pewnej odległości za krawędzią wyrastała góra o trójzębnym wierzchołku. Ona to właśnie świeciła ową czerwienią.

Osiągnąwszy brzeg kotliny, szczudłak niezgrabnie przestąpił krawędź i góra ukazała się w całej okazałości. Żaden widok nie dorównałby wspaniałością temu obrazowi. Wszędzie dokoła panowała wszechwładnie noc albo jej blady brat zmrok. Żadnego ruchu, jedynie chłodny powiew sunął przez niewidzialne doliny u ich stóp, chyłkiem, niczym obcy przybysz w zrujnowanym mieście o północy. Skoro nie znajdowali się poza światem, jak pierwotnie myślała Yattmur, to w każdym razie byli poza światem roślinności. Absolutna pustka zaciemniała absolutną ciemność w dole, wzmacniając ich najcichszy szept do bełkotliwego wrzasku. Z całej tej pustki wysuwała się góra, wysoka i majestatyczna; jej podnóże ginęło w czerni, a szczyty strzelały na tyle wysoko, by ubiegać się o względy słońca i opływając w różane ciepło, rzucać odbłask owej jasności w szeroką dolinę mroku u swych stóp.

Gren chwycił Yattmur za ramię i wskazał w milczeniu. Inne szczudłaki tak jak oni przedarły się przez ciemność – trzy widać było w przodzie, jak miarowo pięły się na stoki. Nawet ich odległe i niesamowite sylwetki łagodziły uczucie osamotnienia. Yattmur obudziła brzucio – brzuchy, żeby im to pokazać. Trzy pulchne stworzenia, objąwszy się wzajemnie ramionami, wlepiły wzrok w górę.

– Och, oczy widzą dobry widok! – wysapały

– Bardzo dobry – przytaknęła.

– O, bardzo dobry, pani przekładanko! Ten wielki kawałek dojrzałego dnia sprawia, że wzgórze góry wyrasta w tym miejscu nocy i śmierci. To jest cudowny kawałek słońca, abyśmy w nim zamieszkali jak w

szcześliwym domu.

– Może i tak – zgodziła się, chociaż już przewidywała trudności przekraczające ich ograniczoną zdolność pojmowania.

Pięli się dalej. Jaśniało coraz bardziej. Wreszcie wychynęli poza granicę cienia. Błogosławione słońce oświetliło ich ponownie. Chłonęli jego widok, mało nie oślepli, aż w mrocznych dolinach zatańczyły im przed oczyma pomarańczowozielone plamy Wyciśnięte jak cytryna i wyżarzone na czerwono przez atmosferę słońce płonęło powolnym ogniem, docierając do nich zza wyszczerbionej krawędzi świata; jego promienie torowały sobie drogę ponad panoramą cienia. Jakieś dwie dziesiątki szczytów wysuwały się z czerni, rozbijając najniższą warstwę słonecznego blasku niczym szereg rozrzuconych reflektorów, co tworzyło cudowny dla oka wzór złoceń. Obojętny na te widoki szczudłak z uporem kontynuował wspinaczkę, skrzypiąc nogami przy każdym kroku. Ignorując jego marsz pod górę, przemknął dołem jakiś i przypadkowy pełzołap schodzący w zasnutą kirem dolinę. Wreszcie szczudłak osiągnął siodło między dwoma spośród trzech wierzchołków. Staął.

– Na duchy! – zawołał GrAn. – Wygląda na to, że nie zamierza dźwigać nas ani kawałka dalej.

Brzunio – brzuchy w podnieceniu podniosły harmider, ale Yattmur rozglądała się z powątpiewaniem.

– Jak zejdziemy na ziemię, jeśli szczudłak nie osiądzie, tak jak powiedział smardz?

– Musimy jakoś zleźć – powiedział po krótkim namyśle Gren, widząc, że szczudłak nie zdradza żadnych oznak ruchu.

– Zobaczę, jak ty będziesz schodził. Nogi zeszytywniały mi jak kołki z zimna i zbyt długiego siedzenia w kucki.

Rzuciwszy jej wyzywające spojrzenie, Gren wstał i przeciągnął się. Zbadał sytuację. Bez liny nie było mowy o spuszczeniu się na dół. Gładkie, obłe powłoki bębnow nasiennych wykluczały możliwość zjechania na ziemię po nogach szczudłaka. Gren usiadł ponownie, zapadając w ciemność.

– Smardz radzi nam odczekać – powiedział.

Objął ramieniem Yattmur, zawstydzony własną bezradnością. Czekali. Zjedli jeszcze po kęsie ze swych zapasów, które zaczęły porastać pleśnią. Z konieczności zapadli w sen, a po przebudzeniu zastali scenerię prawie nie zmienioną, tyle że przybyło jeszcze kilka szczudłaków, stojących teraz w ciszy niżej na zboczach, i gęstych chmur, które ciągnęły po niebie.

Ludzie leżeli bezradnie, podczas gdy natura wokół nich była cały czas w ruchu. Oni stanowili jak gdyby jej zupełnie bezużyteczny trybik. Wielkie, czarne, napuszone chmury wytaczały się spoza szczytów góry, w przełęczach obracając się w kwaśne mleko wszędzie tam, gdzie rozjarzyło je słońce. Wreszcie zakryły i słońce. Pochłonęły całe zbocze. Zaczął sypać śnieg – niemrawe, wilgotne płatki jak chore pocałunki. Pięcioro ludzi stłoczyło się razem, wystawiając plecy na zawieję. Szczudłak zadygotał pod nimi. Wkrótce jego drżenie przeszło w miarowe kołysanie. Nogi szczudłaka zagłębiły się nieco w rozmokły grunt i zaczęły się powoli pacyć od wilgoci. Szczudłak robił się coraz bardziej krzywonogi. Pozostałe sztuki na zamglonym stoku szły w jego ślady nieco wolniej, bo bez obciążenia na grzbiecie.

Teraz nogi szczudłaka dygotały coraz bardziej, a całe ciało osuwało się coraz niżej. Zdarte od niezliczonych kilometrów wędrówki i nadwężone od wilgoci złącza nie wytrzymały i puściły. Sześć nóg szczudłaka odpadło na boki, a on sam runął na podmokły grunt. Sześć bębnow nasiennych roztrzaskało się od uderzenia, rozsypując na wszystkie strony ząbkowane nasiona.

Owo skotłowane rumowisko pośrodku śnieżycy stanowiło jednocześnie koniec i początek drogi krzewu szczudłaka. Zagrożony jak wszystkie rośliny strasznym problemem przepelnienia cieplarnianego świata, rozwiązał go, wkraczając w te zimne regiony poza zasięgiem lasu. Na tym i kilku podobnych zboczach w strefie zmierzchu szczudłaki odbywały jedną z faz swego nie kończącego się cyklu rozwojowego. Rozrzucone nasiona miały tu sporo miejsca i nieco ciepła; wiele z nich wykiełkuje teraz i wyrosnie na krzepkie, maleńkie pełzołapy; niektóre z tych pełzołapów pokonają tysiące przeszkód i ostatecznie przedrą się do regionów prawdziwego ciepła i światła, aby tam zapaść korzenie, rozkwitnąć i podtrzymać odwieczny roślinny sposób życia.

Ludzie zostali rozrzućeni dokoła w błoto wraz z bębniami. Podnieśli się, obolali, trzeszczało im w skostniałych stawach. Śnieg kłębił się i wirował

wokół nich tak gęsty, że ledwo dostrzegali swoje sylwetki, zamienione w złudne kolumny bieli. Yattmur chciała jak najprędzej zebrać razem brzunio – brzuch – ludzi, zanim się pogubią. Dojrzawszy majaczącą w przyćmionym świetle postać, podbiegła i schwyciła ją za ramię. Z warknięciem obróciła się do niej jakaś twarz; żółte zęby i płonące ślepie zamigotały jej przed oczami. Skuliła się w obawie przed atakiem, ale stworzenie dało susa i zniknęło. A więc pierwszy znak, że nie są sami na tej górze.

– Yattmur! – zawołał Gren. – Tutaj są brzunio – brzuchy! Gdzie jesteście?!

Przybiegła do niego jak na skrzydłach, ze strachu zapomniawszy o odrętwieniu.

– Tutaj jest coś jeszcze. Jakieś białe stworzenie, dzikie, z zębami i wielkimi uszami.

Rozglądali się z Grenem dokoła, podczas gdy trójka brzunio – brzuchów przyzywała duchy śmierci i ciemności.

– Nic nie widać w tym okropnym zamęcie – powiedział Gren, strzepując śnieg z twarzy.

Stali zbici w ciasną gromadkę – Gren i Yattmur trzymali noże w pogotowiu. Śnieg zelzał raptownie, przeszedł w deszcz i ustał. Gdy ulewa zamierała, dostrzegli sznur kilkunastu białych postaci przechodzących granią na mroczną stronę góry. Ciągnęły za sobą obciążone workami sianie; z jednego worka sypały się nasiona szczudłaka, znacząc ich drogę. Promień słońca przeszył melancholijne stoki góry. Białe stworzenia przyspieszyły i przepadły za przełęczą, jakby się go obawiały.

Gren i Yattmur popatrzyli na siebie.

– Czy to były istoty ludzkie? – spytał Gren.

Wzruszyła ramionami. Nie wiedziała. Nie miała pojęcia, co znaczy "istota ludzka". Brzunio – brzuchy, leżące teraz w błocie i pojękujące – czy to są też istoty ludzkie? A Gren, tak ostatnio nieprzenikniony – wyglądało, że smardz posiadał go bez reszty – czy można powiedzieć, że jest jeszcze istotą ludzką? Tyle zagadek, niektórych nawet nie potrafiła wyrazić słowami, a co dopiero mówić o rozwiązaniu...

Ale słońce znów ją ogrzewało. Niebo było obrzeżone mieszaniną grafitu

i pozłoty. Na stoku powyżej widniały jaskinie. Mogli do nich pójść i rozniecić ogień. Jest szansa, że przeżyją i że znów będą zasypiać w ciepłe...

Odgarnawszy włosy z twarzy, Yattmur ruszyła wolno w górę. Choć ocieżała i strapiona, wiedziała jedno: że pozostali pójdą za nią.

Znośne było życie na wielkim stoku, czasami nawet bardziej niż tylko znośne, człowiekowi bowiem niewiele potrzeba do szczęścia. W ogromnym i strasznym pejzażu ludzie przestali się w ogóle liczyć. Sielanka Ziemi i dramaty pogody rozwijały się, nie biorąc ich pod uwagę. Pomiędzy stokiem a chmurą, wśród błota i śniegu pędzili swój skromny żywot. Jakkolwiek dzień i noc nie znaczyły już upływu czasu, to inne wydarzenia odmierzały jego przemijanie. Wzmagały się burze i spadała temperatura, czasami lał deszcz lodowaty albo gorący jak ukrop, aż musieli chronić się z krzykiem w swoich jaskiniach. Gren posępniał, w miarę jak smardz zyskiwał coraz większy wpływ na jego wolę. Grzyb pograżał się w medytacjach, świadom tego, jak to własny spryt zawiódł go w ślepią uliczkę; dręczony potrzebą rozmnażania odciął Gren od kontaktu ze współtowarzyszami. Jeszcze jedno wydarzenie potwierdziło nieprzerwany bieg czasu. Wśród burzy Yattmur powiła syna. Stanowił on uzasadnienie jej istnienia. Nazwała go Laren i była zadowolona.

W odległym zakątku Ziemi Yattmur kołysała swoje dziecko w ramionach i chociaż zasnęło, nuciła mu jeszcze. Wyższe partie góry pławiły się w promieniach wiecznie zachodzącego słońca, podczas gdy niższe ginęły w mrokach nocy. Cały ów poszarpany obszar należał do ciemności, z rzadka rozświetlanej czerwonymi latarniami tam, gdzie góry – kamienna imitacja żywych istot – sięgały do światła.

Nawet w zakątkach najgęstszej ciemności nie było absolutnej czerni. Jak nie było absolutnej śmierci – chemikalia, życia przeistaczały się, by zrodzić dalsze życie – tak ciemność należało traktować jako po prostu niższy stopień jasności, domenę stworzeń wypartych z jaśniejszych i gęściej zamieszkałych rejonów. Do takich wygnańców należały pióroskóry – właśnie para młodych polatywała nad głową matki, uprawiając akrobację – to pikowały w dół ze złożonymi skrzydłami, to rozpostarłszy je, szybowwały w górę z prądem cieplejszego powietrza.

Dziecko otworzyło oczy i matka wskazała mu latające stworzenia.

– Tam fruną, Laren, siuuup w dół w kotlinę i... patrz, o, tam!... hen

wysoko, z powrotem w słońce.

Dziecko słuchało jej i marszczyło nos. Skórzaste latacze nurkowały i nawracały, błyskając w świetle przed pogrążeniem się w gęstej siatce cieni, aby ponownie wystrzelić jak gdyby z morza, aż do pułapu chmur. Chmury świeciły jak brąz, tworząc krajobraz na równi z górami; odbijały światło ponad zaciemnionym poniżej światem i rozpraszały je swymi konturami niczym deszcz, aż pustkowiec migotały ulotną złocistą poświatą. Pośród tej krzyżowej siatki jasności i zmierzchu przemykały pióroskóry karmiące się zarodnikami, których zawsze nanosiło tu w obfitości z rozległej maszyny rozrodczej pokrywającej słoneczną stronę planety.

Niemowlak Laren gruchał z zachwytu i wyciągał ręce; matka Yattmur gruchała również, przepelniona radością z każdego ruchu dziecka. Właśnie jeden z ptaków nurkował pionowo. Yattmur zauważyła z nagłym zaskoczeniem, że stracił panowanie nad lotem. Pióroskór wpadł w korkociąg, a jego partner schodził za nim z potężnym łopotem. Przez krótką chwilę myślała, że wyrówna, ale wyrznął w zbrocze z donośnym hukiem.

Yattmur wstała. Mogła stąd dojrzeć pióroskóra – nieruchomy kopczyk, ponad którym trzepotał jego osierocony partner. Nie była jedynym świadkiem tragicznego nurka. Dalej na wielkim stoku jeden z brzunio – brzucho – ludzi popędził do leżącego ptaka, nawołując po drodze swoich towarzyszy. W czystym powietrzu słyszała wyraźnie słowa "chodźcie zobaczyć oczami opadłe ptaki skrzydlaki", słyszała dudnienie jego stóp po ziemi, gdy klusował w dół zbocza. Jak prawdziwa matka przyglądała się wszystkiemu z uwagą i tuląc Larena, drżała przed każdym wydarzeniem, które mogłoby zakłócić jej spokój.

Coś jeszcze poza nimi zainteresowało się powalonym ptakiem. Yattmur spostrzegła grupę postaci pośpiesznie wyłaniających się spoza ostrogi skalnej poniżej zbocza. Naliczyła osiem na biało ubranych zjaw ze sterczącymi ryjami i wielkimi uszami, rysujących się ostro na tle ciemnoniebieskiego mroku doliny. Wlekli za sobą sanie. Nazywali z Grenem owe stworzenia górosłuchami i mieli się przed nimi na baczności, jako że górosłuchy były szybkie i dobrze uzbrojone; nigdy jednak nie niepokoily ludzi. Na chwilę uchwyciła żywy obraz: trójka brzunio – brzucho – ludzi cwałujących w dół zbocza, osiem górosłuchów sunących pod górę i samotny pozostały przy życiu ptak krążący nad nimi, niepewny,

czy zostać przy martwym bracie, czy uciekać. Górosłuchy miały łuki i strzały; drobne, ale wyraźnie widoczne w oddali podniosły swoją broń i nagle Yattmur ogarnął niepokój o trzech tłustych półgłówków, z którymi tyle przewędrowała. Przycisnąwszy Larena do piersi, zerwała się i zawołała:

– Hej, brzunie, wracajcie!

W tej samej chwili przodownik dzikich górosłuchów zwolnił cięciwę. Szybko i pewnie pofrunęła strzała i osierocony pióroskór zleciał spiralnie na ziemię. Pierwszy z brzunio – brzuchów uskoczył przed nim z piskiem. Strącony ptak uderzył go między łopatki, bijąc jeszcze skrzydłami. Brzunio – brzuch zachwiał się i runął, a ptak trzepotał przy nim coraz słabiej. Grupa brzunio – brzuchów zetknęła się z górosłuchami. Yattmur zawróciła i puściła się biegiem.

Wpadła do zadymionej jaskini, w której mieszkała z Grenem i dzieckiem.

– Gren! Chodź, proszę. Pozabijają brzunio – brzuchy. Oni są na zewnątrz, te okropne, wielkouche białasy na nich napadają. Co robić?

Gren leżał wsparty o skalny filar, rękę zaplótł na brzuchu. Słyszając Yattmur, utkwił w niej martwe spojrzenie, po czym znowu spuścił oczy. Jego twarz okrywała bladość, która kontrastowała z bogatym, wątrobianym brązem, jaki połyskiwał wokół głowy i szyi, okalając twarz miękkimi fałdami.

– Zrobisz coś? – zapytała. – Co się z tobą ostatnio dzieje?

– Brzunio – brzuchy są dla nas bezużyteczne – powiedział Gren.

Wstał jednakże. Wyciągnęła dłoń, którą ujął apatycznie, i zaciągnęła go do wylotu jaskini.

– Polubiłam tych nieboraków – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

Spoglądali w dół stromego stoku, gdzie na tle kurtyny cienia poruszały się sylwetki. Trzy brzunio – brzuchy wracały na górę, wlokąc ze sobą jednego pióroskóra. Za nimi szły górosłuchy ciągnące swoje sanie, na których znajdował się drugi pióroskór. Obie grupy posuwały się zgodnie razem, paplając wśród ożywionej gestykulacji brzunio – brzuchów. – I co

ty na to?! – zawołała Yattmur.

Dziwna to była procesja. Górosłuchy miały spiczaste z profilu ryje, poruszały się w chaotyczny sposób, opadając czasami na czworaki, aby pokonać pochyłość. Ich mowa docierała do Yattmur krótkimi, urywanymi szczeknięciami, ale zakładając nawet, że to, co mówili, było zrozumiałe, i tak znajdowali się za daleko, by rozróżniła słowa.

– Co powiesz, Gren? – powtórzyła.

Nic nie powiedział, wpatrzony w grupę, która teraz wyraźnie zmierzała ku jaskini zamieszkiwanej zgodnie z jego nakazem przez brzunio – brzuchy. Kiedy mijali zagajnik szczudłaków, zauważył, że wskazują ze śmiechem w jego kierunku. Nawet się nie oburzył. Yattmur podniosła na niego oczy przepełnione nagłym współczuciem z powodu zmiany, jaka w nim ostatnio zaszła.

– Strasznie mało mówisz i strasznie źle wyglądasz, kochanie. Przeszliśmy razem tak długą drogę, ty i ja, mając tylko siebie nawzajem, a jednak teraz mam wrażenie, jakbyś się oddalał ode mnie. Z mego serca wypływa tylko miłość do ciebie, z moich ust tylko życzliwość. Ale miłość i życzliwość już cię nie wzruszają. O Gren, o mój Grenie!

Objęła go wolnym ramieniem, ale zaraz poczuła, jak się odsuwa. Odezwał się jednak, dobywając słów, jakby każde z nich było kawałkiem lodu:

– Pomóż mi, Yattmur. Bądź cierpliwa. Jestem chory.

Yattmur była już zaabsorbowana inną sprawą.

– Wyzdrowiejesz. Ale co robią tamte dzikie górosłuchy? Myślisz, że one są przyjazne?

– Najlepiej idź i zobacz – powiedział Gren tym samym lodowatym tonem.

Uwolnwszy się z jej objęcia, wrócił do jaskini i przyjmując swą poprzednią pozycję, legł z dłońmi splecionymi na brzuchu. Yattmur przysiadła u wejścia do jaskini, nie wiedząc, co robić. Brzunio – brzuchy zniknęły z górosłuchami w swojej jaskini. Dziewczyna, bezradna, nie ruszyła się z miejsca. W górze gromadziły się chmury. Wkrótce zaczęło padać, deszcz przechodził w śnieg. Laren zapłakał, więc dała mu piersi.

Myśli dziewczyny z wolna uleciały hen daleko, gdzieś poza deszcz. Wokół niej w powietrzu zawisły niejasne obrazy, które pomimo braku logicznego ciągu stanowiły jej sposób rozumowania. Maleńki czerwony kwiatusek przedstawiał jej bezpieczne dni z plemieniem Pasterzy albo też, z minimalnym zaledwie przesunięciem akcentu, ją samą, tak jak były nią samą tamte bezpieczne dni: nie widziała siebie jako zjawiska wyodrębnionego z otaczających ją wydarzeń. A kiedy próbowała tego dokonać, widziała siebie jedynie w oddali, w tłumie ciał czy też jako fragment płasów, lub dziewczynę, na którą przyszła kolej pójścia z wiadrami do Długiej Wody. Dni czerwonego kwiatka minęły, poza tym, że świeży pączek rozwijał płatki u jej piersi. Przeminał tłum ciał, a wraz z nimi zniknął symboliczny złoty szal. Cudowny szal! Wieczne słońce nad głową jak ciepła kąpiel, niewinne ciało, szczęście nieświadome samo siebie – oto były nici złotego szala, jaki sobie wyobraziła. Wyraźnie widziała siebie, jak go odrzuca, aby pójść za przybłądą, którego wartość polegała na tym, że uosabiał nieznanne. Nieznane było wielkim zwiędłym liściem, pod którym coś się czaiło. Szła w ślad za liściem, jej maleńka postać przybliżyła się jakoś i wyostrzyła, podczas gdy szal i czerwone płatki uleciały wesoło z jednokierunkowym wiatrem czasu. Teraz ożył liść toczący się razem z nią, a ona przybrała wielką, kipiącą ruchem postać krainy mlekiem i miodem płynącej, otwar tej na wszystkie strony. I takiej muzyki jak melodia ożywionego liścia nie było w czerwonym kwiecie.

Jednak wszystko to się rozplynęło. Wkroczyła góra. Góra i kwiat stanowiły przeciwieństwa. Góra staczała się nieustannie jednym, stromym zboczem, które nie miało ani dna, ani wierzchołka, chociaż jej podnóże tkwiło w czarnej mgłę, a szczyt w czarnej chmurze. Czarna mgła i chmura dosięgały jej wszędzie w tych jej marzeniach, jak ideogram zła, a jednocześnie dzięki innemu z owych maleńkich przesunięć akcentu zbocze stawało się nie tylko jej obecnym, ale całym jej życiem. W umyśle nie istnieją paradoksy, lecz chwile, a w chwili zbocza wszystkie barwne kwiaty i szale, i ciało jak gdyby nigdy nie istniały.

Grzmot zagrzecgotał nad prawdziwą górą i budząc Yattmur z zamyślenia, rozproszył jej obrazy. Obejrzała się na Grenę w głębi jaskini. Nie ruszał się. Nie patrzył na nią. Śniąc na jawie, znalazła odpowiedź, której szukała, i powiedziała sobie:

– To ten magiczny smardz jest przyczyną całej biedy. Laren i ja jesteśmy tak samo jego ofiarami jak biedny Gren. Gren jest chory, bo grzyb

na nim żeruje. Jest i na jego głowie, i wewnątrz. To ja muszę znaleźć sposób, aby się z nim rozprawić.

Ale znaleźć odpowiedź to nie to samo co znaleźć ukojenie. Ogarnęła dziecko i podniosła się, chowając pierś.

– Idę do jaskini brzunia – brzuchów – oznajmiła, przygotowana na brak reakcji.

Gren odpowiedział:

– Nie możesz zabrać Larena w taką ulewę. Daj go mnie, zajmę się nim.

Przeszła dzielące ich klepisko. Chociaż światło było słabe, wydało się jej, że grzyb w jego włosach i wokół szyi jest ciemniejszy niż zwykle. Rozprzestrzenił się i zawisł mu nad czołem, czego nigdy nie robił.

Zamierzała podać mu już dziecko, kiedy nagły wstręt powstrzymał ją w pół kroku. Gren spojrział na nią spod grzyba nieswoim wzrokiem, jakiego u niego nie znała, z ową zgubną mieszaniną głupoty i przebiegłości czającą się zwykle u podstaw wszelkiego zła. Instynktownie szarpnęła dziecko do tyłu.

– Daj mi go – rzekł Gren. – Nic złego mu się nie stanie. Ludzkie młode można wiele nauczyć.

Chociaż ostatnio ruszał się jak mucha w smole, zerwał się z nadspodziewaną szybkością. Uskoczyła przerażona każdym nerwem swego ciała, sycząc ze złością i szczerząc na niego zęby jak zwierzę.

– Nie zbliżaj się do mnie!

Wyciągnęła nóż. Laren zakwilił nerwowo.

– Daj mi dziecko – powtórzył Gren.

– Nie jesteś sobą. Boję się ciebie, Gren. Siadaj! Nie zbliżaj się! Nie zbliżaj!

Lecz Gren szedł naprzód w dziwacznie nie skoordynowany sposób, jakby jego system nerwowy słuchał dwóch konkurencyjnych ośrodków kontroli. Uniosła nóż, ale on zdawał się tego nie widzieć. Oczy miał ślepe, jakby zasnutą kurtyną. Yattmur załamała się w ostatniej chwili. Wypuściwszy nóż, zawróciła i wybiegła z jaskini, przyciskając dziecko mocno do siebie.

Na spotkanie wytoczył jej się zza wzgórza grzmot. Błyskawica uderzyła z trzaskiem w pojedynczą nić wielkiej pajęczyny trawersera rozciągniętej w sąsiedztwie hen pod chmury Nić zaskwierczała i buchnęła płomieniem, który dopiero deszcz zagasił. Yattmur biegła do jaskini brzunio – brzuchów, nie śmiać obejrzyć się za siebie. Dopiero dotarłszy na miejsce, zdała sobie sprawę, jak niepewna jest przyjęcia. Ale było już za późno. Kiedy wpadła zlaną deszczem do środka, brzunio – brzuchy z górosłuchami skoczyły jej na spotkanie.

Gren osunął się na kolana i dłonie, na boleśnie uwierające kamienie przy wyjściu z jaskini. Docierające doń wrażenia z zewnętrznego świata stanowiły kompletny chaos. Obrazy unosiły się jak para, kłębiąc się w jego umyśle. Widział mur składający się z maleńkich komórek, lepkich jak w plastrze miodu, wyrastających wokół niego ze wszystkich stron. Mimo że miał tysiąc rąk, nie zwałił nimi tego muru; dłonie wracały oblepione syropem, w którym grzęzły jego wszelkie wysiłki. Ściana komórek zamykała się, przerastając już jego głowę. Pozostała w niej zaledwie jedna szczelina. Wyglądał przez nią na maleńkie sylwetki odległe o wiele kilometrów. Jedną z nich była Yattmur. Klęcząc, przyzywała go gestami i płakała, że on nie może do niej dotrzeć. Zrozumiał, że inne sylwetki to brzunio – brzuchy. W kolejnej rozpoznał Lily – yo, Prowodyrkę dawnej grupy. I jeszcze jedna, tamto wijące się stworzenie – zmiarkował, że to on sam, odgrodzony od swojej własnej cytadeli.

Zwid zatarł się i zanikł. Nieszczęsny Gren upadł plecami na mur, a komórki zaczęły pękać jak łona, wylewając trujące substancje. Owe trujące substancje przybierały postać ust, połyskliwych, brązowych warg emitujących sylaby, które spadały na niego głosem smardza. Sypały się ze wszystkich stron tak gęsto, że przez chwilę odbierał tylko wstrząs uderzeń, a nie znaczenie. Krzyczał skrzekliwie, dopóki nie zdał sobie sprawy, że smardz nie przemawia do niego z okrucieństwem, lecz ze współczuciem. Próbował opanować drżenie i słuchać, o czym mówi.

– W zaroślach Ziemi Niczyjej, gdzie żyje mój gatunek, nie było takich stworzeń jak ty – mówił smardz. – Myśmy żyli kosztem prymitywnych, roślinnych stworzeń. One egzystowały bez mózgu, my byliśmy ich mózgami. Z tobą jest inaczej. Za długo grzebałem w kupie kompostu, jaką jest dziedzictwo twojej nieświadomości. Ujrzałem w tobie tyle zadziwiających rzeczy, że straciłem z oczu swój główny cel. Pojmałeś mnie, Gren, tak samo, jak ja pojmałem ciebie. Nadszedł jednak czas, kiedy

muszę pamiętać o swojej prawdziwej naturze. Żywiłem się twoim życiem, aby karmić własne, tylko w ten sposób potrafię funkcjonować. Teraz osiągnąłem punkt krytyczny, dojrzałość.

– Nie rozumiem – głucho powiedział Gren.

– Mam przed sobą alternatywę. Niebawem muszę się podzielić i wydać zarodniki, taki jest system mojej reprodukcji i mam nad nim niewielką kontrolę. Mógłbym to zrobić tutaj, licząc na to, że moje potomstwo jakoś przetrwa na owej niegościnnej górze pomimo deszczu, lodu i śniegu. Lub... mógłbym przenieść się na nowego gospodarza.

– Nie na moje dziecko.

– Dlaczego nie? Laren to moja jedyna szansa. Jest młody i świeży, o wiele łatwiej będzie kierować nim niż tobą. Co prawda jest jeszcze słaby, ale oboje z Yattmur zapewnicie mu opiekę, dopóki nie będzie w stanie sam zadbać o siebie. – Nie, jeśli oznacza to opiekę również nad tobą.

Nim Gren dokończył, dostał silny cios bezpośrednio w mózg, który rzucił nim boleśnie o ścianę jaskini.

– Oboje z Yattmur nie opuście dziecka w żadnych okolicznościach. Wiem o tym i czytam to w twoich myślach. Wiem również, że przy pierwszej nadarzającej się okazji uciekniecie z tych jałowych, nieszczęsnych stoków w żyzne regiony światła. Pasuje to i do mojego planu. Czas nagli, człowieku. Ja muszę działać zgodnie ze swoimi potrzebami. Znając w tobie, tak jak ja znam, każde włókno, lituję się nad twoim bólem, ale to się dla mnie zupełnie przestaje liczyć, kiedy występujesz przeciw mojej naturze. Ja muszę mieć zdolnego i najchętniej bezrozumnego gospodarza, który zanieś mnie prędko z powrotem do nasłonecznionego świata, bym się mógł tam rozsiać. Więc wybrałem Larena. To będzie najlepsze dla mego potomstwa, nie uważasz?

– Ja umieram – jęknął Gren.

– Jeszcze nie – zabrzączał smardz.

Na pół uśpiona Yattmur siedziała w głębi jaskini brzunio – brzuchów. Zaduch tego miejsca, skowyt głosów, szum ulewy na zewnątrz, wszystko to działało na nią otepiająco. Drzemała przy kupie zeschniętych liści, na których spał Laren. Wszyscy obecni w jaskini pożywili się pieczonym pióroskórem, na pół spalonym nad buzującym ogniem. Nawet dziecko

zjadło okruszyny.

Kiedy się zjawiała, jak oszalała, w wejściu jaskini, brzunio – brzuchy zaprosiły ją do środka, pokrzykując:

– Chodź, cudowna pani przekładanko, wejdź z padającej mokości spadających chmur! Wejdź przytulić się z nami i sprawić ciepło bez wody!

– Co to za jedni? – Z niepokojem spojrzała na ośmiu górosłuchów uśmiechających się i podskakujących w miejscu na jej powitanie.

Oglądani z bliska byli straszni, o głowę wyżsi od ludzi. Długa sierść sterczała im na szerokich ramionach jak grzywa. Cisnęli się za plecami brzunio – brzuchów i zaczęli już okrążyć Yattmur, szczerząc zęby i pokrzykując do siebie w przedziwnym narzeczu. Nigdy nie widziała tak przerażających twarzy. Mieli długie szczęki, niskie brwi, ryje oraz krótkie, żółte brody, uszy zaś spływały po ich kędzierzawym futrze jak kawały żywego mięsa. Ruchy mieli szybkie i nerwowe, a twarze robiły wrażenie niespokojnych; długie rzędy ostrych kłów to pojawiały się, to znikwały między popielatymi wargami, gdy górosłuchy zasypywały ją pytaniami.

– Ty ttryk ty mieszkasz tu? Na Wielkim Stoku ty ttrrap traperr mieszkasz? Z brzunio – brzuchami z brzunio – brzuchami mieszkasz? Ty z nimi wraz ttryker trakerr współ – płodzić spać pędzić być na Wielkim Wielkim Stoku? – zarzucił Yattmur tym gwałtownym gradem pytań jeden z najroślejszych górosłuchów, przez cały czas strojąc przed nią miny i podskakując. Głos miał tak chropowaty i gardłowy, że z trudem docierały do niej posiekane szczęknięciami słowa. Tykker takker tak ty mieszkasz na Wielkim Czarnym Stoku?

– Tak, mieszkam na tej górze, odparła nie okazując strachu. – A wy gdzie mieszkacie? Z jakiego jesteście plemienia?

W odpowiedzi wywalił na nią capie oczy, aż wyszła wokół nich otoczka czerwonej chrząstki, po czym zamknął je mocno, rozdziwił przepastne szczęki i wydał wysoką, gdakliwą harmonię sopranowych dźwięków.

– Ludzie futroszorstki są bogami, cudownymi szorstkimi bogami, pani przekładanko – wyjaśniły brzunio – brzuchy, wszystkie trzy podrygując przed nią i przepychając się jeden przed drugiego w udęce, bo każdy chciał pierwszy zdjąć przed nią ciężar ze swego serca. – Ludzie futroszorstki nazywają się futroszorstkami. Są naszymi bogami, nasza pani,

ponieważ biegli po całym stoku Wielki Stok, aby zostać bogami drogich kochanych brzunio – ludzi. Oni są bogami, bogami są wielkimi, straszliwymi bogami, pani przekładanko. Oni mają OGONY!

To ostatnie zdanie wykrzyknęli tryumfalnie i zaczęli biegać wokoło jaskini, wyjąc i wrzeszcząc.

Rzeczywiście futroszorstki miały ogony, które sterczały im z zadków pod dziarskim kątem. Brzunio – brzuchy uganiały się za nimi, próbując pociągnąć i ucałować owe ogony. Yattmur próbowała się wycofać, gdy Laren, do tej chwili wpatrzony w to wszystko szeroko otwartymi oczami, podniósł wrzask co sił w płucach. Płasające figury małpowaly go, wtrącając swoje własne okrzyki i pienia:

– Szatański tan na Wielkim Stoku, Wielkim Stoku. Kły mnogie kły kąsają – kłą – drą cień czy dzień na Wielkim Stoku. Brzunio – brzuch – bracia wyśpiewują ogonom bogów futroszorstków. Ogrom drańskich draństw do wyśpiewania na Szatańskim Stoku. Chrup i ćpaj i chłaj, gdy ulewa leje, lej. Ju... ju... juuhuuuu!

Galopowali przed Yattmur, wtem jeden z dzikszych futroszorstków wyrwał jej z ramion Larena. Krzyknęła rozpaczliwie – i tyle go widziała – przestraszoną, rumianą buzię w locie. Długoszczekie stworzenia rzucały nim między sobą to wysoko, to nisko, to uderzając prawie o ziemię, to niemal zawadzając dzieckiem o strop, poszczekując przy tym i zaśmiewając się z rozbawieniem.

Oburzona Yattmur rzuciła się na najbliższego futroszorstka. Szarpnęła za długie, białe futro i poczuła, jak drgnęły pod nim mięśnie, gdy stworzenie się obróciło. Skórzasta szara dłoń wystrzeliła ku niej, pakując jej dwa palce w nozdrza, i pchnęła. Nożyce bólu cięły ją między oczy. Wygięła się w tył, unosząc dłonie do twarzy, i utraciwszy równowagę, runęła na ziemię. Futroszorstek był na niej w jednej chwili. Natychmiast przywalili ich pozostali. To uratowało Yattmur. Zapomniawszy o niej, futroszorstki wszczęły bójkę między sobą. Wyczołgała się spod nich na ratunek Larenowi, który bez szwanku leżał teraz oszołomiony na ziemi. Przytuliła go do siebie, pochlipując z ulgą. Mały rozplakał się, lecz kiedy Yattmur trwożliwie popatrzyła dokoła, stwierdziła, że futroszorstki nie pamiętają ani o niej, ani o bójce i spokojnie zabierają się do pieczenia pióroskóra.

– Och, nie miej mokrego deszczu w oczach, śliczna pani przekładanko – usłyszała tłoczących się przy niej brzuch – ludzi, którzy poklepywali ją niezdarnie i próbowali pogłaskać po włosach.

Niepokoili ją ich poufałość, kiedy Grena nie było w pobliżu, lecz powiedziała ściszym głosem:

– Skoro tak bardzo baliście się Grena i mnie, to dlaczego nie żywiecie lęku przed tymi strasznymi stworzeniami? Czy nie widzicie, jak są niebezpieczne?

– Czyż nie widzisz, jakie ci bogowie szorstkiego futra mają ogony? Tylko ogony rosnące na ludziach mają ludzie z ogonami, aby stać się bogami biednych brzunio – brzuch – braci.

– Oni was zabijają.

– Oni są naszymi bogami, więc my sprawiamy sobie szczęście, by zabili nas tylko bogowie z ogonami. Tak, oni mają ostre zęby i ogony! Tak, a zęby i ogony są z ostrości. – Jesteście jak dzieci, a oni są niebezpieczni.

– Ahaa, bogowie futroszorstki noszą niebezpieczeństwo w swych gębach na zęby Jednak zęby nie wyzywają nas okrutnymi słowami jak ty i Gren, tęga głowa. Lepiej mieć wesołą śmierć, o pani!

Yattmur spojrzała na grupę futroszorstków ponad kosmatymi ramionami stłoczonych przy niej brzunio – brzuchów. Chwilowo byli prawie spokojni, zajęci rozdzieraniem jednego z piórosków i pakowaniem go do pysków. Krążyła między nimi wielka, skórzana flaszka, z której łykali kolejno wśród rozlicznych swarów. Yattmur spostrzegła, że nawet ze sobą porozumiewają się łamanym językiem używanym przez brzunio – brzuchy.

– Jak długo tu zostaną? – zapytała.

– Oni często zostają w jaskini, ponieważ kochają nas w jaskini – odpowiedział jeden z brzunio – brzuchów, gładząc ją po ramieniu.

– Byli tu przedtem?

Tłuste oblicza roześmiały się.

– Przychodzą spotykać nas przedtem i znowu, i znowu, ponieważ kochają kochanych brzunio – brzuch – ludzi. Ty i łowca Gren nie kochacie kochanych brzunio – brzuch – ludków, więc my płaczemy na Wielkim Stoku. A futroszorstki niebawem nas zabiorą, abyśmy znaleźli

zieloną brzuchą – mamę. Tak, tak, futroszorstki nas zabiorą.

– Opuszczacie nas?

– Odchodzimy od was, by zostawić was na zimnym i wstępnym, ciemnym Wielkim Stoku, wielkim i ciemnym, ponieważ boskie szorstki zabierają nas do maleńkiego zielonego miejsca z ciepłymi brzunią – mamami, gdzie stoki nie mogą zamieszkać.

W gorącu i smrodzie, z zapłakany Larenem, Yattmur była coraz bardziej oszołomiona. Zmusiła ich do powtórzenia tego wszystkiego raz jeszcze, co zrobili ze swadą, aż ich myśl stała się dla niej nazbyt jasna. Od długiego już czasu Gren nie potrafił ukryć swej nienawiści do brzunią – brzuchów. Owa niebezpieczna ryjowata nowa rasa zobowiązała się zabrać ich ze zbocza z powrotem do któregoś z tamtych mięsistych drzew, które utrzymywały i zniewalały brzunią – brzuchą – ludzi. Yattmur czuła instynktownie, że nie można ufać górosłuchom, ale nie wiedziała, jak przekonać o tym brzunią – brzuchy. Zrozumiała, że ona, jej dziecko i Gren niebawem zostaną sami na tej górze. Znużona niedolą o tyłu obliczach rozpląkała się. Brzunią – ludzie otoczyli ją ciśnień, nieudolnie próbując ukoić dmuchaniem w twarz, klepaniem po piersiach, łaskotaniem, strojeniem min do dziecka. Była zbyt nieszczęśliwa, by oponować.

– Pójdź z nami do zielonego świata, pani przekładanko, aby znaleźć się znowu daleko od ogromnego Wielkiego Stoku z nami cudownymi kolegami – mamrotali. – Damy ci cudowne spania z nami.

Ośmieleni jej apatią, poczęli dobierać się do intymniejszych części jej ciała. Yattmur nie stawiała oporu i kiedy zaspokoił swoją niewyszukaną chuć, pozostawili ją samą w kącie. Po pewnym czasie jeden z nich wrócił, przynosząc jej kawał pieczonego pióroskóra. Żując, przemyśliwała: Gren zabije tym grzybem moje dziecko. Muszę więc zaryzykować dla dobra Larena i odejść z brzunią – brzuchami. Podjąwszy tę decyzję, poczuła się lepiej i zapadła w drzemkę.

Obudził ją płacz Larena. Wyrzała z jaskini. Nigdy nie widziała takiej ciemności. Deszcz chwilowo ustał, atmosferę wypełniał teraz grzmot, toczący się między ziemią a ciężką chmurą jakby w poszukiwaniu ujścia. Brzunią – brzuchy spały razem z futroszorstkami, zbite w niewygodną gromadkę, budzone co chwila jakimiś hałasami. W skroniach czuła pulsowanie, pomyślała, że przynigdy nie zaśnie w tym bałaganie. Ale w

chwilę później Laren przytulił się do niej i oczy same jej się zamknęły.

Po jakimś czasie obudziły ją futroszorstki. Laren spał. Zostawiwszy dziecko na stosie zeschniętych liści, poszła zobaczyć, co się dzieje. Zrejerowała natychmiast po spotkaniu oko w oko z futroszorstkami. Dla osłony głów przed padającym znowu ulewnym deszczem założyli hełmy z tykw, takich samych, jakich Yattmur używała do gotowania i mycia. W tykwach wycięto otwory na uszy, oczy i ryje. Lecz hełmy owe były za duże na futrzaste łby i telepały się z boku na bok, nadając futroszorstkom wygląd popsutych lalek. I to, i fakt, że tykwy były niezdarnie pomalowane na różne kolory, przydawało futroszorstkom groteskowości zaprawionej grozą.

Wybiegającej w strugi deszczu Yattmur zagroziło drogę jedno z tych stworzeń z kiwającą się drewnianą głową.

– Taktrakker ter ty dalej śpij w jaskini snu, pani matko. Przez drop krop deszcz idą złe zła dla nas kumpli źle. Więc my klic i kluć i drzeć. Lep jut jej lepiej wiej ty trup trap na kłów znak.

Cofnęła się przed jego łapami, słysząc bębnienie deszczu w toporny hełm, przemieszane z zaskakującą serią warknięć, szczeknięć i słów.

– Dlaczego nie mogę tu zostać? – zapytała. – Czyżbyście się mnie obawiali? Co tu się dzieje?

– Chap – hopaj – chwata, hopsa, chap, chlap, i chapnie cię. Grrr niechaj cię chapnie!

Górosłuch popchnął Yattmur i poleciał przyłączyć się do towarzyszy. Okryte hełmami stworzenia skakały wokoło swych sań, kłócąc się przy wybieraniu luków i strzał. Przytulone do siebie trzy brzunio – brzuchy stały tuż przy nich i wskazywały w dół stoku.

Przyczyną całej tej gorączki była grupka postaci zbliżających się powoli ku Yattmur. Mrużyła oczy w ulewie, sądząc początkowo, że nadchodzą tylko dwie istoty, ale wkrótce grupa rozdzieliła się na trzy i żeby tak miała skonać, nie wiedziała, czym mogły być w swej dziwaczności. Ale futroszorstki wiedziały

– Chap – hopaj – chwata, chap – hopaj – chwata! Harpi chwytny chybki chwata! – wołali i wydawało się, że ogarnia ich coraz większe szaleństwo.

Lecz zbliżające się w deszczu trio, mimo całej swej niesamowitości, nawet dla Yattmur nie wyglądało groźnie. Futroszorstki jednak w gorączy wyłaziły ze skóry, a kilku zaczęło już mierzyć z łuków poprzez zasłonę deszczu.

– Stać! Nie róbcie im krzywdy, niech przyjdą! – zawołała Yattmur. – Nic nam nie mogą zrobić.

– Chap – hopaj – chwat! I ty trry ty sza pani nie bądź złem, bo cię zje! – wołali niewyraźnie z podekscytowania.

Jeden z górosłuchów zaatakował Yattmur bykiem, trafiając ją tykwowym hełmem w ramię. Ze strachu zawróciła i puściła się biegiem, z początku na oślep, ale z każdą chwilą widziała cel coraz wyraźniej. Nie da rady futroszorstkom, ale może Gren ze smardzem sobie z nimi poradzą. Chlupiąc i chlapiąc, biegła z powrotem do swej własnej jaskini. Bez zastanowienia wpadła do środka.

Pod ścianą u wejścia stał na poły ukryty Gren. Minęła go, nim sobie zdała z tego sprawę; kiedy zawróciła, zaczął się do niej przybliżać. Wstrząśnięta jego widokiem krzyczała bezradnie, szczerząc zęby przez szeroko rozciągnięte usta. Powierzchnia grzyba była teraz czarna, pokryta bąblami; smardz ześliznął się w dół, pokrywając Grenowi całą twarz. Tylko oczy świeciły niezdrowo ze środka, kiedy na nią skoczył. Osunęła się na kolana. Widok owej wielkiej, rakowatej narośli na ramionach Grena tak dalece pozbawił ją odwagi, że potrafiła się zdobyć jedynie na ledwie słyszalne westchnienie:

– Och, Gren!

Nachyliwszy się, chwycił ją brutalnie za włosy. Fizyczny ból tego szarpnięcia rozjaśnił jej umysł i choć dygotała jak osuwający się stok, odzyskała jasność widzenia.

– Gren, ten grzybiasty stwór cię zabija – wyszeptwała.

– Gdzie jest dziecko? – zapytał. Jego głos, jakkolwiek przytłumiony, też pobrzmiwał obcą nutą, brzękliwym tonem, który stanowił jeszcze jeden powód do obawy – Co zrobiłaś z dzieckiem, Yattmur?

Skuliła się.

– Mówisz, jakbyś już nie był sobą, Gren. Co się stało? Wiesz, że cię nie

nienawidzę, powiedz mi, o co chodzi, żebym też mogła zrozumieć.

– Dlaczego nie przyniosłaś dziecka?

– Ty już nie jesteś Grenem. Jesteś... jesteś teraz jakby smardzem, prawda? Mówisz jego głosem.

– Yattmur, potrzebne mi jest dziecko. Mimo że trzymał ją wciąż za włosy, dźwignęła się na nogi i powiedziała najspokojniej, jak tylko mogła:

– Powiedz mi, po co ci Laren?

– Dziecko jest moje i potrzebuję go. Gdzie je zostawiłaś? Wskazała w mrok jaskini.

– Nie bądź głupi, Gren. Leży z tyłu za tobą w głębi jaskini, śpi jak zabity.

W momencie, kiedy odwrócił od niej uwagę, spoglądając za siebie, wyrwała mu się z uścisku i dała nura pod jego ramieniem. Z piskiem przerażenia wypadła na dwór.

Znowu deszcz zalał jej twarz, sprowadzając ją z powrotem na świat, który opuściła na chwilę zaledwie, chociaż tamten straszliwy, przelotny widok Grena zdawał się trwać wieki. Z miejsca, gdzie się znajdowała, zbocze góry przesłaniało dziwaczne trio nazywane przez futroszorстки chap – hopaj – chwatem, ale widziała wyraźnie grupę przy saniach. Jak na żywym obrazie brzunia – brzuchy i futroszorстки znieruchomiały, patrząc w jej kierunku, zaalarmowane jej krzykami. Mimo całej ich absurdalności pobiegła do nich z radością. Dopiero będąc wśród nich, obejrzała się za siebie.

Gren wyszedł przed jaskinię. Postął chwilę niezdecydowanie, zawrócił i zniknął w środku. Futroszorстки mamrotały i paplały między sobą, wyraźnie przestraszone tym, co zobaczyły. Wykorzystując ten moment, Yattmur wskazała za siebie, na jaskinię, Grena i powiedziała:

– Jeżeli mnie nie posłuchacie, mój straszliwy mąż ze straszliwą gąbczastą gębą przyjdzie i was pożre. A teraz pozwólcie tamtym innym ludziom podejść i nie zróbcie im krzywdy, dopóki nam nie zagrażają.

– Chap – hopaj – chwatek nie chap chłap dobry! – wybuchnęły futroszorстки.

– Róbcie, jak każę, inaczej gąbczasta gęba pożre was, uszy, futro,

wszystko.

Trzy wolno sunące postacie znalazły się już bliżej. Dwie z nich przypominały sylwetki ludzi, tyle że niezwykle chudych, jakkolwiek niesamowite jasnobrązowe światło przenikające wszędzie zacierało szczegóły Yattmur intrygowała najbardziej postać zamykająca pochód. Chociaż poruszała się na dwóch nogach, znacznie odbiegała od swoich towarzyszy wyższym wzrostem i olbrzymią na oko głową. Czasami wydawało się, że ma drugą głowę pod pierwszą, że ma ogon i maszeruje z dłońmi zaciśniętymi na górnej czaszce. Lecz ulewa, która częściowo przesłaniała widok, przydawała jednocześnie owej postaci iskrzącej aureoli rykoszetujących kropel deszczu.

Dziwna trójka przystanąła nagle, wystawiając cierpliwość Yattmur na próbę. Nie zwracali na nią uwagi, mimo że przywoływała ich, by podeszli. Stali w absolutnym bezruchu na zalanym deszczem stoku. Stopniowo kontury jednej z ludzkich postaci zaczęły się zamazywać, stawała się coraz bardziej przezroczysta, aż zniknęła. Zarówno brzunia – brzuchy, jak i futroszorstki milczały, najwyraźniej pod wrażeniem gróźb Yattmur. Na owo zniknięcie podniosły szum, jakkolwiek futroszorstki nie okazywały wielkiego zaskoczenia.

– Co się tam dzieje? – zapytała Yattmur któregoś z brunio – brzuchów.

– Bardzo dziwna rzecz do usłyszenia, pani przekładanko. Kilka bardzo dziwnych rzeczy. Przez wstrętny mokry deszcz przyszło dwoje ducholi i wstrętne stworzenie chap – hopaj – chwata wstrętne hopsające w mokrym deszczu na ducholu numer trzy Więc boskie futroszorstki płaczą od wielu złych myśli!

To, co usłyszała, nie miało dla niej większego sensu. Nagle rozzłościła się na nich.

– Każ futroszorstkom wracać spokojnie do jaskini. Idę spotkać się z tymi nowymi ludźmi.

– Ci piękni szorstcy bogowie nie robią tego, co każesz, ty nie mająca ogona – odparł brzunia – brzuch, lecz Yattmur już go nie słuchała. Ruszyła, wyciągając ramiona, z otwartymi dłońmi, aby pokazać, że nie ma wrogich intencji. Kiedy tak szła przed siebie, ulewa słabła, przechodząc w mżawkę, aż wreszcie ustała. Obydwa stworzenia stały się wyraźniej widoczne i nagle okazało się, że znów jest ich troje. Mgliste zarysy nabrały kształtów,

przyjmując znów postać chudej istoty ludzkiej przypatrującej się Yattmur identycznym jak dwoje jej towarzyszy spojrzeniem. Yattmur przystanąła, zaniepokojona ową zjawą. Na to ruszyła naprzód pękata figura, przepychając się między dwoma towarzyszami i wołając:

– Stworzenia wiecznie zielonego wszechświata, Sodal Ye z chap – hopaj – chwatów przybywa do was z prawdą! Wasza sprawa, czy jesteście gotowi na jej przyjęcie!

Głos był głęboki i dojrzały, jakby wędrował przez potężne gardło i odbijał się od podniebienia, zanim stał się dźwiękiem. Pod osłoną tego łagodnego tonu nadchodziły i tamte dwie ludzkie postacie. Yattmur przekonała się, że to rzeczywiście ludzie – w istocie były to dwie kobiety z bardzo prymitywnej rasy, gołe jak je Pan Bóg stworzył, jeśli nie liczyć zawiłych tatuaży na ciałach i wyrazu nieprzezwykłej głupoty na twarzach. Poczuwając się do jakiejś odpowiedzi, Yattmur pokłoniła się, mówiąc:

– Jeśli przybywacie w pokoju, witajcie na naszej górze. Pękata figura wydała nieludzki ryk tryumfu i oburzenia.

– Góra nie należy do ciebie! Ta góra, ten Wielki Stok, owa narośl z ziemi, skały i kamieni, c i e b i e posiada na własność! Ziemia nie jest twoja: t y jesteś stworzeniem ziemi.

– Zbyt szeroko pojmujesz sens mej wypowiedzi – odparła poirytowana Yattmur.

– Wszystko należy pojmować szeroko – brzmiała odpowiedź, której Yattmur już nie słuchała; ryk postaci wywołał tumult za jej plecami. Odwróciwszy się, zobaczyła, jak futroszorstki szykują się do drogi. Wśród pisków i potękań, popychając jeden drugiego, obracały sanie, by ustawić je w dół zbocza.

– Zabierzcie nas ze sobą jadących albo biegnących powoli przy waszej cudownej jeżdżącej machinie! – krzyczały brzunio – brzuchy, miotając się szaleńczo wokoło, a nawet tarzając w błocie przed swymi straszliwymi bogami. – Och, prosimy, zabijcie nas cudowną śmiercią, tylko zabierzcie nas ze sobą, uciekając i odjeżdżając daleko od tego Wielkiego Stoku. Zabierzcie nas daleko od tego Wielkiego Stoku z przekładankami, a teraz z tym wielkim ryczącym chrypi – hopaj – chwatem! Weźcie nas, weźcie nas, okrutni, cudowni bogowie szorstkich bogów!

– Nie, nie, nie. Brryk bryk brrykajcie stąd pełzający ludzie. Szparko idziemy i wrócimy po was wkrótce w spokojny czas! – wołały futroszorstki, ganiając wokół.

Wszystko było w ruchu. Pomimo wyraźnego chaosu i bałaganu futroszorstki błyskawicznie ruszyły biegiem obok sań i za nimi, pchając i hamując, kiedy trzeba, przesadzając sanie i wskakując na nie, wrzeszcząc, paplając, podrzucając i łapiąc swoje hełmy z tykw; i tak sunęły szybko po nierównym terenie w kierunku mroków doliny. Z całego serca oplakując swój los, opuszczone brzunia – brzuchy przekradły się chyłkiem do swej jaskini, odwracając oczy od przybyszów.

Kiedy ucichły pohukiwania futroszorstek, Yattmur usłyszała płacz dziecka w jaskini. Zapominając o wszystkim, pobiegła po nie i kołysała dopóty, dopóki nie zagruchało do niej radośnie, po czym wyniosła je na zewnątrz, by raz jeszcze rozmówić się z pękata postacią.

Rozpoczęła ona orację natychmiast po zjawieniu się Yattmur.

– Tamte zębo – szorstki, futroszorstki pierzchły przede mną. Idioty o liściomózgach, i tyle, zwierzęta z ropuchami w głowach. Co im z tego, że mnie teraz nie wysłuchaj ą, przyjdzie czas, że będą musiały słuchać. Ich rasa przeminie jak głos z wiatrem.

W trakcie tej przemowy Yattmur obserwowała stworzenie ze wzrastającym zdumieniem. Nie mogła się w nim na dobre rozeznać, ponieważ jego głowa, olbrzymi rybokształny organ z szeroką dolną wargą wywiniętą do dołu tak dalece, że prawie maskowała brak podbródka, pozostawała w dysproporcji do reszty ciała. Nogi wyglądały na ludzkie, tyle że krzywe, ramiona uniesione i nieruchomo zaciśnięte za uszami; z piersi sterczała włochata narośl na kształt głowy. Raz po raz migał przelotnie zwisający z tyłu wielki ogon. Para tatuowanych kobiet stała przy tym osobniku, patrząc martwo przed siebie. Zdawały się nic nie widzieć i nie myśleć, niezdolne do jakiegokolwiek czynności bardziej skomplikowanej niż oddychanie.

Ni stąd, ni zowąd pękata postać przerwała tyradę i spojrzała w górę na gęste chmury, które przesłaniały słońce.

– Spocznę sobie – powiedziała. – Znajdźcie mi odpowiedni kamień, kobiety. Wkrótce niebo się przejaśni i wtedy zobaczymy, co będziemy widzieli.

Rozkaz nie dotyczył ani Yattmur, ani brzunio – brzuchów, które zbiły się, niepocieszone, w gromadkę przed wylotem swej jaskini, lecz adresowany był do wytatuowanych kobiet. Patrzyli, jak postać się oddala ze swoją świtą. W zwalisku głazów nieopodal znajdował się jeden ogromny kamień z płaskim wierzchołkiem. Przy nim zatrzymał się dziwny orszak. Pękata postać rozpadła się na dwoje: kobiety uniosły górną, płaską część o rybim kształcie i położyły na głazie; druga, dolna połowa stała zgięta obok. Yattmur zaparło dech, jednocześnie za jej plecami rozległ się jęk grozy brzunio – ludzi, poganiających się nawzajem do jaskini. Pękaty chap – hopaj – chwatał, jak go nazywały futroszorstki, składał się z dwóch odrębnych stworzeń! Ogromny rybi kształt, bardzo podobny do jednego ze złotorybów, jakie widywała podczas podróży przez pustkowiec oceanu, dźwigany był przez starego, przygarbionego mężczyznę.

– Jesteś dwoma ludźmi! – wykrzyknęła.

– Nie jestem zaiste! – powiedział ze swej płyty delfinostwór. – Znany jestem jako Sodal Ye, największy ze wszystkich sodali wśród chap – hopaj – chwatów, prorok Gór Nocnej Strony, który przynosi ci słowo prawdy Czy jesteś obdarzona inteligencją, kobieto?

Obie wytatuowane kobiety skupiły się przy mężczyźnie nosicielu. Dawały mu jakieś znaki dłońmi, nie mówiąc przy tym ani słowa. Jedna z nich coś pomrukiwała. Co do mężczyzny, to najwidoczniej trudził się owym noszeniem przez wiele sezonów owocowania. Chociaż ciężar zniknął z jego ramion, człek ów pozostał przygięty, jakby ciągle dźwigał, stojąc niczym posąg strapienia, i swymi wyschniętymi rękami wciąż obejmował powietrze nad sobą, z przygarbionym grzbietem, z oczami wbitymi w ziemię. Od czasu do czasu przesuwał się na inne miejsce, poza tym tkwił nieruchomo.

– Zapytałem cię, czy jesteś obdarzona inteligencją, kobieto – powtórzyła istota nazywająca siebie Sodal Ye głosem soczystym jak wątroba. – Mów, skoro umiesz mówić.

Yattmur oderwała spojrzenie od owego przeraźliwego tragarza.

– Czego tutaj szukasz? Czy przybywasz z pomocą? – Powiedziane jak przystało człowieczej kobiecie!

– Te twoje kobiety nie wyglądają na gadatliwe!

– One nie są ludźmi! Nie potrafią mówić, o czym powinnaś wiedzieć. Czyżbyś nigdy przedtem nie spotkała nikogo z tatuowanego plemienia oraboli? Tak czy owak, dlaczego prosisz Sodała Ye o pomoc? Jestem prorokiem, nie sługą. Masz kłopoty?

– Ogromne. Mam męża, który... Sodał Ye plasnął jedną płetwą.

– Stop. Nie zwracaj mi teraz głowy swoimi historiami. Sodał Ye ma znacznie ważniejsze sprawy na głowie, jak chociażby obserwacja potężnego nieba, morza, w którym unosi się to drobne nasienie Ziemi. Ten oto Sodał jest głodny. Nakarm mnie, a pomogę ci, jeśli potrafię. Mój umysł jest najpotężniejszy ze wszystkiego na planecie.

Yattmur puściła mimo uszu przechwałkę i wskazała na jego barwny orszak.

– Co z twoimi współtowarzyszami, czyż oni również nie są głodni?

– Niech cię o nich głowa nie boli, kobieto, oni jedzą okruchy po Sodału Ye.

– Wszystkich was nakarmię, jeśli naprawdę zechcesz mi pomóc.

Zerwała się, nie bacząc na nową przemowę, którą rozpoczął. Yattmur wyczuwała, że w przeciwieństwie do futroszorstków jest to stworzenie, z którym się dogada, próżna, inteligentna istota mająca przecież swój słaby punkt. Widziała wyraźnie, że wystarczy tylko zabić tragarza, by Sodał został zdany na jej łaskę, gdyby zaszła taka konieczność. Spotkanie kogoś, z kim mogła negocjować z pozycji siły, działało jak środek krzepiący; była zresztą pełna dobrej woli wobec Sodała.

Brzunio – brzuch – ludzie byli zawsze czuli dla Larena jak matka. Powierzyła im dziecko, dopilnowawszy, by się usadowili wygodnie, nim zakrzętnęła się wokół stawy dla swych niecodziennych gości. Nie zwracała uwagi na ociekające wodą włosy ani na ubranie, które zaczynało już na niej podsychać. Wsadziła do tykwy resztki pióroskóra z poprzedniej biesiady, wraz z innymi wiktuałami zebranymi przez brzunio – brzuchy: kiełkami szczudłaków, orzechami, wędzonymi grzybami, jagodami i mięsistymi owocami. Druga tykwa stała wypełniona wodą skapującą ze szczeliny w skle_pieniu. Wodę też wyniosła.

Sodał Ye wciąż spoczywał na swym kamieniu. Skąpany w tajemniczym, kremowym świetle, nie odrywał oczu od słońca. Postawiwszy przy nim

jedzenie, Yattmur spojrziała w tym samym kierunku. Chmury się rozstały. Słońce wisiało nisko ponad mrocznym i dzikim morzem krajobrazu. Zmieniło nieco kształt, spłaszczone przez atmosferę, lecz żadne złudzenie optyczne nie mogło stanowić wytłumaczenia dla ogromnego, czerwono – białego skrzydła, prawie tak dużego jak macierzyste ciało.

– Och, błogosławiona światłość rozwija skrzydło, aby odlecieć i zostawić nas! – zawołała Yattmur.

– Nic ci jeszcze nie grozi, kobieto – oświadczył Sodal Ye. Przewidziałem to. Nie martw się. Więcej pożytku będzie, jeśli podasz mi jedzenie. Kiedy opowiem ci o płomieniach, które mają właśnie pochłonąć nasz świat, zrozumiesz wszystko, ale muszę się najeść przed kazaniem.

Lecz ona utkwiała spojrzenie w dziwnym obrazie na niebie. Oko burzy przesunęło się ze strefy zmierzchu w rejony potężnego figowca. Chmury nałożyły się kremową warstwą na purpurę ponad lasem, błyskawice migały prawie bez ustanku. A pośrodku tego wisiało zdeformowane słońce.

Ponaglona wołaniem Sodal, bynajmniej nie uspokojona Yattmur podała mu jedzenie. W tym momencie jedna z dwóch wynędzniałych kobiet zaczęła znikać ze swego miejsca. Zafascynowanej tym widokiem Yattmur omal nie wyleciały z rąk tykwy. Po krótkiej bardzo chwili kobieta była już tylko smugą. Pozostały zaledwie linie jej tatuażu, gryzmoły bez znaczenia zawieszono w powietrzu. Po czym i one rozplynęły się, znikły. Scena zamarła. Z wolna powracały tatuaże, a po nich kobieta o pustych oczach, chuda jak przedtem. Wykonała dłońmi gest do swej towarzyszki. Druga kobieta zwróciła się do Sodal, wypowiadając dwie czy trzy złane ze sobą sylaby

– Świetnie! – wykrzyknął Sodal, bijąc swym długim ogonem o kamień.
– Mądrze, że nie zatrąłaś jedzenia, matko, więc je zjem.

Kobieta, która wykonała parodię mowy, wysunęła się teraz do przodu i zaniósła tykwę z jedzeniem do Sodal. Zagłębiwszy w niej dłoń, zaczęła go karmić, wpychając mu pełne garście do mięsistej gęby. Jadł hałaśliwie i z apetytem; raz tylko przerwał, by popić wody.

– Kim wy wszyscy jesteście? Czym jesteście? Skąd jesteście? W jaki sposób znikacie? – pytała Yattmur.

Sodal Ye odparł zniekształconym od przeżuwania głosem: – Może coś

ci o tym powiem, a może nie. Wiedz, że tylko ta jedna niema kobieta potrafi, jak ty to nazywasz, "znikać". Daj mi zjeść. Bądź cicho.

Wreszcie skończył. Na dnie tykwy pozostawił trochę resztek, które stanowiły posiłek dla trojga wynędzniałych ludzi. Usunąwszy się na stronę w swej żalostnej skromności, kobiety karmiły przygarbionego towarzysza, którego ramiona wciąż były unieruchomione, jak sparaliżowane ponad głową.

– Teraz jestem gotów wysłuchać twoją historię – oznajmił Sodal – spróbuję też coś zrobić, by ci pomóc, jeśli to możliwe. Wiedz, że pochodzę z najinteligentniejszej rasy na tej planecie. Mój rodzaj zaludnił wszystkie rozległe morza i większość znacznie mniej ciekawego lądu. Jestem prorokiem, Sodalem Najwyższego Wtajemniczenia, i zniżę się, by ci pomóc, jeżeli uznam twoją potrzebę za dosyć interesującą.

– Twoja skromność jest godna podziwu – powiedziała Yattmur.

– Ba! Co po skromności, gdy Ziemia ma właśnie umrzeć? Zaczynaj swoją głupią powiastkę, matko, jeśli masz zamiar ją w ogóle rozpocząć.

Yattmur pragnęła przedstawić Sodalowi swój problem z Grenem i smardzem. Nie mając jednak umiejętności konstruowania opowieści i selekcionowania istotnych faktów, podała mu szczegółową historię swego życia, poczynając od dzieciństwa wśród Pasterzy zamieszkujących skraj lasu przy Czarnej Gardzieli. Następnie zrelacjonowała przybycie Grena z jego partnerką Poyly, opowiedziała o śmierci Poyly, o ich późniejszych wędrówkach, aż do chwili, gdy los jak wzburzone morze wyrzucił ich na zbocza Wielkiego Stoku. Na koniec wreszcie opowiedziała o narodzinach swego dziecka i o tym, jak ma ono zostać potraktowane przez smardza.

W czasie tej opowieści Sodal Ye z chap – hopaj – chwatów leżał z pozorną obojętnością na swym kamieniu, zwiesiwszy dolną wargę na tyle nisko, że odsłaniała pomarańczowe dziąsła wokół zębów. Para absolutnie zobojętniałych tatuowanych kobiet leżała obok niego w trawie po obu stronach zgiętego tragarza, ciągle stojącego z ramionami wzniesionymi nad głową, niczym posąg zgrzyoty. Sodal nie spojrzał na żadne z nich, wzrok jego błędził po niebiosach. Wreszcie się odezwał:

– Stanowisz ciekawy przypadek. Słyszałem szczegóły wielu żywotów przypominające mi twoje koleje. Zestawiając je wszystkie ze sobą i dokonując ich syntezy w mej nadzwyczajnej inteligencji, mogę

skonstruować rzeczywisty obraz tego świata w jego ostatnich stadiach istnienia. Yattmur wstała ze złością.

– Coś podobnego, mogłabym cię za to stracić z tej półki, ty zgniła rybo! – krzyknęła. – To wszystko, co masz mi do powiedzenia po tym, jak przed chwilą ofiarowałeś mi pomoc?!

– Och, mógłbym powiedzieć o wiele więcej, maleńki człowieczku. A twój problem jest tak prosty, że dla mnie prawie nie istnieje. Spotykałem owe smardze w poprzednich swoich wędrówkach i chociaż są to sprytni jegomości, mają kilka słabych stron, które każdy o mej inteligencji może wykorzystać, kiedy chce.

– Proszę, poradź coś szybko.

– Mam tylko jedną radę: oddaj dziecko swemu partnerowi Grenowi, skoro o nie poprosi.

– Nie zrobię tego!

– Aha, ale musisz. Nie uciekaj. Podejdz tu, to ci wytłumaczę, dlaczego musisz.

Nie podobał jej się plan Sodała. Lecz za jego próżnością i pompatycznością kryła się nieustępliwa kamienna moc. Jego obecność zniewalała, a słowa i sposób, w jaki je przeżuwał, wydawały się nie do obalenia. Uspokojona przycisnęła więc do piersi Larena i przystała na warunki.

– Nie mam odwagi iść i stanąć z nim oko w oko w jaskini – powiedziała.

– Więc poślij swoje brzuch – stwory, by go przyprowadziły tutaj – zarządził Sodał. – I pośpiesz się z tym. Ja podróżuję z ramienia Losu, pana, który obecnie zbyt wiele ma na swoich barkach, by przejmować się twoimi sprawami.

Rozległo się dudnienie grzmotu, jakby jakaś potężna istota udzielała poparcia jego słowom. Yattmur nerwowo spojrzała na słońce, wciąż ozdobione kogucim ogonem ognia, po czym udała się na rozmowę z brzunio – brzuchami.

Rozciągnięci koło siebie na przytulnym piasku obejmowali się wzajemnie ramionami i paplali. Kiedy weszła do jaskini, jeden z nich

zgarnął garść piachu i żwiru i cisnął w nią.

– Przedtem nie wchodziłaś do naszej jaskini ani nigdy nie przychodziłaś tutaj, ani nie chciałaś przyjść tutaj, a teraz, kiedy chcesz tu przyjść, jest za późno, okrutna pani przekładanko! I ludzionosiryb jest twoim złym towarzyszem i my nie należymy do niego. Nieszczęśni brzuch – ludzie nie chcą, byś tu przychodziła, i sprawią, że cudowne futroszorstki schrupią cię w jaskini.

Zatrzymała się. Gniew, żal, lęk przejęły ją do głębi; na koniec powiedziała stanowczo:

– Wasze kłopoty dopiero się zaczną, skoro sami się o nie proście. Wiecie, że pragnę być wam przyjacielem.

– Ty powodujesz nasze wszystkie kłopoty! Odejdź natychmiast.

Zawróciła, a kiedy szła w stronę drugiej jaskini, w której leżał Gren, słyszała, jak brzunio – brzuchy do niej wołają. Nie słyszała tylko, czy wykrzykują obelgi, czy błagania. Błyskawica przecięła niebo, poruszając cieniem wokół jej kostek. Dziecko wierciło się w jej ramionach.

– Leż spokojnie – powiedziała ostro. – Nie zrobi ci krzywdy Gren leżał na wznak w głębi jaskini, gdzie widziała go ostatnio. Błyskawica smagnęła brązową maskę, z której patrzyły jego oczy. Chociaż wiedziała, że na nią patrzy, nie poruszył się ani nie odezwał.

– Gren!

Tym razem też nie drgnął i nie otworzył ust. Dygocąc z napięcia, zgarbiła się w rozterce, rozdarta między miłością a nienawiścią. Błyskawica roziskrzyła się ponownie. Yattmur machnęła dłonią przed oczyma, jakby ją chciała odgonić.

– Gren, możesz wziąć dziecko, jeśli chcesz. Wtedy się poruszył.

– Wyjdź po małego na zewnątrz, tutaj jest za ciemno. Co powiedziawszy, Yattmur odeszła. Myśl o marności i trudach życia przyprawiała ją o mdłości.

Ponad ponurymi zboczami igrało zmienne światło, potęgując jej oszołomienie. Chap – hopaj – chwatał spoczywał wciąż na kamieniu, w którego cieniu znajdowały się opróżnione już z jadła i napoju tykwy oraz nieszczęsny wasal ze wzniesionymi do nieba dłońmi i spojrzeniem

opuszczonym ku ziemi. Yattmur przysiadła ciężko i wsparłszy się plecami o kamień, tuliła Larena do łona.

Po chwili Gren wyszedł z jaskini. Zbliżał się do niej powoli na miękkich nogach. Nie wiedziała, czy poci się z gorąca, czy ze zdenerwowania. Zamknęła oczy, bojąc się spojrzeć na papkowatą substancję pokrywającą mu twarz, i otworzyła je ponownie, dopiero gdy wyczuła jego bliskość. Popatrzyła prosto na niego, kiedy pochylił się nad nią i dzieckiem.

Z całkowitą ufnością Laren wyciągnął obie ręczki, gaworząc wesoło.

– Mądry chłopiec! – powiedział Gren obcym głosem. Będziesz dzieckiem nad inne, cudownym dzieckiem, i nigdy cię nie opuszczę.

Zadrżała teraz tak gwałtownie, że nie była w stanie utrzymać spokojnie dziecka. Lecz Gren pochylił się już nisko, przykląkł, tak blisko, że zaleciał ją ciepki, wilgotny i zimny odór. Przez zasłonę mrugających rzęs ujrzała, jak grzyb zaczyna się przesuwac po jego twarzy. Zawisł nad głową Larena, wzbierając przed odpadnięciem. Widziała tylko upstrzonego gąbczastymi sporami grzyba, płytę wielkiego głazu i jedno z dwóch opróżnionych z jedzenia naczyń. Musiała oddychać krótkimi spazmami, bo Laren zaczął płakać. I znowu masa przesunęła się po twarzy Grenu, ciągnąc się jak gęsta owsianka.

– Teraz! – ryknął Sodal Ye, podrywając ją do działania. Yattmur błyskawicznym ruchem podstawiła pustą tykwę nad dzieckiem. Grzyb spadł do naczynia i znalazł się w wymyślonej przez Sodała pułapce. Gren zachwiał się i wtedy zobaczyła jego prawdziwą twarz, skreconą z bólu. Światło napływało i odpływało w szybkim rytmie jej pulsu, lecz do niej dotarł tylko jakiś krzyk, nim zemdlala, nie rozpoznawszy swego własnego wysokiego głosu.

Dwie góry zatrzasnęły się jak szczęki na zagubionym, wirującym i rozplakany Larenie. Odzyskując świadomość, Yattmur siadła gwałtownie i monstualna wizja uleciała.

– Więc nie umarłaś – powiedział gburowato chap – hopaj – chwata. – Wstań łaskawie i ucisz swoje dziecko, jako że moje kobiety nie potrafią tego dokazać.

Wprost nie do wiary, ale wszystko było takie jak przed omdleniem, a wydawało się, że noc spowiła ją na długo. Smardz leżał bezwładnie w tej

samej tykwie, do której wleciał, a przy nim twarzą do ziemi Gren. Sodal Ye tkwił na szczycie swego kamienia.

Para tatuowanych kobiet tuliła Larena do zwiędłych piersi, nie potrafiąc go uspokoić. Yattmur podniosła się, zabrała im dziecko i przystawiła je do swej pełnej piersi; natychmiast poczęło ssać chciwie i zamilkło. Czując je przy sutkach, Yattmur uspokajała się stopniowo.

Nachyliła się nad Grenem. Dotknęła jego ramienia i wtedy obrócił do niej twarz.

– Yattmur – powiedział.

W oczach stanęły mu skąpe łzy. Na ramionach, na twarzy, między włosami, wszędzie, widniał czerwono – biały wzorek punktów, w których smardz zapuścił swoje sondy w jego skórę, czerpiąc pożywienie.

– Nie ma go? – Gren odzyskał swój własny głos. – Zobacz sam – odparła.

Wolną ręką przechyliła tykwę, aby mógł zajrzeć do środka. Przez długą chwilę wpatrywał się w żywego ciągle smardza, bezradnego teraz i nieruchomego jak ekskrementy na dnie naczynia. Ze zdumieniem bardziej niż ze strachem wewnętrzne widzenie Grena skierowało się wstecz na to, co zaszło od owego początku, kiedy smardz spadł na niego w lasach Ziemi Niczyjej, na wydarzenia, które minęły niczym sen: jak to wędrował przez łądy i dokonywał różnych czynów, a przede wszystkim miał wiedzę niedostępną własnemu, poprzedniemu, wolnemu ja. Widział, jak to wszystko się działo za sprawą grzyba, w którym tyle było teraz siły co w przypalonych resztkach jedzenia. Trzeźwo oceniał, jak się początkowo cieszył z tego impulsu, dzięki któremu pokonał własne wrodzone ograniczenia. Dopiero gdy podstawowe potrzeby smardza przeciwstawiły się jego własnemu, zaczęło się źle dziać: został prawie całkowicie wyparty ze swego własnego umysłu i działając pod dyktando grzyba, niemal zerował na własnym gatunku.

To się skończyło. Pasożyt był pokonany. Nigdy już nie usłyszy wewnętrznego głosu smardza pogrążającego mu w mózgu. W tym momencie przepełniło go raczej uczucie samotności niż tryumfu. Przeszukując szaleńczo korytarze swej pamięci i myśli, Gren doszedł do wniosku: a jednak on mi pozostawił coś dobrego – potrafię wartościować, potrafię kierować swym umysłem, potrafię pamiętać, czego mnie nauczył –

wiedział przecież tak wiele. Wydawało się teraz Grenowi, że mimo całego spustoszenia, jakie smardz w nim poczynił, zastał on jego umysł jako maleńką, zastałą sadzawkę, a pozostawił jako żywe morze; uczucie, z którym zaglądał do podstawionej mu przez Yattmur miski, było litością.

– Nie płacz, Gren – usłyszał głos Yattmur. – Jesteśmy bezpieczni, wszyscy jesteście bezpieczni, a ty dojdiesz do siebie.

Roześmiał się niepewnie.

– Dojdę do siebie – zgodził się. Przybrał w uśmiech swoją poznaną skazami twarz i pogładził Yattmur po ramionach. – Wszyscy dojdziemy do siebie. – Po czym nastąpiła spóźniona reakcja. Przewrócił się i natychmiast zasnął.

Kiedy się obudził, Yattmur doglądała piszczącego z zachwytu Larena, kąpiąc go w górskim potoku. Wytatuowane kobiety kręciły się tam również, nosząc wodę do polewania chap – hopaj – chwata na kamieniu, podczas gdy skulony nosiciel sterczał w pobliżu w swej zwykłej służalczej pozie. Po brzuniu – brzuchach nie było śladu.

Gren siadł ostrożnie. Twarz miał zapuchniętą, ale umysł jasny, nie wiedział jednak, co go mogło obudzić. Kątem oka pochwycił przelotny ruch i odwróciwszy się, zobaczył strużkę kamieni staczających się pobliskim żlebem. To znowu w innym miejscu posypały się kamienie.

– Nadchodzi trzęsienie ziemi – powiedział przepastnym głosem Sodal Ye. – Rozmawiałem o tym z twoją kobietą Yattmur i powiadomiłem ją, że nie ma powodu do niepokoju. Zgodnie z moimi przewidywaniami świat zmierza ku końcowi według planu.

Gren stanął na nogi.

– Masz potężny głos, rybia twarzy. Ktoś ty?

– To ja cię wybawiłem od żarłocznego grzyba, człowieczku, bo jestem Sodal Ye, prorok Gór Nocnej Strony, i wszyscy mieszkańcy gór słuchają tego, co mam do powiedzenia.

Gren ciągle jeszcze to rozważał, gdy nadeszła Yattmur. – Jakże długo spałeś, od kiedy smardz cię opuścił. My też spaliśmy, ale teraz musimy się gotować do drogi.

– Do drogi? A dokąd stąd można pójść?

– Wytlumaczę ci tak, jak wyjaśniłem to Yattmur – powiedział Sodal, mrugając pod kolejną strugą wody z tykwy Życie swoje poświęcam wędrowce po tych górach i głoszeniu Słowa Ziemi. Teraz czas mi powrócić do Oceanu Obfitości, w którym żyje mój gatunek, po nowe instrukcje. Ocean leży na skraju Krainy Wiecznego Wieczoru; jeśli zabiorę was aż tam, z łatwością powrócicie do wiecznych lasów, które zamieszkujecie. Będę wam przewodnikiem, a wy pomożecie doglądać mnie w drodze.

Yattmur odezwała się, widząc wahanie Grena:

– Wiesz, że nie możemy pozostać na Wielkim Stoku. Przyniesiono nas tutaj wbrew naszej woli. Skoro mamy szansę ucieczki, musimy ją wykorzystać.

– Jeżeli tego chcesz, niech tak będzie, chociaż dosyć mam podróży

Ziemia ponownie zadrżała. Z nieświadomym poczuciem humoru Yattmur powiedziała:

– Musimy opuścić tę górę, zanim ona nas opuści. I musimy – dodała – nakłonić brzunio – brzuchy do wyruszenia z nami. Jeżeli tu zostaną, zginą z głodu albo pozabijają je futroszorstkie górosłuchy.

– O nie! – zaprotestował Gren. – Mało to z nimi było kłopotów! Niechaj te nędzne stworzenia tu zostaną. Mam ich dosyć.

– Ponieważ oni nie chcą iść z wami, nie ma problemu. Sodal Ye przypieczętował sprawę plaśnięciem ogona. – A teraz w drogę, gdyż nie ma czasu do stracenia.

Rzeczy mieli prawie tyle co kot napłakał, tak bliskie natury życie pędzili. Do całkowitej gotowości brakowało im jedynie sprawdzenia broni i ugotowania stawy na drogę. I jeszcze tylko jedno spojrzenie na jaskinię, w której urodził się Laren. Grenowi wpadł w oko widok pobliskiej tykwy z zawartością.

– Co z grzybem? – zapytał.

– Zostaw go, niech tu zgnije.

– Weźmiemy smardza ze sobą. Moje kobiety go poniosą – powiedział Sodal.

Kobiety mozoliły się właśnie, dźwigając go z leża na grzbiet nosiciela; linie ich tatuaży zlewały się ze zmarszczkami sfałdowanej z wysiłku skóry.

Między sobą wymieniały tylko mruknięcia, ale jedna z nich odpowiadała Sodalowi monosylabami, z towarzyszeniem gestów, używając nie znanego Grenowi języka.

Gren obserwował zafascynowany, jak umieszczają Sodała na plecach przygarbionego mężczyzny, który chwycił go w pól. – Od jak dawna ten biedaczysko jest skazany na noszenie ciebie? – zapytał.

– Zaszczynym przeznaczeniem jego rasy jest służyć chap – hopaj – chwatowi. Wcześniej go do tego przyuczono. Nie zna, ani też nie pragnie zaznać żadnego innego życia.

Zaczęli schodzić na dół z dwiema niewolnicami na czele. Yattmur obejrzała się za siebie i spostrzegła trójkę brzunio – brzuchów żałośnie wyglądających ze swej jaskini. Podniosła rękę, przyzywając ich gestem i wołaniem. Powoli wstali z ziemi i zaczęli się przepychać tak blisko siebie, że potykali się jeden o drugiego.

– Chodźcie! – zawołała zachęcająco. – Wy, bracia, chodźcie z nami, będziemy się wami opiekować!

– Dość już mieliśmy z nimi biedy – zawyrokował Gren. Schylił się i zebrawszy garść kamieni, cisnął w nich. Kiedy jeden brzunio – brzuch dostał w krocze, a drugi w ramię, rozproszyli się i pognali z powrotem do jaskini, krzycząc wniebogłosy, że nikt ich nie kocha.

– Jesteś zbyt okrutny, Gren. Nie powinniśmy ich zostawiać na łasce futroszorstków.

– Mówię ci, że miałem tych stworów po dziurki w nosie. Lepiej dla nas, jeśli wyruszymy na własną rękę.

Poklepał ją po ramieniu, ale pozostała nie przekonana. Kiedy posuwali się w dół Wielkim Stokiem, za ich plecami cichły krzyki brzuch – ludzi. Nigdy więcej ich głosy nie dotarły do uszu Grenu i Yattmur.

Opuszczali się jałową pochyłością Wielkiego Stoku, cienie doliny wstawały im na spotkanie. Nadeszła chwila, że po kostki brodzili w ciemności; potem ciemność gwałtownie wezbrała i pochłonęła ich, kiedy pasmo odległych wzgórz przesłoniło słońce. Ciemność, w której posuwali się teraz i mieli jeszcze czas jakiś wędrować, nie była całkowita. Chociaż zwały chmur na niebie nie odbijały obecnie promieni słonecznych, częste błyskawice wytyczały im szlak. Od miejsca, gdzie potoki Wielkiego Stoku

zlewały się w całkiem spory strumień, droga stała się karkołomna, gdyż woda wyślubiła wąwóz i musieli maszerować jego wyższym brzegiem gęsiego, nad samą krawędzią urwiska. Konieczność zachowania ostrożności opóźniała pochód. Mozolnie obchodzili narzutowe głązy, w tym wiele wyraźnie poruszonych przez ostatnie wstrząsy podziemne. Poza odgłosem ich kroków regularne postękiwania nosiciela były jedynymi dźwiękami konkurującymi z szumem strumienia.

Rozlegający się w przodzie huk zapowiadał bliski już wodospad. Wytężając w mroku oczy, dostrzegli światełko. O ile się mogli zorientować, płonęło na krawędzi wąwozu. Procesja stanęła i wszyscy na wszelki wypadek zbili się w gromadkę.

– Co to? – zapytał Gren. – Jakież to stworzenia zamieszkują tę ohydną dziurę w ziemi?

Nikt nie odpowiedział. Sodal Ye mruknął coś do gadającej kobiety, a ta z kolei do swej niemej towarzyszki, która zaczęła znikać, wyprężona w postawie na bacność.

Yattmur ścisnęła Grena za ramię; Gren po raz pierwszy był świadkiem aktu znikania. Przez ciało kobiety przeziął nierówny stok. Otaczające ich ze wszystkich stron cienie potęgowały wrażenie niesamowitości. Tatuże wisiały przez chwilę w mroku, na pozór bez żadnego oparcia.

Wysilił wzrok, by niczego nie uronić. Kobieta zniknęła, nieuchwytna jak odgłos spadającej wody. W dramatycznym napięciu oczekiwali nieruchomo, aż powróci. Bez słowa wykonała parę gestów, które druga kobieta na użytek Sodała przełożyła na pomruki.

Sodal chlasnął ogonem po łydkach swego tragarza, by ruszył dalej.

– Nic nam nie grozi – powiedział. – Tam jest kilka futroszorstków, pewnie strzegą mostu, ale uciekną.

– Skąd wiesz? – zapytał Gren.

– Lepiej będzie, jeśli narobimy wrzawy – Sodal Ye zignorował pytanie Grena. Zaraz potem wydał tubalny, rozdzierający zew, który przeraził Yattmur i Grena i wywołał płacz dziecka. Gdy podchodzili bliżej, światełko zamrugało i przesunęło się za krawędź urwiska. Przybywszy na to miejsce, mogli spojrzeć w dół stromej ściany. Błyskawica oświetliła sześć czy osiem ryjowatych stworzeń wskakujących do parowu jak piłki – w tym jedno z

prymitywną pochodnią. Wciąż oglądali się za siebie i wyszczekiwali inwektywy.

– Skąd wiedziałeś, że uciekną? – powtórzył Gren. – Nie gadaj tyle. Musimy tutaj bardzo uważać.

Dotarli do czegoś w rodzaju mostu: jeden brzeg zwałił się, tarasując koryto, i strumień musiał się przedzierać tunelem, nim runął w rozbryzgach do sąsiedniego wąwozu. Zawał opierał się o przeciwny brzeg, tworząc luk ponad nurtem.

Ciemności powiększały ryzyko przejścia tą wyboistą i niepewną drogą, więc stawiali krok za krokiem. Ledwie jednak weszli na rozpadający się most, gdy znieacka poderwała się hałaśliwie spod ich stóp chmara maleńkich istot. Powietrze rozsypało się na czarne, fruujące kawałeczki. Gren wpadł ze strachu w szal, tłukąc małe, śmigające wokół niego ciała bez opamiętania. Uleciały po chwili. Podniósł głowę i ujrzał gromadę stworzeń kołujących i nurkujących ponad nimi.

– To tylko nietoperze – powiedział obojętnie Sodal Ye. Naprzód. Wy, ludzkie stworzenia, słabo wytrzymujecie tempo.

Ruszyli. Znowu mignęła błyskawica, bieląc świat i zamieniając go na moment w martwą naturę. W brzdach pod ich stopami, tuż nad głowami i z boku mostu, sięgając w dół spadającej wody – jak las bród wrastających w rzekę – rozbłysły pajęczce sieci, jakich Gren i Yattmur nigdy w życiu nie widzieli.

Yattmur wykrzyknęła coś na ich temat, a Sodal odezwał się wyniośle:

– Nie zdajecie sobie sprawy z rzeczywistości kryjącej się za niezwykłym widokiem, jaki tu oglądacie. Niby jak możecie sobie zdawać sprawę, będąc zwykłymi mieszkańcami lądu. Inteligencja zawsze wychodziła z mórz. My, sodale, jesteśmy jedynymi nosicielami mądrości świata.

– Skromnością to ty na pewno nie grzeszysz – powiedział Gren, pomagając Yattmur w przeprawie na drugi brzeg.

– Nietoperze i pająki zamieszkiwały stary, chłodny świat wiele tysięcy temu – podjął Sodal. – Ale rozrost królestwa roślin postawił je przed alternatywą: albo sobie przyswoją nowy sposób życia, albo wymrą. Stopniowo więc, w wyniku najbardziej zaciętej rywalizacji, usunęły się w

ciemność, do której przynajmniej nietoperze były przystosowane. Co uczyniwszy, oba gatunki zawiązały sojusz.

Sodal Ye prawil nieprzerwanie ze swadą kaznodziei, podczas gdy wspomagany przez tatuowane kobiety tragarz dźwigał go, wyteżając siły i stękając, by go wytaszczyć przez zwałony brzeg na pewny grunt. Głos płynął, pewny, głuchy i aksamitny jak sama noc:

– Pajęczycza potrzebuje ciepła, aby wysiedzieć jaja, to znaczy więcej ciepła, niż ma tutaj. Składa więc jaja, osnuwa je w kokon, a nietoperz usłudnie zanosy je na Wielki Stok lub któryś z owych łapiących słońce szczytów. Kiedy wykluje się potomstwo, przynosi je usłudnie z powrotem. Ale nie pracuje za darmo. Dorosłe pająki przędą dwie sieci, jedną zwyczajną, drugą zanurzoną do połowy w wodzie, a w połowie rozciągniętą w powietrzu; owa dolna część stanowi podwodną sieć. Łapia w nią ryby albo drobne żyjątka, które wyciągają na powierzchnię jako pożywienie dla nietoperzy. Dzieją się tutaj niezliczone podobnie dziwne rzeczy, o których wy, mieszkańcy ładu, nie macie zielonego pojęcia.

Skarpa, którą obecnie wędrowali, opadała ku równinie. W miarę jak wynurzali się spod masywu góry, mieli stopniowo coraz lepszy widok na otaczający ich teren. Z tkanki cieni strzelał tu i ówdzie purpurowy stożek wzgórze na tyle wyniosły, by pławić się w słońcu. Nادیągająca chmura rzucała na wszystko dokoła odbłask, który zmieniał się z minuty na minutę. W ten sposób poszczególne fragmenty terenu kolejno odsłaniały się i kryły za dryfującymi kurtynami. Stopniowo chmury przesłoniły samo słońce i musieli ze szczególną ostrożnością wędrować przez gęsty mrok.

Daleko po ich lewej stronie pojawiło się mrugające światelko. Jeśli była to widziana przy parowie pochodnia, to znaczy, że futroszorstki dotrzymywały im kroku. Przypomniało to Grenowi jego wcześniejsze pytanie.

– W jaki sposób ta twoja kobieta znika, Sodal?

– Musimy przejść jeszcze szmat drogi, nim dotrzemy do Oceanu Obfitości – oświadczył Sodal – przeto zabawi mnie udzielenie wyczerpujących odpowiedzi na twoje pytania, jako że wydajesz się odrobinę bardziej ciekawski niż większość przedstawicieli twego gatunku. Nigdy nie uda się zebrać w całość historii krain, przez które wędrujemy, ponieważ żyjące tu istoty zniknęły, nie zostawiwszy żadnych śladów prócz

swych nieprzydatnych do niczego kości. Istnieją jednak legendy My z rasy chap – hopaj – chwatów jesteście wielkimi podróżnikami, przemierzaliśmy rozległe obszary od wielu generacji i zebraliśmy owe legendy. Dowiedzieliśmy się więc, że Kraina Wiecznego Wieczoru mimo całej swej jałowości zapewniła schronienie wielu stworzeniom. Te stworzenia zawsze idą tą samą drogą. Zawsze przybywają z jasnych, zielonych krain, nad którymi płonie słońce. Zawsze podążają bądź ku zagładzie, bądź ku Krainie Wiecznej Nocy – a często te dwie rzeczy oznaczają jedno i to samo. Każda fala przybyszów może tutaj pozostać przez kilka pokoleń. Lecz zawsze wypierana jest coraz dalej i dalej od słońca przez swych następców. Kiedyś pleniła się tu rasa, którą znamy jako ludzi stada, ponieważ polowali w hordach – jak czynią futroszorstki w potrzebie – ale o wiele lepiej zorganizowanych. Podobnie jak futroszorstki mieli ostre zęby i rodzili żywe młode, lecz poruszali się wyłącznie na czworakach. Ludzie stada byli ssakami, ale niezupełnie ludźmi. Te rozróżnienia są dla mnie mętne, bo nie zajmuję się klasyfikowaniem, ale twój gatunek znał ongiś ludzi stada jako wilki, jeśli się nie mylę. Po ludziach stada przybyła jakaś krzepka rasa ludzka, przywodząc ze sobą czworonożne istoty dostarczające im żywności i odzieży; parzyli się też ze swymi zwierzakami.

– Czy to jest możliwe? – zapytał Gren.

– Powtarzam ci tylko stare legendy. Możliwości mnie nie obchodzą. W każdym razie ten lud nazywał się chlewakami. Wyparli oni hordaków i z kolei zostali wyrugowani przez wyjaków, osobników, o których legenda głosi, że powstałi ze związków chlewaków z ich zwierzakami. Trochę wyjaków uchowało się do dziś, lecz większość wybito w następnej inwazji, gdy pojawiły się objuki.

Objuki były koczownikami; kilka razy natknąłem się na nich, ale to dzikie bestie. Po czym nadciągnął nowy odprysk człowieczeństwa, orabole, rasa o skromnej umiejętności uprawiania roli i bez jakichkolwiek innych zdolności. Oraboli szybko załazy futroszorstki, czyli bambuny, żeby wymienić ich właściwą nazwę. Futroszorstki zamieszkują te rejony w większej lub mniejszej sile od wieków. W istocie mity głoszą, że wydarły tajemnicę gotowania orabolom, tajemnicę transportu saniami objukom, dar ognia hordakom, dar mowy chlewakom i tak dalej. Ile w tym prawdy, nie wiem. Faktem jest, że futroszorstki załazy tę krainę. Są kapryśne i nie można im ufać. Raz mnie usłuchają, innym razem nie. Na szczęście czują respekt przed możliwościami mojego gatunku. Nie dziwiłoby mnie,

gdybyście wy, ludzie zamieszkujący drzewa, przekładaki – tak chyba nazywali was brzunia – ludzie? – okazali się forpocztą kolejnej fali najeźdźców. Oczywiście możecie sobie nie zdawać sprawy, że tak jest...

Sporo z tego monologu nie docierało do Grenu i Yattmur, szczególnie że musieli skupić uwagę na przeprawie przez kamienistą dolinę.

– A kim są ci ludzie, których masz tutaj za niewolników? – Gren wskazał nosiciela i obie kobiety.

– Sądziłem, że się domyślicie: to są przedstawiciele oraboli. Wszyscy oni dawno by wyginęli, gdyby nie nasza opieka. Orabole, widzisz, dewoluują. Być może wytłumaczę kiedy indziej, co przez to rozumiem. Oni wyrodzili się najbardziej. Jeśli wcześniej nie wyginą z powodu bezpłodności, zostaną roślinami. Dawno już utracili sztukę mówienia. Wprawdzie mówię "utracili", jednak faktycznie było to osiągnięcie, bo w ogóle przeżyć mogli, jedynie wyrzekając się wszystkiego, co ich dzieliło od poziomu roślinnej wegetacji. Taki rodzaj przemiany nie jest zaskakujący w obecnych warunkach tego świata, ale razem z nią zaszła jeszcze bardziej niezwykła transformacja. Orabole zatracili pojęcie upływu czasu. W końcu nie ma już niczego, co by nam przypominało o czasie – dni ani pór roku – więc orabole w procesie zanikania zapomnieli o nim do reszty. Dla nich istnieje po prostu indywidualny okres życia. Był to, a właściwie jest, jedyny skok czasu, jaki są w stanie zauważyć: okres istnienia. I tak wytworzyli życie współmierne, żyją tam, gdzie potrzebują, w obrębie owego okresu.

W ciemnościach Yattmur z Grenem spojrzeli tępo po sobie.

– Chcesz powiedzieć, że te kobiety mogą poruszać się w czasie, w przód albo w tył? – zapytała Yattmur.

– Tego nie powiedziałem ani same orabolki by tego tak nie ujęły. Ich umysły nie przypominają ani mego, ani nawet waszych, ale kiedy, na przykład, doszliśmy do mostu strzeżonego przez futroszorstki z pochodnią, kazałem jednej z kobiet dokonać skoku wzdłuż jej okresu istnienia i zobaczyć, czy przepawiliśmy się na drugą stronę bez przygód. Wróciła i zameldowała, że tak. Ruszyliśmy i okazało się, że jak zwykle miała rację. Naturalnie działają one tylko w obliczu niebezpieczeństwa: owa zdolność skoku w czasie jest pierwotną formą obrony. Inny przykład: kiedy Yattmur przyniosła nam po raz pierwszy jedzenie, kazałem skoczyć wyskoczyć w

przód i sprawdzić, czy nas zatruto. Gdy powróciła i doniosła, że nadal żyjemy, wiedziałem, że możemy spokojnie zjeść. Podobnie kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem z futroszorstkami oraz... jak im tam... brzuch – brzunio – ludźmi, wysłałem skoczkę, by sprawdziła, czy nas zaatakujecie. Widzicie więc, że nawet tak marna rasa jak orabole może się do czegoś przydać.

Postępowali powoli przez podgórze w głębokim, zielonym mroku, ożywianym słonecznym odbłaskiem padającym od czoła chmur nad ich głowami. Bez przerwy dostrzegali rozbłyski światła poruszających się z lewej strony – futroszorstki trzymały się ich uparcie; zjawilo się więcej pochodni.

Podczas gdy Sodal perorował, Gren przyglądał się z nowym zainteresowaniem dwu otwierającym pochód orabolkom. Były nagie, więc mógł zobaczyć, jak słabo wykształcone są ich cechy płciowe. Skąpe owłosienie głowy, łyse wzgórczki łonowe, biodra wąskie, piersi obwisłe i płaskie, chociaż kobiety nie wydawały się na oko stare. Maszerowały zarówno bez zapachu, jak i bez ociągania, nigdy nie spoglądając za siebie. Jedna niosła na głowie tykwę ze smardzem. Grena przeniknął dziwny lęk, gdy uprzytomnił sobie, jak odmienne musi być ich widzenie świata od jego widzenia, jakie byłoby ich życie, jakim torem biegłyby ich myśli, gdyby ich okresy istnienia były następującymi po sobie, a nie równoczesnymi strumieniami czasu.

– Czy te orabolki są szczęśliwe? – zapytał Sodal. Chap – hopaj – chwatał zaśmiał się gardłowo.

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, by je o to zapytać.

– To zapytaj je teraz.

Zniecierpliwiony Sodal machnął ogonem.

– Was, wszystkich ludzi, i pokrewne wam gatunki, cechuje wścibstwo. Ta okropna cecha prowadzi was donikąd. Czemuż to miałbym je o to pytać – tylko dla zaspokojenia twojej ciekawości? Prócz tego umiejętność dokonania skoku w czasie wymaga absolutnego braku inteligencji: trzeba być ciemnym jak tabaka w rogu, aby nie widzieć różnicy między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Orabolki w ogóle nie znają mowy, wystarczyłoby zaznajomić je z ideą werbalizacji, by nie rozwinęły skrzydeł. Jak mówią, to nie skaczą. Jak skaczą, to nie mówią. Właśnie

dlatego muszę mieć ze sobą zawsze dwie kobiety, najlepiej kobiety, bo one są jeszcze ciemniejsze od mężczyzn. Jedną wyuczono kilku słów, by rozumiała moje rozkazy Przekazuje je gestami swojej przyjaciółce, której w ten sposób mogę polecić dokonanie skoku w momencie zagrożenia. Wszystko to jest dość prymitywnie pomyślane, ale oszczędza mi wielu kłopotów w podrózach.

– Co powiesz o tym biedaku, który cię niesie? – zapytała Yattmur.

Sodal Ye wydał wibrujący ryk pogardy.

– Leniwe bydłę, nic więcej! Jeżdżę na nim, od kiedy został młodzieńcem, i już się prawie zużył. Hopaj, ty gnuśny potworze! Ruszaj się, bo nigdy nie dojdziemy do domu.

Sodal opowiedział im jeszcze więcej. Pewne sprawy budziły w Grenie i w Yattmur odruch gniewu. Niektóre ich nie obchodziły. Sodal przemawiał bez ustanku, aż jego głos stał się nieodłącznym elementem rozrywanego błyskawicami mroku. Nie przerywali marszu, nawet kiedy lunęło rześście i cała równina wokół obróciła się w błoto. Chmury płynęły w zielonym świetle. Poczuli w swym utrapieniu, że robi się coraz cieplej. Deszcz ciągle padał. W otwartym terenie nie było co marzyć o schronieniu, więc szli uparcie i z mozołem naprzód, jakby przez środek misy pełnej bulgocącej zupy. Ulewa ustała, kiedy ponownie zaczęli wspinaczkę.

Yattmur uparła się, aby odpocząć ze względu na dziecko. Sodal, którego radował deszcz, zgodził się niechętnie. Pod skarpią rozpalili nędzne, kopające ognisko z trawy. Nakarmili dziecko; wszyscy skromnie podjedli.

– Jesteśmy blisko Oceanu Obfitości – oświadczył Sodal Ye. – Ze szczytów tamtego łańcucha gór zobaczycie jego rozkoszne, słone wody, całe w mroku, bo tylko jedna długa pręga słonecznego blasku przecina jego powierzchnię. Ach, jak przyjemnie będzie znaleźć się z powrotem w morzu. Macie szczęście, wy ziemiolazy, że nasza rasa jest skora do poświęceń, inaczej przenigdy nie opuścilibyśmy wody dla waszego pogrążonego w mrokach środowiska. Cóż, proroctwo jest naszym brzemieniem i musimy je dźwigać z radością..

Zaczął pokrzykiwać na kobiety, by się pośpieszyły i przyniosły więcej trawy i korzeni do podsycenia ognia. Położyły go na szczycie skarpy. Nieszczęsny nosiciel pozostał w jamie na dole. Z ramionami wzniesionymi nad głową wlaźł prawie w samo ognisko i nie zważając na spowijające go

kłęby dymu, próbował wchłonąć trochę ciepła.

Korzystając z odwrócenia uwagi Sodala, Gren pośpieszył do mężczyzny i schwycił go za ramię.

– Potrafisz zrozumieć, co mówię? – zapytał. – Czy mówisz moim językiem, przyjacielu?

Przyjaciel nie podniósł ani na chwilę głowy. Zwisła mu na piersi, jakby mu skręcono kark, i tylko kołysała się lekko, kiedy mężczyzna mamrotał coś niezrozumiale. Kolejna błyskawica rozdarła niebo nad światem i Gren dostrzegł blizny na jego karku. Zrozumiał. Ten człowiek został okaleczony tak, aby nigdy nie mógł podnieść głowy.

Gren opadł na jedno kolano i spojrzał w górę na owo opuszczone oblicze. Zobaczył wykrzywione usta i świecące jak węgiel oko.

– Jak dalece mogę zaufać temu chap – hopaj – chwatowi, przyjacielu?

Wargi skurczyły się powoli z bólu, którym człowiek wydawał się od dawna znużony. Wypuściły słowa gęste jak materia. Powiedziały:

– Do niczego... ja do niczego... łamię się, padam, zdycham, ściervo... widzisz ono ja skończyłem... jeszcze jedno podejście... Ye ze wszystkich grzechów – Ye ty poniesiesz... twój grzbiet mocny... ty poniesiesz Ye... on wie... ja koniec ścierva.

Coś kapnęło na dłoń Grenowi, gdy się prostował, łza czy ślina – nie wiedział.

– Dzięki, przyjacielu, zajmiemy się tym wszystkim. Zbliżył się do Yattmur, która myła Larena.

– Czulem przez skórę – powiedział – że nie można ufać tej gadatliwej rybie. Chce posłużyć się mną jako swoim jucznym zwierzęciem, kiedy padnie jego nosiciel, tak przynajmniej twierdzi ów człowiek, a chyba poznał do tej pory obyczaje tego chap – hopaj – chwata.

Zanim Yattmur zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, rozległ się ryk Sodala.

– Coś nadchodzi! – zahuczał. – Kobiety, wsadźcie mnie prędko na wierzchowca, Yattmur, stłumić ogień. Gren, chodź tutaj i powiedz, co widzisz.

Gren wgramolił się na górę i rozglądał na wszystkie strony, podczas gdy

kobiety windowały Sodała Ye na plecy nosiciela. Nawet przez odgłosy ich ciężkich oddechów Gren pochwycił uchem inne dźwięki, które musiały dotrzeć do Sodała: odległe, uporczywe wycie i ryki, to wznoszące się, to znów opadające we wściekłym rytmie. Krew odpłynęła mu z twarzy na ten dźwięk. Zaniepokoiła go grupa około dziesięciu światła rozsypanych niezbyt daleko na rawninie, ale tamten pełen grozy głos dobiegał z innego rejonu. Nagle jego wzrok przykuły poruszające się sylwetki; wytrzymał oczy, by im się dokładniej przypatrzeć, serce mu łomotało.

– Widzę ich – zameldował. – Oni... oni świecą w ciemności.

– Więc sprawa jest jasna: to są wyjaki, ludzko – zwierzęca rasa, o której ci opowiadałem. Czy idą w tę stronę?

– Na to wygląda. Co mamy robić?

– Zejdź na dół do Yattmur i siedźcie cicho. Wyjaki są jak futroszorstki, potrafią być nieprzyjemne, jeśli je zaniepokoić. Wyślę w przód swoją kobietę, by sprawdziła, co się niebawem stanie.

Gren obserwował pantomimę pomruków i gestów zarówno przed zniknięciem kobiety, jak i po jej powrocie. Przez cały czas narastało coraz głośniejsze straszliwe wycie.

– Kobieta zobaczyła, że wspinamy się na następne zbocze, a tym samym, że najwyraźniej nie spotka nas nic złego. Po prostu przeczekajmy cicho, aż wyjaki przejdą, po czym ruszymy Yattmur, dopilnuj, by twoje dziecko było cicho.

Nieco uspokojeni tym, co powiedział Sodał, stanęli pod skarpą. Niebawem nadciągnęły wyjaki, przelatując gęsiego nie dalej niż na rzut kamieniem. Wyjacy skowyt na postrach wzniósł się i opadł wraz z ich przejściem. Nie można było odróżnić, czy biegną, sadzą susami, czy też w podskokach przemierzają równinę. Sunęli w tak szaleńczym pędzie, że sprawiali wrażenie wizji obłąkańca. Ich kontury rysowały się niewyraźnie, mimo że wydzielaly białe przytłumione światło. Czy ich sylwetki były karykaturami ludzkich postaci? Wysocy i wychudzeni jak upiory – tyle przynajmniej dojrzeli na pewno, nim wyjaki przemknęły i znikły w dali na równinie, wlokąc za sobą swój przeraźliwy krzyk.

Gren uprzytomnił sobie, że z drzeniem przyciska do siebie Yattmur i Larena.

– Co to było? – zapytała Yattmur.

– Mówiłem ci, kobieto, to były wyjaki – powiedział Sodal. – Rasa, o której ci opowiadałem, rasa wyparta w Krainę Wiecznej Nocy. Ta grupa przebywała prawdopodobnie na wyprawie łowieckiej i teraz powraca do domu. My też musimy się zbierać. Im prędzej przebędziemy tę następną górę, tym większą sprawi mi to radość.

Gren i Yattmur wyruszyli tym razem bez owej beztrouski, jaką cieszyli się poprzednio. Jako że Grenowi weszło w nawyk oglądanie się za siebie, on pierwszy zobaczył, że z lewej strony doganiają ich światła, które uważali za pochodnie futroszorstków. Od czasu do czasu dochodziło go szczeknięcie dryfujące przez ciszę jak patyk po wodzie.

– Tamte futroszorstki na nas napierają – zwrócił się do Sodała. – Podążają za nami prawie przez całą drogę i jeżeli nie będziemy uważać, dopadną nas na tym wzgórzu.

– To do nich niepodobne, żeby ścigać z takim uporem. Na ogół zapominają o swoim zadaniu równie szybko, jak je podjęli. Musi ich nęcić coś przed nami – żer, być może. Tak czy owak, są zuchwali w mroku i nie możemy ryzykować napaści. Ruszajcie się szybciej. Wio, ty kłusaku orabolski, wio!

Ale pochodnie ich doganiały. Pięli się na bardzo długą ostrogę, a z góry sączyło się coraz więcej światła i wreszcie w narastającej stopniowo jasności mogli dojrzeć plamy postaci wokół niesionych pochodni. Ścigał ich pokaźny tłum stworzeń, choć jak dotąd jeszcze w znacznej odległości.

Kłopoty piętrzyły się przed nimi. Yattmur zaobserwowała po prawej stronie następne stworzenia nadciągające w kierunku ich wspinaczki. Nie było wątpliwości, że dopędzają ich duże gromady futroszorstków.

Mała grupa parła w górę, niemal biegnąc.

– Będziemy bezpieczni dopiero na szczycie. Hopaj hop! poganiał Sodal. – Jeszcze kawałek i ujrzymy Ocean Obfitości. Hej, hopaj tam, ty leniwa, parszywa bestio!

Bez słowa ostrzeżenia nosiciel runął pod Sodałem, który zwałił się do zlebu. Przez moment na pół ogłuszony leżał na grzbiecie, po czym machnął potężnym ogonem i przewrócił się z powrotem grzbietem do góry. Z nadzwyczajną inwencją zaczął kłąć swego wierzchowca.

Co do wytatuowanych kobiet, to zatrzymały się; ta, która niosła tykwę ze smardzem, postawiła ją na ziemi, ale żadna nie pośpieszyła z pomocą leżącemu człowiekowi.

Dopiero Gren podskoczył do tłumoczką kości i obrócił go najdelikatniej, jak tylko umiał. Nosiciel nie wydał żadnego dźwięku. Oko jak żarzący się węgiel było zamknięte. Zagniewany Gren przerwał przekleństwa Sodalą Ye:

– Na co ty znowu narzekasz? Czyż ten nieborak nie niósł cię, dopóki jego ciało nie wydało ostatniego tchnienia? Wycisnąłeś z niego wszystko, co się dało, więc ciesz się! On już nie żyje, jest wolny od ciebie i nigdy już cię więcej nie poniesie.

– Wobec tego ty musisz mnie ponieść – odparł Sodal bez wahania. – Stada futroszorstków rozedrą nas na strzępy, jeśli nie uciekniemy stąd natychmiast. Słyszysz ich – zbliżają się coraz bardziej! Idź, człowieku, po rozum do głowy, zastanów się, co jest dla ciebie dobre, i zmusz te kobiety, by mnie wsadziły na twój grzbiet.

– Nigdy! Zostajesz tutaj w tym żlebie, Sodal. My bez ciebie będziemy szybsi. To była twoja ostatnia przejażdżka.

– Nie! – Głos Sodalą wznosił się jak róg mgłowy. – Ty nie znasz szczytu tej góry. Tam jest sekretne przejście w dół na drugą stronę do Oceanu Obfitości i tylko ja je znam. Te kobiety tam nie trafią. Beze mnie wpadniesz na górze w potrzask, zapewniam cię. Dopadną cię futroszorstki.

– Och, Gren, boję się o Larena. Lepiej już zabierzmy Sodalą i chodźmy, zamiast stać tutaj i kłócić się.

W nikłym brzasku widział sylwetkę Yattmur niczym kredowy rysunek na skale. Zacisnął pięści, jakby stanął twarzą w twarz z prawdziwym przeciwnikiem.

– Chcesz mnie zobaczyć w roli jucznego zwierzęcia?

– Tak, tak, wszystko jest lepsze niż zostać tutaj rozszarpanym! To przecież tylko przez tę jedną górę. Smardza nosiłeś bez skargi tak długo.

Skinał z goryczą na tatuowane kobiety. – Tak jest lepiej – powiedział Sodal.

Sadowił się w opasujących go ramionach Grena.

– Spróbuj jeszcze opuścić głowę odrobinę niżej, aby nie uwierała mnie w gardło. O, doskonale. Wspaniale, tak, nauczysz się wkrótce. Naprzód, wio!

Z nisko przygiętą głową, zgarbionym grzbietem i chap – hopaj – chwatem na plecach Gren z trudem piał się na zbcze. Obie kobiety szły na czele, Yattmur nosła dziecko u jego boku. Dolatywał ich posępny chór okrzyków futroszorstków. Przebrnęli łożysko strumienia po kolana w zimnej wodzie, pomogli sobie nawzajem wydostać się na stromy, żwirowaty brzeg i znaleźli się przed mniej wyczerpującym podejściem. Yattmur zobaczyła światło słoneczne za najbliższym wzniesieniem. Postanowiła po raz pierwszy od dłuższego czasu objąć wzrokiem otaczający ich krajobraz ujrzała nowy, weselszy świat stoków i wierzchołków wzgórz ukazujących się ze wszystkich stron. Gromady futroszorstków zniknęły z pejzażu za blokami skalnymi. Niebo przecinały teraz pasma promieni. Żeglował po nim przygodny trawerser zmierzający na stronę nocy czy może do góry, w przestrzeń. Jak symbol nadziei.

Mieli jednak przed sobą jeszcze kawałek drogi. Ale gorące słońce oblało wreszcie falą ciepła ich grzbiety, gdy po długiej, zacieklej wspinacze stanęli zdyszani na szczycie góry. Jej drugie zbcze opadało ogromnym gołym urwiskiem; nikt by nie zszedł tą drogą.

Wtulona w sto przecinających się zasłon cienia leżała odnoga morza, rozległa i spokojna. Tak jak opowiadał Sodal, smuga światła rozłożyła się niczym wachlarz przez jej środek, rozsiewając blask na cały basen o wysokich brzegach, w którym spoczywało morze. Poruszały się w nim stworzenia, znacząc powierzchnię wody ulotnymi śladami.

Jakieś inne postacie krzątały się na skrawku plaży, klucząc pomiędzy prymitywnymi, białymi szałasami, z tej odległości drobnymi jak perły

Jeden Sodal nie patrzył w dół. Jego spojrzenie powędrowało do słońca i wąskiego wycinka oświetlonego w pełni świata, doskonale widocznego z tak dogodnego punktu, do lądów, nad którymi wiecznie świeciło słońce. Tam jasność była prawie nie do zniesienia. Sodal nie potrzebował żadnych instrumentów, by stwierdzić, że natężenie żaru i blasku wzrosło nawet od chwili opuszczenia przez nich Wielkiego Stoku.

– Tak jak przepowiadałem – zawołał – wszystkie rzeczy stapiają się ze światłem! Nadciąga Wielki Dzień, kiedy wszystkie stworzenia staną się

częścią nieśmiertelnego wszechświata. Muszę z wami o tym kiedyś pomówić.

Błyskawice, które wyczerpały się niemal nad Krainą Wiecznej Nocy, wciąż latały nad stroną jasności. Jedna wyjątkowo oślepiająca trafiła w potężny las – i pozostała widzialna. Zamiast zniknąć, wiła się jak żmija schwytana między niebo i ziemię, zaczynając od dołu zieleniec. Zielen wznosiła się po niej do nieba i strzała uspokajała się, grubiejąc w miarę wznoszenia się, aż wreszcie sięgnęła do sklepienia niebieskiego niby palec wskazujący, którego czubek gubił się w zamglonej atmosferze.

– Aaach, oto znak znaków! – zawołał Sodal. – Teraz widzę i wiem, że zbliża się koniec Ziemi!

– Co to jest, do wszystkich diabłów? – zapytał Gren. Spod swego ciężaru zezował na zieloną kolumnę.

– Zarodniki, kurz, nadzieje, wzrost, esencja stuleci, zielony zapalnik Ziemi, nie mniej. Idzie do góry, wznosi się do nowych pól. Grunt pod tą kolumną musiało wypalić na cegłę! Podgrzewaj cały świat przez połowę wieczności, uduś go w sosie jego własnej żywności, a potem podłącz prąd superwysokiego napięcia, a na odbitej energii wzniesie się ekstrakt życia, wypłynie na powierzchnię i wystartuje w przestrzeń wraz z galaktycznym prądem.

Przed oczyma stanęła Grenowi Wyspa Wysokiego Brzegu. Wprawdzie nie wiedział, co Sodal miał na myśli, mówiąc o ekstraktach życia wypływających do góry na galaktycznych prądach, ale przypomniało mu to przeżycia w niesamowitej jaskini oczu. Żałował, że nie może zapytać o to smardza.

– Futroszorstki idą~ – wrzasnęła Yattmur. – Posłuchajcie! Słyszę ich pokrzykiwania.

Obejrzała się za siebie, na drogę, którą przebyli, i dostrzegła w pomroce maleńkie sylwetki. Niektóre niosły jeszcze dymiące pochodnie i na czworakach wdrapywały się na górę, powoli, ale miarowo.

– Dokąd idziemy? – zapytała. – Dopadną nas, jeśli nie przestaniesz gadać, Sodal.

Wyrwała Sodalą Ye z kontemplacji.

– Musimy wspiąć się jeszcze wyżej na ten wierzchołek oznajmił. – Tylko kawałeczek. Za tą wielką ostrogą, która sterczy przed nami, znajduje się tajemne przejście prowadzące w dół między skałami. Tam trafimy na pasaż wiodący prosto przez urwisko do samego Oceanu Obfitości. Nie martw się, tamte lotry mają przed sobą jeszcze kawałek wspinaczki.

Gren ruszył w stronę ostrogi, nim Sodal Ye dokończył. Yattmur przewiesiła sobie Larena przez ramię i z niecierpliwością wybiegła naprzód. Nagle przystanęła.

– Sodal! – zawołała. – Spójrz! Jakiś trawerser zwałił się za ostrogą! Zatarasował ci drogę ucieczki!

Ostroga wznosiła się obłąkańczo na samej krawędzi urwiska jak komin postawiony na szczycie dachu o stromym spadku. Za nią leżało cielsko trawersera, masywne i solidne. Tylko dlatego, że oglądali jego ocieniony bok, piętrzący się jak skała, nie zauważyli go wcześniej.

Sodal Ye wydał gromki okrzyk.

– Jakże my teraz przejdziemy pod tą ogromną jarzyną?! – wrzasnął i z wściekłości, że pokrzyżowano mu plany, uderzył Grenę po nogach ogonem.

Gren zachwiał się i potknął o niosącą tykwę kobietę. Oboje rozciągnęli się na trawie obok trzepocącego się z rykiem Sodała. Kobieta krzyknęła ni to z bólu, ni to ze złości. Zakryła twarz. Krew z nosa sączyła jej się po brodzie. Nie zwracała uwagi na to, że Sodal ją wyklina. Yattmur pomagała pozbierać się Grenowi, a Sodal wymyślał:

– Niech będą przekłęci zjadacze gnoju, jej przodkowie. Mówię jej, by zmusiła skoczkę do skoku i zobaczenia, jak możemy stąd umknąć. Kopnij ją i zmusz do posłuchu, po czym wsadź mnie na swój grzbiet i na przyszłość uważaj lepiej.

Ponownie zaczął się wydzierać na kobietę. Ta zerwała się z nienacka. Twarz miała skurczoną jak wyciśnięty owoc. Złapała stojącą obok tykwę i z całej siły wyrznęła nią w czaszkę Sodała. Tykwa pękła od uderzenia i smród wyśliznął się jak melasa na głowę Sodała, pokrywając ją z jakimś letargicznym zadowoleniem.

Oczy Greny i Yattmur spotkały się z niepokojem, pytająco. Usta kobiety skoczki rozchyliły się. Zachichotała bezgłośnie. Jej koleżanka usiadła i

zapłakała, chwilowy bunt jej okresu istnienia przyszedł i przeminął.

– Co teraz zrobimy? – odezwał się Gren.

– Zobaczymy, może damy radę odszukać mysia dziurę Sodała. To najważniejszy problem – powiedziała Yattmur. Dotknął jej ramienia dla dodania otuchy

– Jeśli trawerser żyje, być może potrafimy rozniecić pod nim ogień i uda nam się go wykurzyć.

Zostawiając kobiety orabolki w apatycznym wyczekiwaniu przy Sodału Ye, udali się do trawersera.

W miarę jak potężniał strumień promieniowania Słońca, im bliżej było owego dnia, już nie tak znowu odległego, w którym zamieni się ono w nową, flora rosła jak na drożdżach i osiągnąwszy niepodzielne panowanie, miażdżyła wszystkie inne formy życia, spychając je ku zagładzie albo w strefę mroku.

Ogromne, pająkom podobne trawersery, długie często na dwa kilometry stwory roślinne, stanowiły szczytowe osiągnięcie wegetacji. Dla nich silne promieniowanie było niezbędne. Jako pierwsi astronauty cieplarnianego świata podróżowali między Ziemią a Księżycem długo po tym, jak człowiek zwinął swój hałaśliwy kramik i wycofał się z interesu na drzewa, z których ongiś zszedł.

Gren i Yattmur posuwali się u podnóża włóknistego, czarnzielonego cielska. Yattmur ścisnęła Larena, który gapił się na wszystko bystrymi oczyma. Gren zatrzymał się, wietrząc niebezpieczeństwo. Spojrzał do góry. Hen, z wysokości monstrialnego boku, wyglądało nań czyjeś ciemne oblicze. Po chwili zaskoczenia dostrzegł następne twarze. W porastających trawersera kłakach kryło się wiele istot ludzkich. Odruchowo Gren wyciągnął nóż.

Widząc, że ich dostrzeżono, patrzący wychynęli z ukrycia i zaczęli się opuszczać po boku trawersera. Wyłoniło się ich dziesięcioro.

– Zawracaj! – powiedział Gren nagląco do Yattmur.

– Ale futroszorstki...

Napastnicy zaskoczyli ich. Rozpostarłszy skrzydła, czy też płaszcze, spłynęli ze znacznej wysokości. Zaczęli otaczać Greną i Yattmur. Każdy

wymachiwał pałką lub mieczem.

– Ani kroku dalej, bo przeszyję was na wylot! – dziko wrzasnął Gren; zasłonił sobą Yattmur i dziecko.

– Gren! Tyś jest Gren z grupy Lily – yo!

Postacie zatrzymały się. Jedna z nich, ta, która zawołała, wyszła naprzód z otwartymi ramionami, upuszczając miecz. Poznał jej ciemną twarz.

– Żywe cienie! Lily – yo! Lily – yo! To ty?

– Ja, Gren, nikt inny!

Podchodziło już do niego dwoje następnych, z płaczem radości. Rozpoznał ich, te zapomniane, lecz zawsze bliskie twarze dwojga dorosłych członków jego rodowej grupy. Mężczyzna Haris i Flor trzymali się za ręce. Zaskoczony ponownym spotkaniem ledwo zauważył, jak są odmienieni. Wpatrywał się raczej w ich oczy, nie w skrzydła.

Haris przemówił, widząc pytanie we wzroku Grena, wędrującym od twarzy do twarzy:

– Jesteś teraz mężczyzną, Gren. My też się bardzo zmieniliśmy. Tamci pozostali są naszymi przyjaciółmi. Wracamy ze Świata Prawdziwego, przebyliśmy całą przestrzeń w brzuchu tego trawersera. W drodze stworzenie zachorowało i spadło tutaj, w tę ohydną krainę cieni. Przebywamy w tej pułapce o wiele za długo, narażeni na napaści ze strony wszelkich nieprawdopodobnych stworów, i nie możemy wrócić do ciepłych lasów.

– A obecnie czeka was właśnie spotkanie z najgorszymi z owych stworów – powiedział Gren.

Nie było mu przyjemnie widzieć podziwianych przez siebie ludzi, jak Haris i Lily – yo, w kompanii szybowników.

– Zbierają się przeciwko nam wrogowie. Odłóżmy opowieści, przyjaciele – a zgaduję, że moja będzie bardziej niesamowita od waszych – ponieważ wielka wataha, dwie wielkie watahy futroszorstków depczą nam po piętach.

– Nazywacie ich futroszorstkami? – odezwała się Lily – yo. – Ze szczytu trawersera nie widzieliśmy ich nadejścia. Ale dlaczego uważasz, że

chodzi im o nas? W tej nędznej krainie głodu musi im z pewnością zależeć na zwłokach trawersera?

Pomysł był nieoczekiwany dla Grena, jednak musiał przyznać, że prawdopodobny. Tylko znaczna masa żywności, jaką przedstawiał trawerser, przyciągałaby z tak daleka i tak uporczywie gromady futroszorstków. Odwrócił się, by zobaczyć, co sądzi o tym Yattmur. Nie było jej.

W mgnieniu oka wyciągnął nóż, który dopiero co wsadził do pochwy, i rzucił się na jej poszukiwanie. Biegał wokół i nawoływał ją po imieniu, a nie znający go członkowie kompanii Lily – yo z niepokojem przebierali palcami po rękojeściach mieczy. Nie zwracał na nich uwagi.

Znalazł Yattmur nieopodal. Przyciskała do siebie dziecko i patrzyła wilkiem w jego stronę. Wróciła tam, gdzie leżał Sodał, przy którym stały kobiety orabolki i bezproduktywnie wpatrywały się przed siebie. Mrucząc gniewnie, Gren przepchnął się koło Harisa i pobiegł do niej.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołał. – Przynieś tu Larena. – Jak chcesz, to chodź tu i weź go sobie – odparła. – Ja nie chcę mieć nic wspólnego z tamtymi dziwnymi dzikusami. Należysz do mnie, dlatego więc mnie opuszczasz dla nich? Po co z nimi rozmawiasz? Kim oni są?

– O cienie, weźcie mnie w opiekę przed durnymi kobietami! Nie rozumiesz...

Urwał. Zbyt długo zwlekali z opuszczeniem grani. Poruszające się w imponującej ciszy – może dlatego, że brakło im tchu – pierwsze szeregi futroszorstków stanęły na szczycie góry. Znieruchomiały na widok ludzi, ale tylne szyki wypchnęły je naprzód. Sztywno zjeżone grzywy na ramionach i wyszczerzone zęby nadawały im nieprzyjazny wygląd. Kilku nosiło na głowach cudaczne, wycięte z tykwy hełmy.

– Jest tam paru tych, którzy obiecali zabrać brzunio – brzuchy do domu – powiedziała Yattmur zbielełymi ze strachu wargami.

– Jak ich poznajesz? Oni wszyscy wyglądają tak samo. – Tamten stary z żółtymi wąsikami i bez jednego palca, przynajmniej jego poznaję na pewno.

Nadeszła Lily – yo ze swoją grupą.

– Co robimy? – zapytała. – Czy te bestie dadzą nam spokój, jeśli oddamy im trawersera?

Gren milczał. Podszedł prosto do żółtowego stworzenia wskazanego przez Yattmur i zatrzymał się o krok przed nim.

– Nie żywimy do was wrogości, futroszorstki, ludzie bambuny. Nie walczyliśmy z wami nigdy na Wielkim Stoku. Może są z wami trzej brzunio – brzuch – ludzie, którzy byli naszymi towarzyszami?

Żółty Wąs nie odpowiedział, lecz zawrócił i powłócząc nogami, udał się na naradę z kompanami. Najbliższe futroszorstki przysiadły na zadnich łapach i gwarzyły szczekliwie.

Wreszcie zjawił się przed Grenem Żółty Wąs i obnażając kły, przemówił. Ścisnął coś w ramionach.

– Tryk trup trak tak chudziaku, bąbło – brzuchy są wrą rą wśród nas. Spójrz! Patrz! Lap!

Z nagłym zamachem cisnął czymś w Gren, który stał tak blisko, że nie pozostało mu nic innego, jak to złapać. Była to odrąbana głowa jednego z brzunio – brzuchów.

Gren zareagował jak w transie. Wypuścił głowę, rzucił się w przód i pchnął nożem z dziką wściekłością. Ostrze trafiło żółtowego futroszorstka w brzuch, zanim zdążył uskoczyć. Zachwiał się na nogach, a Gren pochwycił oburącz za szarą łapę. Zakreślił się na pięcie i z pełnego obrotu wystrzelił futroszorstka prosto poza krawędź urwiska. Wrzaski wąsacza przebrzmiały i zapadła śmiertelna cisza, cisza zaskoczenia.

Lada chwila dopełni się nasz los, pomyślał Gren. Czuł burzę we krwi i nic go nie obchodziło. Wiedział, że za nim jest Yattmur, Lily – yo i reszta ludzi, ale nie raczył się na nich obejrzeć.

Yattmur pochyliła się nad okaleczonym, ociekającym krwią przedmiotem u swych stóp. Odrąbana głowa – rzecz obiekt grozy. Zaglądając w wodnistą galaretkę, która była kiedyś źrenicą, wyczytała w niej los wszystkich trzech brzunio – brzuch – ludzi.

– A tak łagodnie obchodzili się z Larenem! – zawołała bezgłośnie.

Nagle zahuczało za jej plecami. Przerażliwy ryk rozdarł ciszę, ryk o nieludzkim brzmieniu i mocy, wybuchający nad ich głowami tak

nieoczekiwanie, że ścinał krew w żyłach. Futroszorstki wrzasnęły ze strachu, wykonały w tył zwrot i przepychając się oraz tłukąc, zawróciły pod skrzydła cieni poniżej szczytu góry.

Na pół głuchy Gren popatrzył dokoła. Lily – yo i jej towarzysze umykali z powrotem do zdychającego trawsera. Yattmur próbowała uspokoić dziecko. Orabolki leży plackiem na ziemi i pochowały głowy w ramionach.

Nabrzmiały bolesną rozpaczą głos rozległ się ponownie. Sodal Ye odzyskał przytomność i rykiem obwieszczał swój gniew. I nagle, otwierając mięsistą gębę o wielkiej dolnej wardze, przemówił słowami, które dopiero stopniowo ułożyły się w jakiś sens:

– Gdzieście się podzieli, pustogłowe głowy, wy, stworzenia ciemnych równin, co macie ropuchy w głowach, skoro nie rozumiecie moich przepowiedni, w których rosną zielone kolumny. Wzrost jest symetrią, w górę i w dół, a to, co nazywacie rozkładem, jest drugą częścią wzrostu. Jeden proces, wy żabogłowy, proces dewolucji, który znosi was na dno zielonej studni, z której wyrosliście... Zgubiłem się w labiryntach... Gren! Gren! Jak kret przekopuję się przez glebę rozumienia... Gren, na zjawy nocne... Gren, z brzucha ryby ja wołam ciebie. Czy słyszysz mnie? To ja, twój stary druh smardz!

– Grzyb?

Gren padł ze zdumienia na kolana przed chap – hopaj – chwatem. Z kamiennym obliczem wpatrywał się w trędowną, brązową koronę zdobiacą teraz jego głowę. Trwał tak, gdy Sodal otworzył oczy, z początku mgliste, po chwili już skupione na Grenie.

– Gren! Byłem o włos od śmierci... Ach, jakże świadomość boli. Posłuchaj, to ja, to mówi twój smardz. Trzymam w szachu Sodała i korzystam z możliwości jego umysłu, jak musiałem kiedyś korzystać z twoich. Ileż bogactwa znajduję w nim... w połączeniu z moją własną wiedzą... ach, widzę jasno nie tylko ten maleńki świat, ale całą zieloną galaktykę, wiecznie zieleniejący wszechświat...

Gren zerwał się jak oparzony

– Grzybie, czyś ty oszalał? Nie widzisz, w jakiej jesteśmy sytuacji, o włos od śmierci z rąk futroszorstków – kiedy tylko nabiorą śmiałości do

ataku? Co robić? Jeśli to ty jesteś naprawdę, jeśli jesteś przy zdrowych zmysłach, ratuj nas!

– Ja nie zwariowałem, chyba że być jedyną rozumną istotą na ropuchomózgim świecie oznacza szaleństwo... Zgoda, Gren, patrz, pomoc nadchodzi! Spójrz w niebo!

Od dłuższego już czasu pejzaż kąpał się w tajemniczym świetle. Hen w odległych, zwartych szykach dżungli wstała druga zielona kolumna, w pewnej odległości od wyrosłej wcześniej. Wydawało się, że obie skazyły niższe warstwy atmosfery swym blaskiem, więc Gren nie zdziwił widok nieba poliniowanego pasmami chmur o zielonkawym odcieniu. Z jednej z takich chmur opadał trawser. Wyglądało, że spada bez pośpiechu w kierunku cypla, na którym znajdował się Gren z całą resztą.

– Czy on zmierza tutaj, grzybie? – zapytał Gren. Jakkolwiek nie zachwyciło go zmartwychwstanie tyrana, który nie tak dawno czerpał jego życiodajną krew, widział, że uzależniony od beznogiego Sodała grzyb mógł mu co najwyżej pomóc, nie skrzywdzić.

– Opuszcza się tutaj – odpowiedział smardz. – Ty i Yattmur z dzieckiem chodźcie się ukryć, aby was nie zgniótł podczas lądowania. Prawdopodobnie przybywa na gody, skrzyżować pyłek z konającym trawserem. Jak tylko osiądzie, musimy się na niego wspiąć. Będziesz musiał mnie ponieść, Gren, rozumiesz? Potem ci powiem, co robić dalej.

Kiedy przemawiał grubymi wargami Sodała, wiatr mierzwił trawę. Włochaty kadłub rozszerzał się w powietrzu, aż wypełnił prawie całe pole widzenia i trawser wylądował łagodnie na skraju urwiska, osiadając na grzbiecie swego umierającego partnera. Jego wielkie odnóża wysunęły się w dół, jak porośnięte wybujałym mchem górskie filary, i zamortyzowały zderzenie. Pogrzebały chwilę w poszukiwaniu oparcia, po czym trawser znieruchomiał.

Gren w towarzystwie Yattmur i wlokących się z tyłu wytatuowanych kobiet podszedł do niego, mierząc wzrokiem wysokość. Puścił ogon Sodała, którego ciągnął za sobą po ziemi.

– Nie damy rady tam wleźć! – powiedział. – Zwariowałeś, grzybie, namawiając nas do tego! On jest dużo za duży! – Właz, ludzka istoto, właz – popędzał smardz.

Gren nie ruszał się, ciągle pełen wahania. Na to podeszła Lily – yo z resztą swej kompanii. Ukryci do tej pory za wysoką turnią, palali pragnieniem wydostania się stąd.

– To jest nasza jedyna droga ocalenia, jak mówi twoje rybnie stworzenie – powiedziała Lily – yo. – Nie marudź, Gren! Możesz pójść z nami, zadbamy o ciebie.

– Trawerser nie jest taki straszny – dodał Haris.

Gren wciąż stał w miejscu, nie zachęcony ich ponagłaniem. Robiło mu się niedobrze na myśl o doczepieniu się do czegoś, co unosi się w powietrzu. Pamiętał swą jazdę na grzbiecie ptakorośla, który roztrzaskał się na Ziemi Niczyjej; nie zapomniał podróży łodzią i na szczudłaku, z których każda prowadziła z deszczu pod rynnę. Jedyne wyprawa dopiero co zakończona, podjęta z Sodałem z własnej woli Grena, miała korzystniejszy finał.

Wahał się, a tymczasem smardz zachęcał go ponownie głosem Sodała, popędzał pozostałych do wspinaczki na włókniste odnóża, ponagłając nawet wytatuowane kobiety, by go wniosły na górę, co wreszcie zrobiły z pomocą kompanów Lily – yo.

Niebawem wszyscy zagnieździli się wysoko na ogromnym grzbiecie i spoglądali z góry, nawołując Grena. Przy nim została tylko Yattmur.

– Czemuż właśnie teraz, kiedy pozbyliśmy się brzunia – brzuchów i smardza, mamy zawierzyć temu monstrualnemu stworzeniu? – wymamrotał.

– Musimy iść, Gren. On zabierze nas daleko do ciepłych lasów, gdzie z dala od futroszorstków będziemy mogli wieść spokojne życie z Larenem. Wiesz, że tutaj nie możemy zostać.

Spojrzał na nią i na wielkookie dziecko w jej ramionach. Zniosła tak wiele cierpień dla niego od chwili nieodpartej pieśni Czarnej Gardzieli.

– Idziemy, skoro ty tego pragniesz, Yattmur. Daj, poniosę chłopca – rzekł, po czym zerknął do góry i wyładował swoją złość na smardzu: – I skończ swoje głupie wrzaski, idę!

Zawołał za późno, bo smardz właśnie skończył. Kiedy Gren i Yattmur wwindowali się w końcu zdyszani na szczyt żywego pagórka, zastali

smardza zaaferowanego: dyrygował Lily – yo i jej towarzystwem, wciągnąwszy ich w nowe przedsięwzięcie.

Sodał obrócił na Greną jedno ze swych świńskich oczek. – Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że czas mi się podzielić, rozmnożyć. Zamierzam więc posiadać trawersera na równi z Sodalem.

– Uważaj, żeby on ciebie nie posiadał – powiedział Gren słabym głosem.

Klapnął hałaśliwie na trawersera, bo ogromne stworzenie zadrżało. Ale miało tak niewiele czucia w ferworze zapyłania, że pozostało zatopione w swoich własnych, zaślepiających je sprawach, kiedy Lily – yo i inni pracowali, zawzięcie wycinając nożami jego naskórek. Gdy już odsłonili krater, podnieśli Sodała głową w dół. Wprawdzie szamotał się niemrawo, ale smardz zbyt mocno trzymał go w garści, by zdziałał coś więcej. Obrzydliwie porowata, brązowa masa smardza zaczęła się zsuwać. Gdy połowa spadła do dołu, pod kierunkiem grzyba przykryli otwór czymś w rodzaju szpuntu z tkanki trawersera.

Gren podziwiał, jak spełniali każde życzenie smardza. Wyglądało na to, że sam uodpornił się na jego rozkazy. Yattmur siedziała, karmiąc piersią dziecko. Kiedy Gren przysiadł koło niej, wskazała palcem na zacienione zbocze. Z dogodnego punktu obserwacyjnego mogli zauważyć ponure i niewyraźne gromadki futroszorstków, zmykających w bezpieczne miejsce, aby tam zaczekać na rozwój wypadków; tu i ówdzie rozbłyskiwały ich pochodnie przebijające mrok, jak kwiaty w smutnym lesie.

– Wycofują się – powiedziała. – A może by tak zejść na ziemię i poszukać tajemnego przejścia do Oceanu Obfitości? Krajobraz się przekrzywił.

– Już za późno – stwierdził Gren. – Trzymaj się mocno! Lecimy Larenowi nic nie grozi?

Trawersę uniósł się. Pod nimi mignęło wysokie urwisko opadali, przewalivszy się gwałtownie przez skałę. Ocean Obfitości wyszedł im na spotkanie i rósł w oczach, gdy trawerser przekoziółkował i zbliżał się do jego lustra. Wśliznęli się w długi cień, następnie w blask – ich własny cień przykleił się w poprzek poznaczonej punkcikami wody – i ponownie w cień, po czym raz jeszcze w światło, kiedy wzniesli się, nabierając stabilności, i skierowali do strojnego w pióropusz słońca.

Laren wrzasnął ze strachu, po czym wrócił do piersi i zamknął oczy, jakby za dużo było dlań tego wszystkiego.

– Zbierzcie się wokół mnie – zawołał smardz – kiedy będę do was przemawiał przez tę rybią gębę! Musicie wszyscy wysłuchać, co mam do powiedzenia!

Uczepili się włóknistych włosów obok Sodała, tylko Gren i Yattmur wykazali przy tym pewną opieszałość.

– Jestem teraz dwoma ciałami – oznajmił smardz. Przejąłem władzę na tym trawserem, rządę jego systemem nerwowym. Pójdzie tylko tam, gdzie mu każe. Nie obawiajcie się, ponieważ nic wam nie grozi tak szybko. Co jest bardziej przerażające od lotu – to wiedza, jaką wysączyłem z tego rybiego chap – hopaj – chwata Sodała Ye. Musicie się o tym dowiedzieć, bo to zmienia moje plany. Te sodale są ludźmi mórz. Podczas gdy wszystkie inne istoty inteligentne zostały odseparowane przez roślinne życie, sodale w wolnych oceanach miały możliwość utrzymywania kontaktów ze swoimi wszystkimi plemionami. One więc wzbogaciły raczej swoją wiedzę, niż ją utraciły. Odkryły, że świat ma się właśnie ku końcowi. Nie w tej chwili, nie przez wiele jeszcze generacji, ale z pewnością się skończy i tamte zielone słupy kłęski wyrastające z dżungli do nieba są znakami, że koniec się już rozpoczął. W regionach rzeczywiście gorących, w nie znanych nikomu z was krainach zamieszkiwanych przez żar – krzaki i inne użytkujące ogień rośliny, zielone kolumny istnieją już od pewnego czasu. Znajduję wiedzę o nich w umyśle Sodała Ye. Widzę jakieś buchające na brzegach płomienie, przelotnie dostrzeżone z parującego morza.

Smardz popadł w milczenie. Gren wiedział, w jaki sposób będzie teraz dokopywał się dalszych informacji. Pełen podziwu dla jego głodu wiedzy, wzdrygnął się jednak na myśl o naturze grzyba. Pod nimi huśtały się na falach brzegu Krainy Wiecznego Wieczoru, przepływając z wolna. Pojaśniały dostrzegalnie, zanim obrzmiałe wargi poruszyły się i głos Sodała Ye raz jeszcze poniósł myśl smardza.

– Te sodale nie zawsze pojmują całą wiedzę, którą zdobyły. Ach, umieć dostrzegać piękno planu... Ludzie, jest taki płonący zapalnik siły zwanej dewolucją... Jak mam wyrazić to, aby było zrozumiałe dla waszych małych mózdków? Bardzo dawno temu ludzie – wasi odlegli przodkowie – odkryli, że życie wyrosło i rozwinęło się z urodzajnej drobiny, z ameby, która posłużyła za furtkę dla życia, ucho igielne, za

którym znajdowały się aminokwasy i nieorganiczny świat przyrody. A ten nieorganiczny świat, jak odkryli, również rozwinął się w całej złożoności z jednej drobiny pierwotnego atomu. Owe rozległe procesy wzrostu ludzie ostatecznie zrozumieli. Sodale zaś odkryły, że wzrost zawiera również to, co ludzie nazwaliby upadkiem, że natura nie tylko musi się rozwinąć, by się "zwinąć", lecz że musi się ona również zwinąć, by się mogła rozwijać. To stworzenie, które zamieszkuje, wie, że świat znajduje się obecnie w fazie zwijania. Mętnie próbowało przekazać to wam, pomniejszych gatunkom. Na początku czasu tego układu słonecznego wszystkie formy życia były niejako zlane razem i ginąc, tworzyły inne formy. Przybyły one na Ziemię z przestrzeni jako pyłki, jako iskierki jeszcze w kambryjskich czasach. Następnie formy te rozwinęły się w zwierzęta, rośliny, owady, gady wszystkie odmiany i gatunki, które zalały świat. Wiele z nich już odeszło. A dlaczego? Ponieważ galaktyczne prądy określające życie Słońca niszczą to Słońce. Te same prądy rządzą materią ożywioną i wygaszają ją tak, jak wygaszą egzystencję Ziemi. A więc natura dewoluuje. Formy życia zlewają się ponownie! Zawsze istniały współzależnie – jedna kosztem drugiej – i teraz łączą się ze sobą raz jeszcze. Czy brzunia – brzuchy były roślinami, czy ludźmi? Czy futroszorstki są ludźmi, czy zwierzętami? A stworzenia świata cieplarnianego, trawersery, wierzbomordy Ziemi Niczyjej, szczudłaki, które wysiewają się jak rośliny i migrują jak ptaki jak one wyglądają w świetle starych klasyfikacji? Sam siebie zapytuję, czym jestem.

Smardz przerwał na chwilę. Jego słuchacze ukradkiem spoglądali po sobie, ogarnięci niepokojem, aż klapnięcie ogona sodala przywołało ich z powrotem do rzeczywistości.

– My wszyscy tutaj zostaliśmy za sprawą przypadku zmieceny na bok głównego nurtu dewolucji. Żyjemy na świecie, w którym każda generacja staje się coraz mniej i mniej określona. Całe życie zdąża do bezrozumu, nieskończonej małości: do embrionalnej drobiny. Tak się dopełni proces wszechświata. Galaktyczne prądy poniosą zarodniki życia do innego, nowego systemu, dokładnie tak, jak ongiś przyniosły je tutaj. Widzicie już ów proces w toku: zielone kolumny światła wyciągają życie z lasów. W nieustannie wzrastającym żarze procesy dewolucji ulegają przyspieszeniu.

Podczas tej przemowy druga połowa smardza kierowała trawersera coraz niżej. Unosili się już ponad zwartą dżunglą, nad pokrywającym cały ten opromieniony słońcem kontynent figowcem. Ciepło spowiło ich jak

plaszcz. Widzieli tu inne trawersery przesuwające wielkie kadłuby w górę i w dół swoich nici. Trawerser smardza osiadł prawie bez wstrząsu na wierzchołkach lasu.

Gren podniósł się natychmiast i pomógł stanąć na nogi Yattmur.

– Jesteś najmędrszym ze stworzeń, grzybie – powiedział. – Nie czuję żalu, że cię opuszczam, ponieważ wydajesz się teraz tak doskonale samowystarczalny. W końcu jesteś pierwszym grzybem, który rozwiązał zagadkę wszechświata. Będziemy cię wspominać, ja i Yattmur, kiedy znajdziemy się bezpieczni w środkowych piętrach lasu. Idziesz ze mną, Lily – yo, czy też poświęciłaś swe życie ujeżdżaniu jarzyn?

Lily – yo, Haris, wszyscy stali obrócenii do Grenu z mieszaniną wrogości i bierności, znaną mu dobrze z dawien dawna.

– Chyba nie zostawisz tego wspaniałego mózgu, tego obrońcy, tego smardza, który jest twoim przyjacielem? zapytała Lily – yo.

Gren skinął głową.

– Możesz z niego swobodnie korzystać, czy też on może swobodnie korzystać z ciebie. Wy z kolei musicie zdecydować, tak jak ja musiałem, czy on jest siłą dobrą, czy złą. Ja podjąłem decyzję. Zabieram Yattmur, Larena i obie orabolki z powrotem w las, gdzie jest moje miejsce.

Pstryknął palcami i wytatuowane kobiety wstały posłusznie.

– Jesteś uparty, Gren. Nic się nie zmieniłeś – powiedział Haris z oznakami zniecierpliwienia. – Wracaj z nami do Świata Prawdziwego, to lepsze miejsce niż dżungla. Słyszałeś przed chwilą, jak rybi smardz powiedział, że dżungla jest zgubiona.

Ku swemu zadowoleniu Gren odkrył, że potrafi stosować argumenty w sposób, jaki kiedyś byłby dlań nieosiągalny.

– Jeżeli prawdą jest to, co mówi grzyb, to twój drugi świat, Haris, jest zgubiony równie pewnie jak ten. Ponownie rozległ się grzmiący, poirytowany głos smardza:

– I tak jest, człowieku, ale musicie jeszcze wysłuchać mojego planu. W mętnym ośrodku myślowym tego trawersera natknąłem się na świadomość światów poza tym jednym, daleko poza nim, wygrzewających się wokół innych słońc. Trawersera można zmusić do podjęcia takiej podróży Ja i

Lily – yo, i pozostali przeżyjemy bezpiecznie w jego wnętrzu, jedząc jego ciało, aż dotrzemy do tamtych nowych światów. Po prostu podążymy szlakiem zielonych kolumn i pojedziemy na galaktycznych prądach przestrzeni, a one zawiodą nas w dobre, nowe miejsce. Oczywiście ty musisz zabrać się z nami, Gren.

– Dosyć mam dźwigania czy bycia dźwiganym. Idź i życzę ci powodzenia! Zapelnij cały pusty świat ludźmi i grzybem!

– Wiesz, głupi człowieku, że Ziemię czeka śmierć w ogniu! – Tak powiedziałeś, o mądry grzybie. Powiedziałeś też, że to nie nastąpi przez wiele generacji. Laren i jego syn, i syn jego syna będą raczej żyli w zieloności, niż ugotują się w trzewiach roślinnych, odbywając podróż w nieznanie. Chodź, Yattmur. Hej, hop, wy, panienki, idziecie razem ze mną.

Zebrał się do zejścia. Puściwszy przed siebie tatuowane kobiety, Yattmur wręczyła Grenowi Larena, a ten oparł go sobie na ramieniu. Haris postąpił krok w przód z wyciągniętym nożem.

– Zawsze było trudno sobie z tobą poradzić. Nie wiesz, co robisz.

– Może to i prawda, ale przynajmniej wiem, co wy robicie.

Nie zważając na ostrze, Gren zlął powoli z szerokiego, kosmatego boku. Opuścili się na cienką gałąź, pomagając uległym orabolkom w znalezieniu oparcia dla stóp. Z radością w sercu Gren zajrzał w liściaste otchłanie lasu.

– Idziemy – powiedział zachęcająco. – Tu będzie nasz dom, gdzie niebezpieczeństwo było mi kolebką, i wszystko, czego się nauczyliśmy, będzie nas strzegło. Podaj mi rękę, Yattmur.

Zeszli razem do liściastej altany. Nie obejrzeni się za siebie, kiedy trawerser ze swymi pasażerami wznosił się powoli i odpływał w górę, w zielono cętkowane niebo, biorąc kurs na uroczyście błękitny przestrzeni.